WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron **Warszawa, 14 stycznia 1951 r.** **Nr 2 (42) Rok II**

W NUMERZE m. in.: Adam Ważyk — O „języku artystycznym"; **Vladimir Pozner** — Spotkanie nad Wisłą; **Ludmiła Tatianiczewa** — Baśń zimowa; **Mikołaj Zabołocki** — Północ; **Jerzy Piórkowski** — Z powodu filmu „Miasto nieujarzmione"; **Dyskusja o zadaniach pisarstwa i krytyki** (głosy czytelników); **Franciszek Fenikowski** — Żeromski pod żaglowym płótnem; **Aliszer Nawoi** — O władcach, Gazela; **Tadeusz Breza** — Uriaszewicze; **Ludwik Grzeniewski** — W piekle równikowej republiki; **Nicolas Guillen** — Pot i bicz; **Edmund Niziurski** — Nowa książka Józefa Pogana; **Jerzy Płażewski** — Propozycje filmowe (3); **Zygmunt Stolarski** — Z praktyki redaktora fabrycznej gazetki ściennej.

JOSEPH KESSEL

BYŁEM W WARSZAWIE*)

Plac zdawał się nie mieć granic. Był olbrzymi, a za nim otwierała się nieskończoność, gdyż wyloty zniszczonych ulic i wyłomy między ruinami prowadziły niby łuki ogromnych bram w noc i przestrzeń. Oświetlały go silne reflektory, księżyc i płonące pochodnie w rękach defilującego tłumu. A potem zabłysły sztuczne ognie; na tle wilgotnego i zamglonego listopadowego nieba ukazały się snopy światła, iskry, płomienie i ogniste koła.

Oparty o trybunę, na której stali delegaci na Kongres Pokoju, otoczony sztandarami, okrzykami, śpiewem i nieumiarkowanym tupotem tysięcy stóp, który jak się wydawało nie miał początku i nie będzie miał końca, patrzyłem jak przez plac przepływają masy ludu Warszawy. I od czasu do czasu próbowałem oderwać się od piękna tego widoku, uwolnić się od oczarowania, chcąc objąć, uzmysłowić sobie znaczenie kilku dni, które spędziłem w spustoszonej stolicy Polski, a których uwieńczeniem był ten niezwykły pochód.

Przed tygodniem byłem jeszcze w Paryżu pogrążony w swej pracy, rozrywkach, zajęty swoimi sprawami i przyzwyczajeniami. W Warszawie rozpoczynał się już Kongres Pokoju wygnany z Sheffield. Ale ja, podobnie zresztą jak moje otoczenie, uległem wpływowi prasy, którą czytałem i niemal że nie zwróciłem na to uwagi. A kiedy jakiś zwięzły telegram, nagła wiadomość docierały do mnie przenikając grubą skorupę zobojętnienia, myślałem: „sztuczny twór, manewr, pusty balon, który wydyma się aż pęknie". A jeśli myślałem o Warszawie, to wyobrażając ją sobie jako posępne, ponure miasto zgnębionych, poddanych terrorowi ludzi...

Tak to wpływał na mnie, jak i na wielu moich znajomych brak informacji i ospałość umysłu, która sprawiała, że moje życie i moje myśli szły po najmniejszej drodze oporu.

Kiedy jeden z moich przyjaciół zaproponował mi, abym przyjechał do Warszawy jako **gość**, jako zwykły widz — przyjąłem zaproszenie tylko z ciekawości i po to aby zaspokoić mój stały głód podróży. I oto nic nie zostało z mojej obojętności, pogardy, ironii i uprzedzeń. Ustąpiły, znikły pod naporem świeżych a silnych wrażeń, którym musiał się poddać każdy uczciwy umysł.

Och, dobrze sobie zdaję sprawę, że moja podróż do Polski odbyła się w warunkach niecodziennych. Od chwili kiedy przybyłem na Kongres Pokoju, byłem gościem uprzywilejowanym, powiedziałbym nawet — świętym. Nie otwarto nawet moich waliz. Mógłbym swobodnie przewieźć przez granicę broń, pieniądze, „bibułę" (tak samo jak każdy spośród trzech tysięcy delegatów i gości). Mój pokój był jednym z najlepszych pokojów najlepszego hotelu Warszawy. Miałem do rozporządzenia własne auto. A kiedy chciałem, mogłem wsiadać do tramwaju lub odbywać piesze spacery. Żadnego nadzoru. Żadnych przeszkód stawianych mojej swobodzie, mojej ciekawości.

Widziałem to wszystko, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że przebywając w mieście, którego język, obyczaje i ulice są mi zupełnie nieznane, że spędzając w dodatku większość czasu na sali Kongresu, nie mógłbym twierdzić, że poznałem do głębi prawdziwe życie miasta, że mogłem poznać jego wewnętrzne problemy, czy też — istniejące może dramaty jego mieszkańców. Jestem zbyt dawno reporterem, aby popełnić podobny błąd. Ale jednocześnie jako stary reporter przywykłem wyczuwać prawdziwą atmosferę miasta, chwytać w lot jego miłości, nienawiści i porywy — nie mogłem więc przeoczyć zasadniczych, istotnych, nieodpartych faktów.

*) Artykuł ukazał się w paryskim tygodniku „Lettres françaises".

Joseph Kessel

Nie dlatego przecież, że przygotowano nam tak uroczyste przyjęcie, lud Warszawy, czy to w tłumie czy w mniejszych grupach czy pojedynczo, okazywał spontaniczną radość i zadowolenie, które dziwiłyby u ludzi wygłodzonych, prześladowanych czy też podporządkowanych wrogim rozkazom. Nie dlatego dzieci tryskały zdrowiem. Nie dlatego ubrania mieszkańców Warszawy były ciepłe i przyzwoite. Nie dlatego całe dzielnice spustoszonego [illegible] się z gruzów, odbudowane troskliwie i ze smakiem, aby ofiarować robotnikom mieszkania, które dla większości paryżan wydają się marzeniem. Nie dlatego książki zamiast jak przed wojną w kilku tysiącach egzemplarzy rozchodzą się teraz w dziesiątkach i setkach tysięcy. Nie dlatego stworzono olśniewający zdrowiem, żywiołowością i radością balet, którego uczestników wyszukano przed trzema laty wśród dzieci chłopów, zdolnych wówczas występować zaledwie na wiejskich świętach.

Przebywałem w Warszawie w warunkach wyjątkowych, ale przecież te wyjątkowe warunki nie straciły dlatego wartości. W ciągu paru dni, w spustoszonym jeszcze tak niedawno mieście zapewniono trzem tysiącom osób mieszkanie, wyżywienie i środki transportu. Przekształcono z godnym podziwu smakiem halę drukarską w komfortową salę Kongresu, dokonano w ciągu tak krótkiego czasu cudów organizacji. I to wszystko działo się w atmosferze najgorętszego zapału, w atmosferze entuzjazmu dla sprawy pokoju.

I ten entuzjazm nie ulega dla mnie wątpliwości. Zapał, miłość spotykałem w Warszawie na każdym kroku. Nie chodzi tu o napisy, transparenty, hasła. To mogło być wykonane na rozkaz, wbrew uczuciom. Ale nie mógł mylić wyraz twarzy, wzrok — ludzi. A ileż takich spojrzeń pełnych podziwu, czułości, serdeczności kierowało się ku mnie, ku gościowi, widzowi — czułem się wówczas jak uzurpator.

Czemu więc, jeżeli nie ogólnej, namiętnej żądzy pokoju, którego odblask, obietnicę naiwne i ufne oczy ludzi widziały na naszych twarzach, należy przypisać tę ogromną serdeczność ofiarowaną nieznanym cudzoziemcom? I trudno przypuścić, aby rząd, który pozwolił wszystkim swym obywatelom upajać się tak drogą im nadzieją, mógł pokryjomu myśleć o wojnie.

Tłum manewrował i maszerował przez oświetloną płomieniami noc. A ja rozmyślałem dalej.

Pokój komunistyczny — powiedzą mi po moim powrocie ostrożni. Diabelska przebiegłość, manewr, podstęp. Ale w takim razie, jak to się stało, że przeważająca większość delegacji francuskiej to nie byli komuniści? Że jeden z mówców angielskich, poseł konserwatywny, podpisał się pod uchwałami Kongresu? Powiedzą mi, że oszukano naiwnych. Ale w takim razie, aby odsłonić grę tych, którzy chcą oszukać, aby obnażyć ich machinacje, cóż prostszego niż udać się na konferencję, którą uchwaliły zgodnie wszystkie delegacje, z tym, że wschodnie, w przeciwieństwie do zachodnich, zaangażowały w tym własne rządy? Czyż lepiej zatykać sobie uszy, zasłaniać oczy i przeczyć, przeczyć, przeczyć uparcie, nie próbując znaleźć innej odpowiedzi niż szczęk broni? Chodzi tu przecież o najistotniejszy problem, najżywiej niepokojący nasze czasy, nasz świat.

A przecież wystarczało mi podnieść wzrok na estradę, o którą się opierałem, aby na twarzach wszystkich narodów świata wyczytać tę kosmiczną trwogę. Z miejsca, które zajmowałem, widziałem tylko przysunięte do siebie głowy stojących na trybunie delegatów. Bajeczny fresk wydobyty halucynacją oświetlenia. Mężczyźni i kobiety przybyli z pięciu kontynentów i siedmiu mórz, twarze wyrzeźbione we wszystkich odcieniach marmuru, hebanu, bronzu i bursztynu. Europejczycy, Amerykanie, Australijczycy, Murzyni, Metysi i Mulaci, Hindusi, Mongołowie, Arabi — mieli tego samego dnia rozpocząć podróż powrotną do swoich wielkich miast i małych miasteczek, do swoich ukrytych dolin i wysokich gór, w pampasy, dżungle, pustynie czy śniegi. A ponieważ przybyli z tak daleka, próbując powstrzymać grom — oddawało im honory miasto, które grom spustoszył i zniósł z powierzchni ziemi i k[illegible] z prawdopodobną odwagą i nadzieją podniosło się z ruin.

Dzieci, młodzieńcy, dziewczęta, kobiety i mężczyźni w kwiecie wieku, w pełni sił szli, szli bez końca niosąc transparenty, sztandary i płonące pochodnie. Zapał, nadzieja, wiara malujące się na ich twarzach nie zrodziły się na rozkaz. Może rozkaz zwołał tu tłum, może świadomy impuls nadał harmonię temu ruchowi mas. Ale od chwili kiedy uformował się pochód, który nie miał w sobie nic ze sztywności, nic z wojskowego drylu, nic sztucznego, od tej chwili manifestacja stała się żywiołowa i niewymuszona.

Nie, te okrzyki, podziękowania, wymowna prośba głosów i spojrzeń, to nie było na rozkaz. I swobodne były śpiewy i tańce, które przerywały gdzieniegdzie przemarsz tłumu. I między trybuną, na której widniał fresk nieruchomych głów — z marmuru, hebanu, bronzu i bursztynu — a falą ludzi niosących pochodnie zrodziło się głębokie, niecodzienne zrozumienie.

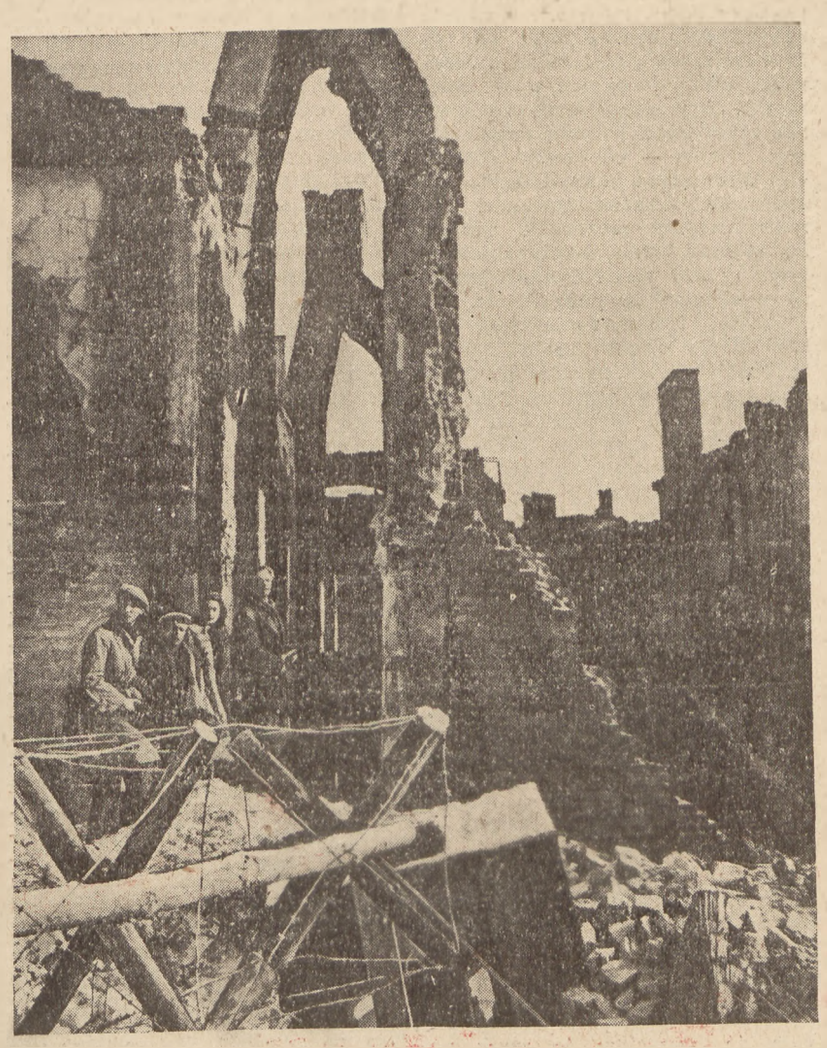

W poszukiwaniu drogi na brzeg Wisły w spalonej Warszawie. Scena z filmu „Miasto nieujarzmione"

SZEŚĆ LAT TEMU

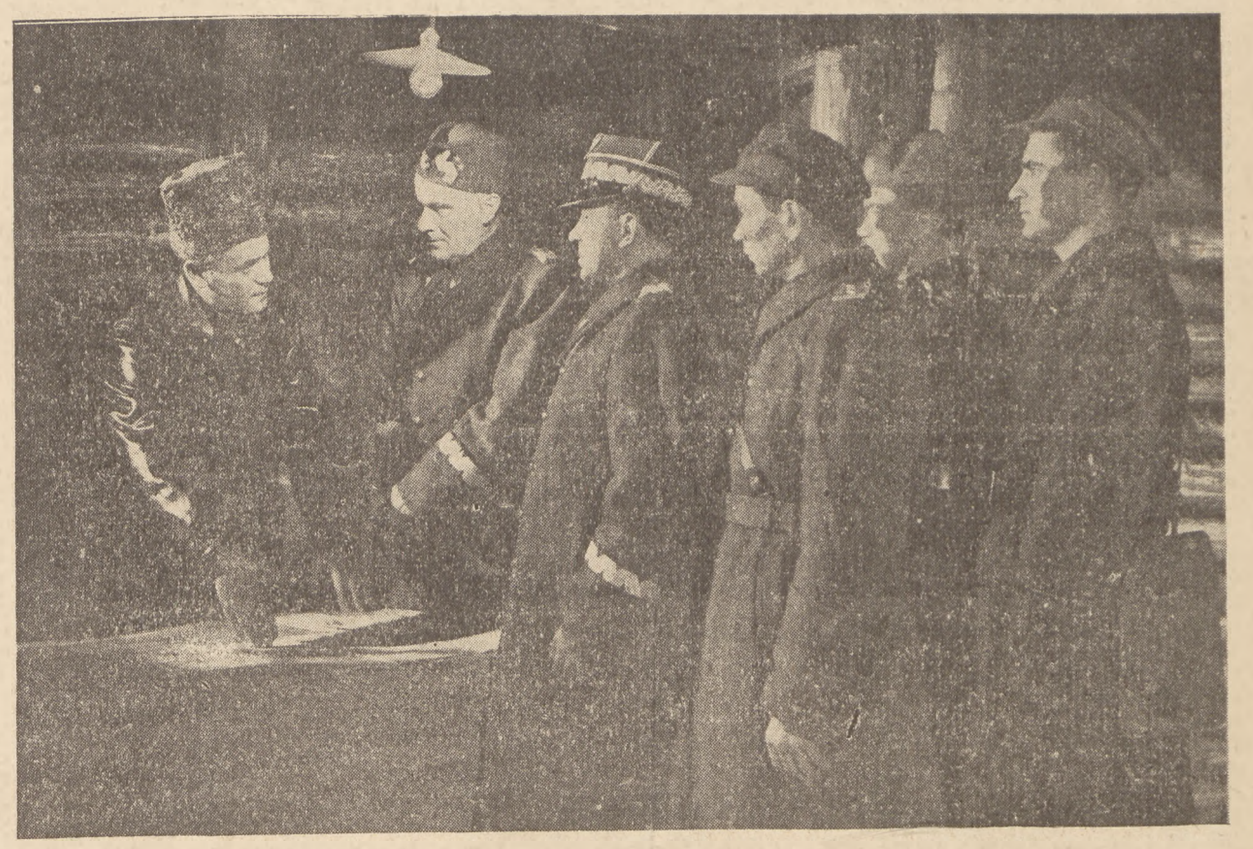

Przekazanie rozkazu Józefa Stalina o rozpoczęciu ofensywy na Wisłę sztabowi polskiemu. Scena z filmu „Miasto nieujarzmione"

I o tym ja — widz, ja — gość, uważałem za swój obowiązek opowiedzieć.

Joseph Kessel

P. S. Początkowo nie miałem zamiaru ogłaszać tych słów w „Lettres Françaises". Pragnąłem zobaczyć je na łamach pism, do których zwykle pisuję, to znaczy na łamach prasy, która nie ma charakteru politycznego i która nazywa się czysto informacyjną. Zwykle moje artykuły ukazują się tam bez trudności. Ale w tym wypadku w słowach równie przyjemnych jak wyraźnych odrzucono nawet samą myśl przewodnią tego artykułu.

Oto dlaczego ogłaszam tu moje wrażenia. Chcę dorzucić jeszcze aby być uczciwym, że daleki jestem od tego, aby podzielać wszystkie poglądy wyrażone w „Lettres". Nie należąc do żadnego stronnictwa, uważam za bardziej naturalne pisywać do pism bezpartyjnych. Zdaję sobie sprawę, że i tu również pewnych rzeczy „nie wolno ogłaszać". Ale tu, w piśmie walczącym, w piśmie głoszącym pewne idee zakaz ten opiera się na logicznych podstawach. **J. K.**

SALVATORE DI BENEDETTO

ROSNĄCEJ WARSZAWIE

Kocha się Paryż i Rzym —
można kochać Berlin lub New York,
ale to nie to,
to nie jest wielka miłość.

Dla tego, kto Cię ujrzał choć raz jeden,
tak jak ja Cię ujrzałem, Warszawo,
kto wyczuł rytm Twego serca,
tętniący w cegłach —
prawdziwiej i żywiej
niż ten, który drga w mej piersi —
ten zawsze będzie Cię wielbił
miłością nową i wielką
miasto zrujnowane
i wielokrotnie spalone,
które pnie się w górę
i odrasta w oddechach całego świata.

Codziennie budzisz się, Warszawo,
po nocy pełnej czuwania —
każdy dzień pieści nowe domy
i ich piękno, które rodzi się o świcie
mocą Twego przeznaczenia.

Na Twoich cegłach i kamieniach
leżą pocałunki i krew Twoich dzieci —
Warszawo —
miasto młodości,
wielbione przez oczy milionów,
rosnące ich sercami.

Otoczona dziećmi, widzę jak idziesz
ulicą długą i prostą
gdzie promienieje słońce.

Warszawo, Twoje dzieci
będą już dorosłe
kiedy i czas dojrzeje.

Jutro będziesz piękna, Warszawo,
a domy Twoje będą miały jasne oblicza,
pełne będą śpiewu Twe ogrody,
i Twe fabryki, które będą hartowały
nową stal — nowego życia.

Ale i dziś jesteś piękna,
i piękne jest Twoje nagie serce,
piękna jest Twoja nadzieja,
i Twoja wielka wiara.

Ty, która stałaś się wielką
na własnych ruinach —
rośnij, Warszawo!

Tłum. z włoskiego
S. COLLILIEUX

ADAM WAŻYK

O „JĘZYKU ARTYSTYCZNYM"

Chciałbym przytoczyć na wstępie pewien ustęp z pracy Stalina „W sprawie marksizmu w językoznawstwie". Stalin pisze:

„Powołują się na Marksa, cytują pewien ustęp z jego artykułu „Święty Maks", gdzie powiedziane jest, że burżua ma „swój własny język", że język ten „jest wytworem burżuazji", że jest on przesiąknięty duchem merkantylizmu i kupna—sprzedaży. Przy pomocy tego cytatu niektórzy towarzysze chcą dowieść, że Marks opowiadał się rzekomo za „klasowością" języka, że negował istnienie jednego wspólnego języka narodowego."

Dalej, w konkluzji Stalin pisze:

„Marks po prostu chciał przez to powiedzieć, że burżua zapaskudzili wspólny język narodowy swym kramarskim leksykonem, że burżua zatem mają swój żargon kramarski. Wynika z tego, że towarzysze ci wypaczyli stanowisko Marksa. A wypaczyli je dla tego, że cytowali Marksa nie jak marksiści, lecz jak tępi erudyci nie wnikając w istotę rzeczy."

Przykład ten pokazuje dosadnie, do jakich możemy dojść nieporozumień, jeżeli będziemy wychwytywali poszczególne zwroty, choćby nawet często używane, nie wchodząc w ich sens. Pozostawmy stylistom określenie, czy przytoczony zwrot, użyty przez Marksa, jest metaforą, metonimią czy hiperbolą, w każdym razie jest to zwrot przenośny, zastępczy; wyrazu „język" nie należy w tym kontekście traktować dosłownie. Termin „język" często występuje w wyrażeniach przenośnych, które mają wielką celność i lapidarność. Można ten wyraz zastosować przenośnie nawet do zjawisk, nie mających nic wspólnego z ludzką mową. Przykład takiego zastosowania znajdujemy w ustępie artykułu Żdanowa o muzyce przytoczonym przez Włodzimierza Sokorskiego w „Nowej Kulturze" (Nr. 40). W ustępie tym Żdanow mówi o przywróceniu „zasad wielkich realistów w muzyce, które są punktem wyjścia wszelkiego realistycznego języka". Dalej Żdanow mówi o „konieczności przewartościowania i przyswojenia sobie podstawowych zasad języka artystycznego wielkich realistów" w muzyce.

Oba te zwroty, zarówno „języka realistyczny", jak i „język artystyczny" są przenośniami przeirzystymi dla muzyków. Rzecz jasna, że nie można snuć żadnych analogii między tymi „językami", a „językami" sensu stricto, to znaczy narodowym językiem polskim, rosyjskim, francuskim, czy innym. Czy można propagować przywrócenie zasad, które by były punktem wyjścia języka polskiego? Wydaje mi się, że kto odejdzie od zasad (to znaczy: od gramatyki) języka polskiego, ten przestanie mówić po polsku. Czy można propagować przewartościowanie języka polskiego, rosyjskiego lub francuskiego? Wydaje mi się, że takie niedorzeczności propagowali tylko uczniowie Marra. W pracach swoich o językoznawstwie Stalin z taką jasnością wyłożył, czym jest język, że miłośnicy łatwych analogii powinni się grubo zastanowić, zanim będą jakiekolwiek zjawiska porównywali z językiem.

Niestety, wielu naszych ideologów usiłujących rozwinąć estetykę realizmu socjalistycznego chwytamy się nieraz przenośnych zwrotów: „język realistyczny" i „język artystyczny". Drogą lekkomyślnego uogólnienia i abstrahowania zaczynamy mówić o „języku artystycznym" jako takim. Niewinny zwrot stracił swój sens konkretny, zrozumiały w odpowiednim kontekście. „Język artystyczny" urósł do podstawowego pojęcia w proponowanej estetyce. Pojęcie to ma obejmować wszystkie dziedziny sztuki naraz. Na skutek tej manipulacji specyfika wszystkich dziedzin sztuki została naraz zaciemniona.

We wspomnianym artykule Sokorskiego czytamy:

„Oczywiście Stalin pisze o języku w dosłownym tego słowa znaczeniu. Niewątpliwe jest jednak, że podstawowe zasady języka artystycznego — jego swoista składnia, budowa, gramatyka — służą jako narzędzie człowieka tym samym procesom myślowym w poznawaniu zjawisk otaczającego nas świata co i język mówiony".

W tej wypowiedzi nagromadziło się sporo nieporozumień. Po pierwsze — dlaczego Sokorski sprowadza język do funkcji poznawania zjawisk otaczającego nas świata? „Język jest środkiem, narzędziem, przy pomocy którego ludzie komunikują się ze sobą, wymieniając myśli i osiągają wzajemne porozumienie" (Stalin). Po wtóre — nie każda dziedzina sztuki daje nam takie same bogactwo poznania. Jakie poznanie zjawisk otaczającego nas świata daje nam balet klasyczny, albo symfonia?

Ale nie tylko na tym polega nadużycie metafory. Autor artykułu snuje analogię między powszechnie znanym zjawiskiem społecznym, jakim jest język, a nieznanym nam wcale i oczywiście nie istniejącym zjawiskiem społecznym, które nazywa „językiem artystycznym". Odróżnia „język mówiony" i coś, co nie jest „językiem mówionym". W tym miejscu kłania się Marr, mitolog języków niemówionych.

Jak wiadomo, język charakteryzuje się gramatyką i zasobem słownictwa. Gramatyka stanowi o odrębności języka nawet przy bardzo zbliżonym słownictwie dwóch pokrewnych języków, ale nie istnieje gramatyka bez słownictwa. „Pięknie zaryczałeś, lwie", powiada Spodek u Szekspira. Ale nawet Spodek nie twierdził, że ryk lwa ma swoją gramatykę. Szczebiot dziecięcy i mowa słowicza również obywa się bez gramatyki. Tymczasem z przytoczonej wypowiedzi Sokorskiego wynika, że oprócz języków narodowych istnieje jeszcze jakiś uniwersalny „język artystyczny" (w malarstwie, rzeźbie i muzyce), język bez słownictwa, który ma jednak swoją gramatykę i składnię. Nawet „swoistą" gramatykę i składnię. Co to wszystko znaczy? Niewątpliwie są to metafory, ale klucza do nich znaleźć niepodobna. Systemem piętrzenia metafor nie buduje się estetyki.

We wspomnianym artykule o muzyce Żdanow prowadził walkę ideologiczną o sztukę socjalistyczną i za niezbędny warunek tej sztuki uważał „przyswojenie sobie podstawowych zasad języka artystycznego wielkich realistów". Skoro jakieś zasady stają się w naszych czasach przedmiotem walki ideologicznej o sztukę socjalistyczną, to żaden marksista nie może twierdzić, że zasady te nie wchodzą w skład nadbudowy. Walka, prowadzona przez Żdanowa, była walką socjalistycznych poglądów artystycznych z poglądami burżuazyjnymi schyłkowego okresu kapitalizmu, walką nowej nadbudowy z pozostałościami starej.

Tymczasem Włodzimierz Sokorski twierdzi, że podstawowe zasady „języka artystycznego" w sposób maksymalnie uniwersalny (przyznaję, że nie wiem, co to znaczy), realistyczny, zbliżają „odcisk" obrazu do artystycznie ukształtowanego dzieła sztuki, że zasady te są częścią świadomości społecznej, która nie zmienia się w sensie jakościowym każdorazowo wraz ze zmianą bazy. Innymi słowy „język artystyczny" Sokorskiego nie wchodzi w skład nadbudowy.

Chciałbym jeszcze raz przypomnieć, że jeżeli odejdę od gramatyki polskiej, to przestanę mówić po polski i zacznę bełkotać. Malarze, którzy odeszli od perspektywy, nie przestali uprawiać malarstwa. Walka o przywrócenie perspektywy jest cząstką walki o malarstwo realistyczne, cząstką walki ideologicznej. Czy perspektywa należy do zasad owego uniwersalnego „języka artystycznego", o którym mówi Sokorski? Chyba tak. Plamy barwne na płótnie grają rozmaicie w zależności od sąsiedztwa. Te prawa optyczne nie podlegają żadnej walce ideologicznej. Czy należą one do zasad owego „języka artystycznego"? Chyba tak. Mamy więc dwie zasady „języka artystycznego" z których jedna należy obecnie do nadbudowy, a druga nie należy.

Koncepcja „języka artystycznego" jako uniwersalnego czynnika wszystkich sztuk prowadzi nas do różnych nieporozumień i zaciera rzeczywiste zagadnienia językowe w sztuce posługującej się językiem narodowym, a więc — w literaturze. Termin „język artystyczny" w jednym tylko wypadku nie jest metaforą, mianowicie, kiedy oznacza to samo, co „język literacki". W świetle pracy Stalina o językoznawstwie staje w całej ostrości obszerny kompleks zagadnień dotyczących języka literackiego, to znaczy — języka narodowego w literaturze. Jak dotąd, tych zagadnień u nas nie tknięto.

Wszelkie próby uogólnień bez konkretnego zbadania każdej dziedziny sztuki z osobna, bez zanalizowania jej specyfiki, prowadzą do takiej czy innej scholastyki. Zanim przystąpimy do uogólnień, musimy ustalić pojęcie w zgodzie z filozofią materialistyczną. Sądzę, że zwrot przenośny „język artystyczny" nie nadaje się do rozważań teoretycznych. Nie można też rozwijać estetyki marksistowskiej przy pomocy terminów „na domowy użytek". Trzeba pamiętać, że „na domowy użytek" kursują od wielu lat terminy i pojęcia pochodzące z wrogiej marksizmowi filozofii i estetyki. Takim terminem, takim pojęciem jest „przeżycie artystyczne"', kukułcze jajo bergsonizmu. I to jajo, niestety, znalazło się w inkubatorium niektórych naszych ideologów sztuki.

Estetyki realizmu socjalistycznego nie można wyprowadzić na poczekaniu. Sądzę, że tylko konkretne i jeszcze raz konkretne badanie każdej dziedziny sztuki w jej historycznym rozwoju w zestawieniu z praktyką socjalistyczną może nas posunąć naprzód, wskazując drogę do słusznych uogólnień teoretycznych

Adam Ważyk

VLADIMIR POZNER

Spotkanie nad Wisłą

W Warszawie byliśmy zbyt pochłonięci wzruszeniem aby od razu właściwie ocenić wielkość i napięcie Kongresu Pokoju. Znam ludzi z Bombaju i z Rio, z Nimes i z Jerozolimy, dla których Kongres ten pozostanie największym wydarzeniem ich życia. To co innego czytać, że ludzie są braćmi, a co innego skąpać się w oceanie ludzkiego braterstwa. Trzeba było być reporterem z „Paris Match", z „New York Times" czy z londyńskiego „Daily Express", aby tego nie zrozumieć i nie odczuć. Z ciekawości przejrzałem kilka „wypracowanek", które ukazały się w tych pismach. I okazało się, rzecz jasna, że nie mają one nic wspólnego z Kongresem ani z Polską. Ale mimo to są świadectwem: świadczą o tym jak burżuazyjne dziennikarstwo zniekształca ludzkie istoty. Biedni ludzie, tak dumni ze swoich garbów.

A przecież nie było w tym żadnego czarnoksięstwa. Wystarczyło uważnie obserwować samego siebie. Kiedy pochwyciło się siebie na gorącym uczynku łez w oczach i uśmiechu na ustach przy rozmowach z obcymi ludźmi innych krajów, jak można było, nie będąc hipokrytą podejrzewać szczerość ich łez i uśmiechów? W Warszawie, nie poddając się podejrzliwości uśmiechaliśmy się i płakaliśmy przez cały czas.

Szukam powodów tego podniecenia. Oczywiście, była Warszawa, a naokoło gmachu Kongresu ciągnęły się ruiny pokryte chorągwiami pokoju. Warszawa, jednak nie wystarczy aby wytłumaczyć wszystko. Warszawa to przyjazd. Trzeba pamiętać o odjeździe.

Każdy z nas, aby zostać delegatem na Kongres zrobił coś dla sprawy Pokoju: pisał wiersze, odsiadywał więzienie, zbierał podpisy. A przecież wielu delegatów, niewątpliwie większość, nie opuszczała dotąd swego kraju, niektórzy nie wyjeżdżali poza obręb swej prowincji, kilku poza obręb wsi. Na przykład nauczycielka z Bombaju; czy też Irena Kuschke robotnica z Wiscansin: ze środków lokomocji znała tylko tramwaj. Nie chciała mi powiedzieć czym zasłużyła się dla sprawy pokoju, wspomniała tylko, że jej matka zawołała: „Byłam pewna, że to ciebie musi spotkać"; o ojciec nie przestawał się uśmiechać.

Wszystko zaczynało się od walizki, którą trzeba było kupić, ponieważ się jej nie posiadało (wiele przyjechało do Warszawy tych tanich tekturowych waliz obitych wewnątrz, niczym pokój służącej, wzorzystą materią). A teraz, co zapakować? W Bombaju w listopadzie jest ciepło, w Wisconsin pada śnieg, jaka więc pogoda może być w Sheffield: wierzono jeszcze, że Kongres odbędzie się w Anglii. Trzeba było uważać, aby walizka nie była zbyt ciężka i jechano na dworzec tramwajem, wozem zaprzężonym w woły, sankami lub bryczką. Na peronie czekali przyjaciele, ci którzy w sto, a nawet i tysiąc osób, złożyli się na kupno biletu. A potem, w pociągu, po raz pierwszy w życiu pozostawało się samym, ze swoją walizką, pośród obcych osób, a Sheffield majaczył na drugim końcu świata. Jaka tam będzie, na końcu świata pogoda?

Było szaro, było wilgotno, zza dziwacznych kontuarów wyszli młodzi ludzie z goździkami w butonierkach i przetrząsali wasze kieszenie, paszporty i myśli. Na każdym kontuarze leżał stos broszurek „Witajcie w Anglii". A potem oświadczenie: „Zdecydowano się nie wpuścić was do wielkiej Brytanii. Przepędzicie noc w sąsiedniej sali. W nocy nie odlatują samoloty".

Noc i samotność. Noc i warkot motorów samolotów. Noc i odgłos kroków. Wchodzi kobieta, która potyka się ze zmęczenia. Potem mężczyzna. Potem inna kobieta. Wtedy spotkałem po raz pierwszy Irenę Kuschke, robotnicę z Wiscansin. Nauczycielkę z Indii poznałem dopiero w pociągu jadącym do Warszawy.

Ale przedtem były trzy przystanki. Pierwszy, Paryż, już mi zbyt znajomy abym mógł mu wystawić świadectwo. Trzeba było go odkryć na nowo z delegatami z Ameryki. Szofer, który ich wiózł, chłopiec z Irry zdecydował, że musi ich zapoznać z historią rewolucyjnego Paryża — od czasów Bastylii do Wyzwolenia. Mówił tylko po francusku, francuskiego nikt nie znał: wszyscy zrozumieli wszystko, ci sami ludzie, którzy z otwartymi ustami słuchali angielszczyzny wychowanków pana Attlee.

Trzeba, trzeba koniecznie, aby ktoś kiedyś opisał „La Maison de la Pensée" przekształcony na przeciąg tygodnia w ogromny dom zajezdny, dwustu pięćdziesięciu Włochów, którzy sprawiali zgiełk niczym tysięczny tłum (za każdym razem kiedy otwierały się jakieś drzwi, pojawiał się jakiś Włoch), nieustanne: „Hallo, Praga! Hallo, Londyn! Hallo, Warszawa!", długie jak ramię sandwicze, Meksykanina, który rumiany snem spał na ramieniu Senegalczyka, „Oto paszport Joliot-Curie", „Za dwadzieścia minut na lotnisko, przybędzie delegat Syrii" a wreszcie człowieka, który robił wrażenie posągu z jasnego brązu, który majestatycznie jak król Inka wstępował na schodach z marmuru, Pabla Nerudę.

Po Paryżu Bruksela: gołąb na peronie dworca, browar przekształcony na stołówkę, obiad, dobre brukselskie piwo, dziesięć kobiet, które nie kładły się od 48 godzin, ale uśmiechały się nadal, i które pomyślały nawet o kartach pocztowych dla tych, którzy chcieli napisać do swoich rodzin. „Zostawcie nam je, wrzucimy je zaraz na poczcie, nie trudźcie się". A na lotnisku dziewczyna, z zawodu pielęgniarka, która uginała się pod ciężarem paszportów, biletów i snu. Pomarańczowe i niebieskie światła, czeskie samoloty, które czekały tylko na pasażerów — delegatów, aby natychmiast odlecieć, piloci, którzy mieli rozpocząć szósty przelot tego samego dnia: powietrzny most pokoju poprzez noc i mgłę Niemiec Zachodnich: wczoraj nazywało się to **Nacht und Nebel** dziś — **Night and Fog.**

Głos, który stara się mówić kpiąco, ale zdradza, wbrew woli, bojaźń.

— Żelazna Kurtyna.

Światła Pragi.

Drzwi od kabiny otwierają się przy wtórze harmonii i radosnych okrzyków. Wokoło młodzież w niebieskich koszulach, ręce pełne kwiatów. Czy tańczyliście kiedyś o drugiej w nocy na lotnisku? Czy śpiewaliście kiedyś w komorze celnej ludowe piosenki czeskie na przemian z murzyńskimi **spirituals**, słysząc jednocześnie lądujące samoloty i widząc jak z chmur przybywają na nocną zabawę Włosi, Senegalczycy, Żydzi, Luksemburczycy, Anglicy, chwytani natychmiast do tańca, zachęcani, całowani, zachwyceni. Szukałem spojrzenia Ireny Kuschke. Miała zaczerwieniony nos, oczy pełne łez, a drżące wargi rozjaśniał ufny uśmiech. Obserwowałem jej towarzyszy: wszyscy płakali.

W autokarze, którym jechaliśmy z lotniska do Pragi głos Amerykanina:

— Zabijać tę młodzież? — Milczenie i: Nie ja.

Młodzież ta oczekiwała nas nazajutrz na dworcu aby odebrać nam walizki, a wzamian obsypać kwiatami. Delegaci wchodzili do specjalnego pociągu, peron pełen był niebieskich koszul, grała muzyka, krzyczano, śpiewano, klaskano, pociąg ruszył, chłopcy i dziewczęta biegli wzdłuż wagonów ściskając jak największą ilość rąk i rzucając ostatnie kwiaty.

Jak tu spać? W Pradze i w Paryżu jest północ, w Nowej Żelandii południe, w Wiscansin szósta po południu, w Bombaju piąta trzydzieści rano. A nauczycielka z Bombaju, ubrana w sari opowiada mi jak dyskutowała z sąsiadami zbierając podpisy pod Apelem Sztokholmskim, poruszała te same sprawy co ja na ulicy Mazarin w Paryżu, co Irena Kuschke w Wiscansin. Wszyscy troje mówimy po angielsku, to przypadek, a przecież delegatom nigdy nie sprawiało trudności znalezienie wspólnego języka. Któregoś dnia spotkałem pisarza z radzieckiego Tadżykistanu i poetę hinduskiego. Jeden mówił po rosyjsku, drugi po angielsku, a ja tłumaczyłem. W pewnej chwili przestałem — zaczęli dyskutować między sobą. „Ależ po jakiemu mówicie?" spytałem. „Oczywiście po persku!" Delegaci zawsze znajdowali możność porozumienia

(dokończenie na str. 11-ej)

LUDMIŁA TATIANICZEWA tłum. IRENA TUWI

BASŃ ZIMOWA

O północy granatowej
W mroźne szyby tchnij leciutko.
A zobaczysz jak zimowe
Sosny zdobią śnieżne płótno.

Jak cieniutkie ich igiełki
Krzyżykami znaczą wzory,
Pod puszystym bór futerkiem
Schował czarne swe kędziory.

A za sennym lasem, w stronę
Naszej fabryki — moc świateł,
Płomień lisim swym ogonem
Firmamentu skłon zamiata.

Na gwiazdospad spójrz niebieski,
Na promienia przelot chyży,
I uwierzysz, że tu mieszka
Baśń zimowa gdzieś w pobliżu.

MIKOŁAJ ZABOŁOCKI Przełożył GABRIEL KARSK

PÓŁNOC

U progów Azji, w nieprzebytych kniejach,
Gdzie w gęstych chmurach, okowane mrozem,
Czuby sędziwych nurzają się sosen;
Gdzie wilka w biegu przewraca zawieja;
Gdzie, omotany lodowatym tchnieniem,
Ptak leci, leci... nagle zatrzepoce,
Zawisł w powietrzu — już stężały w locie —
I martwy pada na ziemię kamieniem;
Gdzie, w swe łożyska wciśnięta głębokie,
Podobne trumnom z kamiennego lodu,
Dnem rzek uroczych powolutku woda
Sączy się skryta przed człowieczym okiem:
tam gdzie już samo — ostre i świetliste —
Powietrze z zimnych kryształów złożone
Daje nam szczęście: życie rzeczywiste;
Gdzie krąg słoneczny przywdziewa koronę;
Gdzie ludzie w wielkich kołpakach futrzanych,
Spod których — niby oszroniałe wiechy —
Sterczą ich brody, siadają do sani,
Kłębami pary znacząc swe oddechy;
Gdzie konie — niby mamuty w uprzęży,
A kiedy biegną, w kadłubach im rzęzi;
Gdzie dym nad strzechą sterczy jak ponura,
Przerażająca dla oczu oczu figura;
Gdzie śnieg, gdy prószy, to na naszej dłoni
Mieni się, iskrzy niby gwiazdka blada,
To mignie krążkiem gdzieś na nieboskłonie,
To krzyżkami do nóg nam przypada;
U progów Azji, gdzie trwa mróz siarczysty,
Gdzie mąż w tułupie w szubę stroi żonę, —
Zazdrośnie kryjąc skarby niezmierzone,
Leży wśród śnieżnych zasp mój kraj ojczysty.

A jeszcze dalej, gdzie polarne morze
Huczy noc całą i piętrzy pionowo
Nieprzeliczone zwały kry nad głową;
Gdzie, śmigłem ledwo wirując w przestworze,
Samolot, w którym lód powleka wszystko,
Ku oddalonym zdąża zimowiskom, —
Tam wśród lodowych złomów się odcina
Cień nad przepaścią. To cień „Czeluskina".

Jest nieruchomy. Patetyczna zjawo,
Czemu nasz trwożysz swą dziwaczną sławą?
Tyś wyobraźni tylko mgłą, majakiem,
Lecz czyn twój będzie świadectwem i znakiem:
Że na Północy, w państwie wiecznej zimy,
Pierś rozdzierając morza skamieniałą,
Lodołamaczów flotylle-olbrzymy
Nad światem drogę przebiją wspaniałą.

Jak brontozaury epoki prastarej,
Ruszą pochodem te człowiecze dzieła —
Zbiorniki dziwów, pływające czary —
Bijąc śrubami, skroś lody na przełaj.
Cała przyroda w swe martwe ramiona
Schwyci je, ujmie, ale, odrzucona
Wstecz, górą klęski wśród lodowej bieli
Runie — i powstać już się nie ośmieli.

JERZY PIÓRKOWSKI

Z powodu filmu „Miasto nieujarzmione"

I

Wyświetlany obecnie na naszych ekranach film polskiej produkcji „Miasto nieujarzmione" (scenariusz: J. Andrzejewski i J. Zarzycki, reżyseria: J. Zarzycki), jest filmem niewątpliwie bardzo znamiennym i ciekawym dla obecnego, a raczej już przemijającego etapu rozwoju naszej kinematografii, filmem nasuwającym szereg konkretnych i ogólniejszej natury uwag. Nie pretendując bynajmniej do wyczerpania całokształtu problematyki ideologicznej i formalnej, chciałbym zwrócić uwagę na pewne jego, moim zdaniem, najbardziej charakterystyczne cechy i na tej podstawie dojść do wniosków, jakie można z owych cech wysnuć.

Film „Miasto nieujarzmione" jest tematycznie ściśle związany z naszą walką narodowo-wyzwoleńczą na terenie kraju w okresie II wojny światowej. Kinematografia polska ma w dorobku szereg filmów o bliźniaczej tematyce. Za najbardziej bliskie i charakterystyczne uważam wśród nich filmy: „Za wami pójdą inni"

Radziecki spadochroniarz Fiałka (Trusieniew) kieruje ogniem radzieckiej artylerii

(reż. i scenariusz J. Bohdziewicz) oraz „Dom na pustkowiu" (scenariusz: J. Iwaszkiewicz, reż. Jan Rybkowski).

Co te filmy łączy?

Przede wszystkim treść: wszystkie trzy filmy poświęcone były w założeniu walce narodowo - wyzwoleńczej prowadzonej przez Gwardię i Armię Ludową przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy.

Uważam, iż rzeczą nieodzowną jest wziąć pod uwagę i te poprzednie filmy polskie, to znaczy naszą rzeczywistość filmową na tym odcinku — gdyż to dopiero ukaże nam jasno linię rozwojową naszego filmu na tym odcinku, linię zasadniczo, rzecz bezsporna, jakościowo wznoszącą się i to zarówno treściowo jak i formalnie.

II

Na początku kilka stwierdzeń zasadniczych.

Druga wojna światowa była wojną niepodobną do pierwszej.

Co było w niej rzeczą najistotniejszą?

Udział pierwszego państwa socjalistycznego — Związku Radzieckiego. Ten fakt miał przełomowe znaczenie.

Druga wojna światowa stała się na skutek udziału w niej Związku Radzieckiego wielką bitwą ideologiczną, gigantycznym starciem klasowym.

Na ten jej charakter wskazał Józef Stalin już w dniu 3 lipca 1941 r. stwierdzając w przemówieniu radiowym:

„Wojny z faszystowskimi Niemcami nie można uważać za zwykłą wojnę. To nie tylko wojna między dwiema armiami. Jest to zarazem wielka wojna całego narodu radzieckiego przeciwko niemieckim wojskom faszystowskim. Celem tej ogólnonarodowej wojny przeciwko ciemiężcom faszystowskim jest nie tylko usunięcie niebezpieczeństwa, które zawisło nad naszym krajem, ale i udzielenie pomocy wszystkim narodom Europy, jęczącym w jarzmie niemieckiego faszyzmu".

Zwycięstwo Armii Radzieckiej było więc nie tylko zwycięstwem zbrojnym w sensie rozgromienia ówczesnych zjednoczonych sił faszyzmu, ale było zarazem wielkim zwycięstwem idei, zwycięstwem klasowym o historycznej doniosłości dla całego świata.

W rezultacie tego zwycięstwa został ostatecznie złamany nie tylko włoski, niemiecki i japoński imperializm, ale również szereg krajów — w których rewolucyjny proletariat stał się siłą kierowniczą walki narodowo - wyzwoleńczej stanął aktywnie w szerokim froncie narodowym do walki u boku swego ideowego i klasowego sojusznika, Armii Radzieckiej — odzyskało wolność oswobadzając się od tyranii i własnej burżuazji.

Co było istotą owej walki narodowo - wyzwoleńczej prowadzonej pod kierownictwem rewolucyjnej klasy robotniczej w krajach okupowanych przez Hitlera?

Istotą, zasadniczym zadaniem tej walki była jak najbardziej skuteczna, jak najszersza pomoc dla ponoszącej główny ciężar walki Armii Radzieckiej.

Armia Radziecka była jedyną siłą, która mogła złamać międzynarodowy faszyzm, Armia Radziecka była ideologicznie i klasowo jedyną siłą, która mogła wyzwolić narody nie tylko spod tyranii hitlerowskiej, ale i pomóc im do wyzwolenia się spod przemocy własnej burżuazji.

We wszystkich krajach okupowanych przez niemiecki faszyzm burżuazja przyjęła tę samą klasową taktykę osłabiania rosnącej woli walki wśród ludu, taktykę połączoną z gorączkowym montowaniem kadr własnemu narodowi wobec rosnącej razem z ruchem narodowo - wyzwoleńczym fali przypływu ruchu rewolucyjnego.

W przekroju toczonej wówczas walki oznaczało to liczenie na rozstrzygnięcie wojny przez imperializm anglo - amerykański, a więc przez swojego klasowego sojusznika. W tych faktach tkwiły korzenie zasady „ekonomiki krwi", stąd wyrastała klasowa niewiara, a właściwie trwoga wobec ludu, lęk przed uzbrojeniem jego nawet jako chwilowego sprzymierzeńca.

U nas sytuacja obfitowała w szczególnie ostre, w szczególnie dramatyczne konflikty. Wpływał na to ten podstawowy fakt, iż Armia Radziecka walczyła stosunkowo blisko nas, że mimo zapory frontowej, mimo terroru na zapleczu, w miarę rozwoju sytuacji wojennej coraz silniejsze było oddziaływanie na masy ludowe tych zmagań i to zarówno w sensie oddziaływania ideologicznego, co oznaczało przyciągnięcie coraz szerszych rzesz ludności do aktywnej walki wyzwoleńczej, jak też w sensie zwiększenia aktywności wojennej, co wyrażało się rosnącą konkretnością i celnością partyzanckich uderzeń w hitlerowską machinę wojenną.

Józef Stalin wskazał dokładnie, jakie formy owa aktywność powinna przybierać. Wskazania te były równie ważne dla partyzantów radzieckich jak i dla polskich oddziałów partyzanckich działających na zapleczu frontu.

„Zadawać potężne ciosy wrogowi na tyłach, jego drogom komunikacyjnym, magazynom wojskowym, sztabom i przedsiębiorstwom, niszczyć linie łączności przeciwnika". (J. Stalin: „O wielkiej wojnie narodowej Związku Radzieckiego").

Wszystkie te formy walki wyzwoleńczej ,walki partyzanckiej miały jedną i tę sama treść (powtórzmy to jeszcze raz): jak najbardziej pełną, jak najbardziej wydajną pomoc dla Armii Radzieckiej ponoszącej główny ciężar walki.

Analizując z kolei rolę burżuazji i jej agentur w ówczesnym okresie na terenie naszego kraju musimy stwierdzić wielki, zasadniczy przełom, jaki nastąpił w jej aktywności w obliczu tego zasadniczego, przełomowego dla całej wojny faktu, jakim było rozpoczęcie ofensywnego pochodu przez Armię Radziecką. Im bardziej ów wyzwoleńczy front się zbliża, tym jawniej, tym bezwzględniej usiłuje burżuazja tłumić ów płomień antyfaszystowskiej walki. Po „ekonomice krwi" przyszła więc logicznie i zmiana taktyczna: teoria „dwóch wrogów", która była hasłem do przystąpienia do aktywnej walki na jednym froncie, wymierzonym faktycznie przeciwko jednemu wrogowi: masom ludowym biorącym aktywny udział w walce narodowo-wyzwoleńczej, przeciwko jej ideologicznej i klasowej ostoi i nadziei— Armii Radzieckiej.

Dzień rzucenia tego hasła był więc konsekwentnie dniem zdrady przez całą burżuazję, był dniem jej zdrady narodowej. W planach strategicznych imperializmu anglo - amerykańskiego było to próbą przygotowania sobie w ten sposób zawczasu pozycji wypadowych do nowej interwencji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, oznaczało to próbę osłabienia źródeł sił Armii Radzieckiej przy pomocy już nie tylko coraz silniej bitego faszyzmu niemieckiego, ale również i w danym wypadku naszego, polskiego faszyzmu. Lecz siła Armii Radzieckiej, rozbijającej hitlerowską machinę wojenną, a także jej bliskość zdynamizowały i siły ludu wyrosłe w tej walce, siły, które po wyzwoleniu przez Armię Radziecką naszego kraju zlikwidowały burżuazyjny aparat przemocy, jego bazę ekonomiczną i społeczną. Armia Radziecka jako nasz ideologiczny i klasowy sojusznik uniemożliwiła wszelką próbę otwartej interwencji ze strony imperializmu światowego. W ostatecznym więc swoim wyniku wojna wykazała wyższość ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym nie tylko jak dotychczas, na polu budownictwa gospodarczego, społecznego i kulturalnego, ale również, co jest faktem o zasadniczym znaczeniu, w dziedzinie prowadzenia wojny, w dziedzinie sztuki wojennej.

III

Jak w świetle powyższych, znanych zresztą ogólnie, stwierdzeń rysuje się problematyka wymienionych przeze mnie na wstępie filmów?

Pierwszym wyprodukowanym filmem był film „Za wami pójdą inni". Niestety, film ten właściwie nad problematyką ideologiczną, nad problematyką klasową przechodzi do porządku dziennego, czyli po prostu — pomija ją. Jego treścią, jego koncepcją dramaturgiczną są dzieje panny z tzw. „dobrego domu" znajdującej drogę do ludzi lewicy walczących z okupantem. Przełom następuje w niej pod wpływem dostrzeżonej bezpośrednio tragedii narodu żydowskiego oraz przeżyć osobistych (naturalnie z lewicowym bojowcem). Tyle jeśli chodzi o fabułę. Reportażowo ukazuje film kilka przejawów walki z okupantem hitlerowskim, zrobionych plakatowo, bez pogłębienia treściowego, bez konsekwentnego ustawienia ideologicznego tych historycznych faktów. Jak więc widzimy, głównym nurtem w filmie płynie mieszczańska intryga, którą tkają mieszczańskie postacie, pełne mieszczańskiego humanitaryzmu, pełne narodowego solidaryzmu. Daje to w konsekwencji fałszywy obraz dekoratywnego tła historycznego.

Bardzo charakterystyczne są te zafałszowania.

Podaję przpkładowo:

1) Treściowe zafałszowanie istoty Frontu Narodowego w walce narodowo - wyzwoleńczej (np. w filmie „Za wami pójdą inni" siłą kierowniczą tej walki jest właściwie... drobnomieszczaństwo).

2) Ukazanie walki narodowo - wyzwoleńczej nie w jej głównych przejawach, które były przejawami jak najszerszej pomocy dla Armii Radzieckiej, ale w jej pracach pomocniczych, uzupełniających (np. praca tajnej drukarni, akcja likwidacyjna w mieście).

Film następny: „Dom na pustkowiu" mimo tego, iż ukazał się w okresie późniejszym (i to w okresie dosyć decydująco późniejszym: po III plenum Komitetu Centralnego PZPR, a więc po rozpoczęciu szerokiej, nieubłaganej walki z odchyleniem prawicowym i nacjonalistycznym), błędy swojego poprzednika, moim zdaniem, pogłębia. Scenariusz jest w swoich zasadniczych zarysach kompozycyjnie bliźniaczy „Wiernej rzece" Stefana Żeromskiego. Już jednak temu wielkiemu pisarzowi nie udało się w książce powiedzieć prawdy o swoich bohaterach — bohaterach szlacheckich.

Proporcjonalnie gorzej wygląda sprawa z „Domem na pustkowiu" jako obrazem walki wyzwalającego się proletariatu. Prawda (w filmie) leży tym razem historycznie po środku: „Dom na pustkowiu" jest treściowo i formalnie w swej istocie mieszczański, burżuazyjny i wszelkie poprawki faktu tego nie zmieniły. Autor scenariusza zakłada tezę: nie było w walce narodowo - wyzwoleńczej „domów na pustkowiu". Nawet i tutaj bowiem naszego ukrywającego się bohatera znajdują ludzie walki, którzy wciągają go do niej. Inteligent zaktywizowany wciąga do niej ukochaną, która przestaje być zazdrosna i staje z nim razem do walki. Znowu więc bohaterem głównym jest mieszczanin, a głównym konfliktem, główną fabułą — perypetie miłosne. Znowu na walkę narodowo-wyzwoleńczą patrzymy mieszczańskimi, może i pełnymi dobrej woli, ale mieszczańskimi oczyma, jakże mało a raczej jakże nieprawdziwie widzącymi. Film ukazuje również działalność podziemną ludzi lewicy polskiej. I rzecz charakterystyczna — ludzie ci w akcji znowu ukazani są nie w swych najbardziej typowych i charakterystycznych przejawach. Natomiast mamy znowu akcję gazetkową, mamy produkowanie i gromadzenie broni, mamy przyjmowanie zrzutów, a więc charakterystyczne, typowe przejawy... akowskiej działalności. Wielkim, ale logicznym nieporozumieniem jest scena końcowa filmu, w której gotowemu do wymarszu oddziałowi Armii Ludowej dowódca czyta Manifest PKWN-u wzywający cały naród do ogólnego powstania. Stwarza to szkodliwą sugestię, iż oddział ten dopiero obecnie staje do bezpośredniej, aktywnej walki. Tak to i historycznie, i ideologicznie mści się przemalowywanie mieszczuchów na proletariackich bohaterów.

Już ten pobieżny przegląd obu filmów pozwala nam stwierdzić, iż filmy te powstały jako rezultat istnienia odchylenia prawicowego i nacjonalistycznego na odcinku kultury. Ciąży to zresztą nie tylko na ich treści, ale i na rzeczy organicznie z nią związanej — formie, gdzie widzimy bardzo silne tendencje naturalistyczne, i to zarówno w pracy scenariuszowej jak też reżyserskiej i operatorskiej. Trzeba dla jasności ogólnego obrazu dodać, iż w poprzednich latach powstał szereg filmów radzieckich mówiących prawdziwie ideologicznie i artystycznie o walkach ludowych partyzantów (przykładowo: „Zoja", „Dusze nieujarzmione"). René Clement w „Bitwie o szyny" ukazuje istotę walki żołnierzy F.T.P. wiernych stalinowskim wskazaniom wojny partyzanckiej. Nawet Rosselini w filmie „Rzym — miasto otwarte" przejmująco ukazuje istotę ideologicznego prymatu komunistów w walce narodowo - wyzwoleńczej. prymatu, który uznaje i przed którym z czcią schyla głowę — ksiądz katolicki.

Były więc dobre wzory, było gdzie się uczyć.

Ten silny napór obcej nam treści i formy zaistniał, moim zdaniem, z następujących powodów:

1) ogólnej sytuacji w kluczowej i dla filmu dziedzinie: literaturze,

2) wyraźnej nieodpowiedzialności politycznej kierownictwa programowego,

3) na skutek słabości, na skutek oportunizmu w tym okresie naszej krytyki filmowej.

IV

Ostatni nasz film, „Miasto nieujarzmione", jest bardzo charakterystyczny dla obecnego etapu rozwoju ideologicznego i artystycznego naszej twórczości filmowej. Stanowi on niewątpliwie poważny skok jakościowy w stosunku do poprzednich, już omawianych. Przede wszystkim ideologicznie. Ale skok ten jest połowiczny, jakby zawisa w powietrzu nie zupełnie dosiągając zamierzonego celu. Film bowiem, moim zdaniem, jest próbą kompromisu, jest próbą klajstrowania. I z tego względu godzien jest tym szczegółowszej krytycznej oceny.

Na czym ów kompromis polega?

Na swoistej symbiozie treści, a więc w konsekwencji i formy. Obok wątków realistycznych, ideologicznie cennych bardzo, świeżych artystycznie ,mamy wątek fałszywy — naturalistyczny.

Konstrukcyjnie film posiada trzy wątki: jeden to piękne, bohaterskie dzieje radzieckiego telegrafisty Fiałki, spełniającego przy pomocy młodych partyzantów z Armii Ludowej swoje bojowe zadanie wśród ruin i zgliszcz Warszawy i tutaj bohatersko ginącego. Doprawdy wielka szkoda, iż wątek ten nie stał się główną fabułą filmu, że nie został staranniej i szerzej opracowany scenariuszowo, zarówno ideologicznie i artystycznie. Potencjalnie kryje się w nim materiał na znakomity scenariusz, na znakomity film.

Drugi wątek ukazuje ideologiczne tło, ideologiczną treść wojny, zwycięskiej wojny milionów radzieckich Fiałków. Głównymi aktorami są tutaj osoby, które jako symbole przeszły już do historii: hitlerowski sztab podpalaczy Warszawy z von dem Bachem i Fischerem na czele i sztab — życia i ludzie życia, ludzie radzieccy ukazani znowu w szerokim przekroju: od pracy głównodowodzącego frontem i polskiego generała do pracy oraz żołnierskiej służby prostego żołnierza radzieckiego i polskiego, bratersko, wspólnie przygotowującego się do wyrwania stolicy z rąk faszyzmu i zniszczenia. W tym ujęciu twórcy filmu nauczyli się czerpać, twórczo czerpać z dobrych wzorów radzieckich. Widzimy tutaj wyraźnie dobroczynny wpływ radzieckiej kinematografii, która dając obraz epoki w całej jej historycznej prawdzie ukazuje dzieje jednostki w historycznym przekroju epoki, w historycznym przekroju głównych działających w niej sił (np. filmy: „Trzeci szturm", „Bitwa stalingradzka", „Upadek Berlina"). Konsekwentne pójście po tej linii, uczciwe literackie opracowanie scenariusza, tych organicznie wiążących się elementów scenariusza, dałoby nam, powtarzam: moim zdaniem, film bardzo cenny, film bardzo potrzebny.

Mamy tutaj przecież rzecz ideologicznie bardzo cenną: prawidłowe, historyczne ukazanie istoty naszej walki narodowo-wyzwoleńczej, ukazanie bardzo ambitne i konsekwentne. Przejawia się to w pomocy, jaką niosą radiotelegrafiście Fiałce żołnierze Armii Ludowej, przejawia się to w ciepło i sugestywnie, po raz pierwszy w naszej kinematografii, ukazanym polsko - radzieckim braterstwie broni.

Ale w filmie istnieje i wątek trzeci, wątek, któremu poświęcono bodaj najwięcej metrów taśmy filmowej — to dzieje owego robinsona warszawskiego — warszawskiego mieszczucha, bezradnie i z osłupieniem patrzącego na zbrodnię faszyzmu. Robinson warszawski niestety szwenda się bez celu wśród ruin, zgliszcz i służy w gruncie rzeczy scenarzyście do zczepienia poszczególnych epizodów wmontowanych w film często bez żadnego dramaturgicznego uzasadnienia. Próba kompromisu, próba klajstrowania nie zdała więc — bo też i zdać nie mogła — egzaminu.

Forma filmu jest organicznie związana z jego treścią. Trzeba jednak sobie powiedzieć, iż jeśli chodzi o ten cenny wątek, wątek, dzięki któremu film zdobył sobie uznanie, wątek realistyczny, to jest on bardzo niedopracowany scenariuszowo — i to zarówno ideologicznie jak też formalnie. Razi tania deklaratywność i sloganowość, która jest rezultatem spłycenia treści. Typizacja postaci jest bardzo skromna, zwłaszcza — czołowych bohaterów. Dialog pełen szkodliwej naturalistycznej maniery i aż dziw ogarnia — jaki pusty.

Na tle tych niewątpliwych, niejednokrotnie poważnych błędów tym silniej wypada podkreślić na ogół dobrą, ciekawą reżyserię Jerzego Zarzyckiego. Jerzy Zarzycki posiada zaletę w naszych warunkach bardzo rzadką: potrafi się uczyć, potrafi twórczo uzupełniać i wzbogacać swój warsztat twórczy. Uczy się, i to z powodzeniem, od radzieckiej szkoły realizmu socjalistycznego, uczy się od wyrosłej tuż po wojnie, a dzisiaj właściwie więdnącej włoskiej szkoły realizmu krytycznego. Film „Miasto nieujarzmione" przy wszystkich swoich brakach (mamy tutaj przecież i miejscami nieco łatwizny reżyserskiej) wskazuje na to, iż przybył nam trzeci (obok Aleksandra Forda i Wandy Jakubowskiej) dużej miary reżyser filmowy.

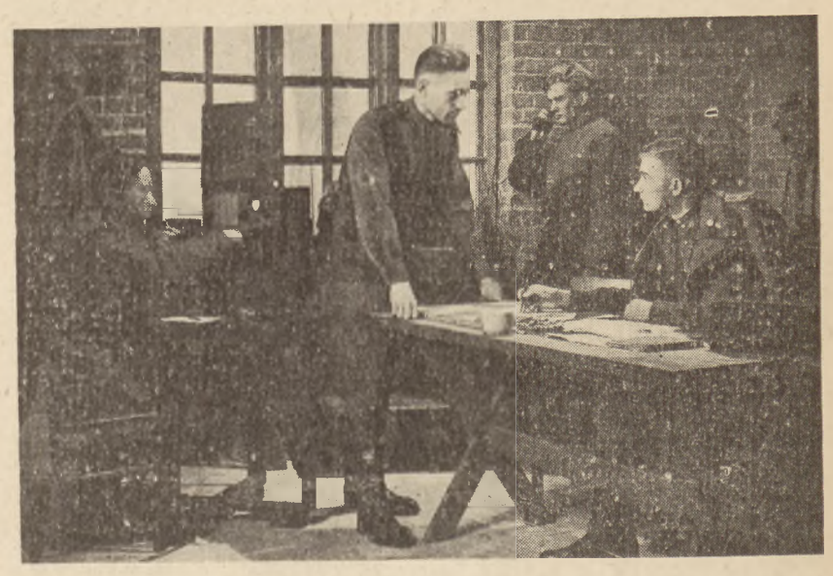

Dowództwo baterii radzieckiej przyjmuje od Fiałki korekturę ognia artyleryjskiego

Aktorsko film jest bardzo nierówny. Niewątpliwie najlepszą kreację, prostą, a przecież bardzo sugestywną, stworzył Trusieniew w roli radzieckiego telegrafisty Fiałki. Ogólnie, znowu rzecz charakterystyczna, najbardziej interesująco wypadły role epizodyczne, drugoplanowe. Jako przykład podam tutaj postać radzieckiego majora, który bierze w zakończeniu filmu hitlerowski sztab do niewoli. Epizod ten, bardzo krótki, jest zagrany po prostu świetnie. Dobre są postacie Niemców. Reżyser ukazał nam ich nie biologicznie, jak to dotąd się często zdarzało, ale realistycznie w ramach określonego systemu, systemu, który wyzwala całe człowiecze zło. Społecznie zróżniczkował ich bogato. W tym sensie film potępia faszyzm i człowieka działającego bezwolnie w jego służbie. Ślepota nacjonalistyczna została i tutaj przezwyciężona.

Natomiast, moim zdaniem, zdecydowanie nieudane są czołowe kreacje: Jana Kurnakowicza, Zofii Mrozowskiej i Igora Śmiałowskiego. Żal doprawdy patrzyć zwłaszcza na tak świetnego aktora jak Kurnakowicz, którego scenarzysta do spółki z reżyserem zamęczają bezcelowym błądzeniem po warszawskich ruinach. Postać jego jest pełna niekonsekwencji, sprzeczności i doprawdy najmniejszą winę ponosi tutaj aktor. To samo częściowo można powiedzieć i o utalentowanym Igorze Śmiałowskim, którego scenarzysta, nawet jak na ten film, wyposażył w szczególnie zły dialog.

Zatrzymałem się dłużej nad filmem „Miasto nieujarzmione", gdyż uważam go treściowo i formalnie za bardzo charakterystyczny. Widzimy w nim duże wartości ideologiczne, widzimy dużą ambicję popartą rzetelną pracą i talentem. A jednocześnie niewypleniony, miejscami po prostu panoszący się naturalizm, a jednocześnie fragmentaryczność i łatwizna reżyserska.

Tak to jeszcze raz, szczególnie dobitnie w naszych warunkach, głęboko słuszna okazała się teza o nierozerwalnej, organicznej jedności treści i formy.

Spłycenie ideologiczne w poważnym stopniu wpłynęło na rozpad formalny utworu. Oznacza to, iż w dalszym ciągu ogniwem zasadniczym (ale nie jedynym) jest zagadnienie scenariusza filmowego.

V

Wyciągnijmy pewne wnioski postulujące na przyszłość.

Jakież są zasadnicze warunki, których wypełnienie pozwoliłoby stwierdzić, iż sytuacja na odcinku twórczości scenariuszowej jest zadowalająca?

Moim zdaniem tych warunków jest kilka, a mianowicie:

1) Świadome ideologicznie i utalentowane kadry twórczych pracowników literackich.

2) Odpowiednia polityka i opieka programowa nad nimi.

Jerzy Płażewski niedawno w swoich „Propozycjach filmowych" pisał o trzech kategoriach ludzi, którzy mogliby pisać dla filmu, a więc: reżyserach, pisarzach, i nowicjuszach literackich. Pogląd ten wydaje mi się fałszywy: w pracy planowej, długofalowej scenariusze mogą i muszą pisać tylko pisarze. Czyż my takich pisarzy mamy? Niewątpliwie tak, i to, wbrew narzekaniom, spory zastęp. Ten fakt jest jeszcze jednym potwierdzeniem radosnego zjawiska, że posiadająca kluczowe znaczenie i dla filmu nowa, współczesna literatura tężeje, nabiera rumieńca i sił z roku na rok. Kadry więc są. Ale aby kadry te mogły spełnić pokładane w nich nadzieje, potrzeba jednej, zasadniczej rzeczy: umieć opiekować się kadrami, pomagać w rozwoju, i to zarówno w sensie ideologicznym jak i artystycznym, moralnym jak i materialnym. Często bowiem pod formułę „zamówienie społeczne" wkładamy starą, kapitalistyczną treść organizacyjnie biurokratycznej jedynie umowy na określony temat według ustalonych prawideł zamówienia — wykonania — sprzedaży — kupna.

Czy „Film Polski" próbował podjęcia opieki nad kadrami?

O ile mi wiadomo, były tego rodzaju próby. Przykładowo przed trzema laty zorganizowano np. w Łodzi kurs scenariopisarski. Nie spełnił on jednak pokładanych nadziei. Raczono młodych literatów idealistycznym teoretyzowaniem filmowym oraz pomocami szkolnymi w rodzaju skrótu amerykańskiego wydawnictwa pod charakterystycznym tytułem: „Jak zarobić na scenariuszu filmowym?"

W obecnej chwili byłoby, moim zdaniem, rzeczą cenną i potrzebną, aby literaci, którzy współpracowali względnie współpracują z „Filmem Polskim" jak (podaję znowu przykładowo) Jerzy Broszkiewicz, Jan Rojewski, Wiktor Woroszylski, Andrzej Wydrzyński, wypowiedzieli się o dotychczasowych swoich doświadczeniach tej współpracy. Byłoby, moim zdaniem, rzeczą bardzo pożądaną, aby właśnie „Nowa Kultura" udzieliła swoich łamów dla tych wypowiedzi, aby tę dyskusję twórczo przeprowadziła, umożliwiając w ten sposób dojście do konkretnych rezultatów. Warto przy tym szczególnie pamiętać o wskazaniach Józefa Stalina, ważnych i dla naszej pracy w tym zakresie:

„Gdy już dana jest słuszna linia, gdy już dane jest słuszne rozwiązanie zagadnienia — powodzenie sprawy zależy od pracy organizacyjnej, od organizacji walki o wcielenie w życie linii partii, od prawidłowego doboru ludzi, od kontroli wykonania uchwał organów kierowniczych. W przeciwnym razie powstaje ryzyko, że słuszna linia partii i słuszne uchwały mogą być poważnie narażone na szwank. Co więcej: gdy już dana jest słuszna linia polityczna, praca organizacyjna decyduje o wszystkim, również i o losie samej linii politycznej — o jej realizacji albo o jej bankructwie".

Jerzy Piórkowski

Sztab hitlerowski przygotowuje plany zagłady Warszawy

Dyskusja o zadaniach pisarstwa i krytyki

W związku z zamieszczonym w numerze 33 „Nowej Kultury" sprawozdaniem z przebiegu dyskusji o dzisiejszych zadaniach pisarstwa i krytyki na Sekcji Prozy Warszawskiego Oddziału Z. L. P., redakcja „Nowej Kultury" otrzymała szereg wypowiedzi czytelników na temat poruszonych w dyskusji tej zagadnień. W numerze niniejszym drukujemy niektóre z tych wypowiedzi, wnoszące nowe momenty do sprawy, wyrażając nadzieję, że wywołają one dalszą dyskusję.

O nową literaturę socjalistyczną

ZADANIA naszej literatury sprowadzają się w ogólnych zarysach do dwóch głównych punktów:

1. Odtwarzanie obecnej rzeczywistości wraz z jej najistotniejszymi problemami.

2. Kształtowanie psychiki całego społeczeństwa w celu przygotowania go do przejścia na system socjalistyczny.

Jest rzeczą zrozumiałą, że główne natarcie naszego pisarstwa winno być skierowane w dużej mierze na punkt drugi.

Aby jednak wywołać realny oddźwięk w społeczeństwie, musi pisarz nie tylko utrzymywać pewną linię ideologiczną, którą praktycznie biorąc w ogólnych zarysach podają kierownicy polityki kulturalnej. Pisarz musi pisać tak, żeby książka przetworzyła, a przynajmniej zrobiła wyłom w dotychczasowym systemie myślowym czytelnika.

Nieliczni pisarze, którzy usiłują skierować naszą literaturę na nową tematykę, nie potrafili jeszcze dać książki, która przedstawiałaby prawdziwie po marksistowsku ujętą rzeczywistość i jednocześnie zdobyłaby odpowiednią popularność w społeczeństwie.

Tematyka realizmu socjalistycznego jest obecnie wysuwana zupełnie świadomie, ale sposób ujmowania jej należy śmiało określić jako niewłaściwy.

Podstawowe wady w ujmowaniu socjalistycznej tematyki, można by określić w ten sposób:

1. Szablonowość postaci i rozwiązywania konfliktów.

2. Omawianie poszczególnych zagadnień w oderwaniu od życia.

3. Powierzchowne i jednostronne a często nawet fałszywe oświetlenie rzeczywistości.

4. Słaba forma literacka.

5. Całkowity brak tematyki lżejszej, która przyciągnęłaby mniej wyrobionych czytelników.

Wszystkie te niedociągnięcia są wywołane przynajmniej w 80% przez nieznajomość tematyki realizmu socjalistycznego, tzn. przez nieznajomość psychiki robotnika i chłopa, jego warunków pracy, po prostu całokształtu jego życia wraz z najważniejszymi zagadnieniami.

Czytając naszą początkującą, socjalistyczną literaturę, nie można się oprzeć wrażeniu, że całą swą wiedzę o życiu robotnika, czy chłopa czerpią pisarze z prasy codziennej, z istniejących już utworów o podobnej tematyce, a w najlepszym wypadku z krótkich „wyjazdów w teren", czy też innych raczej pośrednich źródeł.

Ujmowanie zagadnień prasy jest powierzchowne, można nawet powiedzieć — naiwne.

Wytworzyły się obecnie szablony, według ktorych pisarze tworzą swych bohaterow, np. młody zetempowiec, racjonalizator, nie posiadający żadnych, ale to absolutnie żadnych wątpliwości w swojej zatempowskiej moralności, bez żadnych wad i usterek; bumelant, który zawsze po długiej wewnętrznej walce włącza się ostatecznie do walki o plan; „czarny charakter", sabotażysta, pokazywany zwykle w dość tajemniczym oświetleniu itd.

Ta szablonowość jest poważnym niebezpieczeństwem naszej literatury.

Odnosi się to może bardziej do krótszych opowiadań, nowel czy reportaży niż do powieści, ale trzeba pamiętać o tym, że właśnie te drobniejsze objętościowo utwory wytyczają ostateczny kierunek w całej literaturze.

Pisarze nasi podchodzą do życia robotnika jednostronnie, jak gdyby z zewnątrz.

Tyylko ktoś, kto pracuje w fabryce odczuwa, jak odległe są od rzeczywistości postacie z opowiadań i książek naszych pisarzy.

Tu nie pomoże krytyka. Krytyk nie może dać recepty na realność powieści. Pisarz musi znać lepiej teren swego działania.

Aby napisać powieść o tematyce robotniczej, trzeba przynajmniej przez kilka miesięcy popracować w środowisku robotniczym jako zwykły robotnik fizyczny, albo chociażby jako referent kulturalny, oświatowy itp.

Nie jest to żadna mrzonka, lecz żądanie całkowicie racjonalne.

Czy nie żąda się za dużo od pisarza?

Chyba nie.

Jeśli ktoś chce napisać powieść historyczną, musi studiować daną epokę, a im więcej zbierze i przeanalizuje materiału historycznego tym więcej walorów będzie miała ta powieść. Ale niech ten ktoś spróbuje napisać powieść z początku XIX wieku, znając historię tylko ze szkoły średniej, to taka książka nie będzie posiadała żadnej wartości. A czy pisarz, pochodzący z inteligencji, posiadający jeszcze w swej psychice pozostałości z ideologii burżuazyjnej, czy ten pisarz, którego kontakt z robotnikiem ogranicza się w najlepszym razie do krótkich i niezbyt częstych tzw. wyjazdów w teren, zna klasę robotniczą i potrafi o niej pisać?

Z pewnością nie!

Pisarz musi uczciwie, rzetelnie wyjaśnić w marksistowskim oświetleniu wszystkie problemy, i to nie tylko osiągnięcia, także i braki naszej rzeczywistości.

Czytelnika nie wolno oszukiwać, nie wolno mu mówić, że wszystko pod każdym względem jest idealne, trzeba mu pokazać na przykładach, z jakimi trudnościami, jakimi sposobami walczy się obecnie o podniesienie ogólnego dobrobytu, o zbudowanie socjalizmu w Polsce.

Trzeba uwypuklać wielkie osiągnięcia, pokazać, jaką troską jest otaczany chłop i robotnik, ale wszystko to należy robić rzetelnie, brać przykłady z życia, a nie ze swej wyobraźni. Przed naszym pisarstwem stoi zagadnienie, nie tylko o czym, ale przede wszystkim jak pisać, aby książka wywarła wrażenie na czytelniku. Jasnym jest, że wytworzenie nowej literatury realizmu socjalistycznego jest zagadnieniem trudnym, tak jak trudnym jest przestawienie produkcji fabryki z armat na traktory.

Społeczeństwo radzieckie ma za sobą 30 lat ustroju socjalistycznego, podczas, gdy my dopiero wchodzimy w ten etap ustrojowy, więc też uświadomienie i spoistość społeczeństwa radzieckiego jest obecnie większa niż w społeczeństwie polskim.

Czytelnik polski, zatruwany w okresie międzywojennym burżuazyjną propagandą i pornografią nie zawsze rozumie wartości literatury socjalistycznej.

Trzeba wiedzieć, jak dziś jeszcze w wypożyczalniach książek, miejskich i gminnych, szkolnych, fabrycznych rozchwytywane są i to często przez młodzież pornograficzne i kryminalne szmiry.

Ażeby te fakty zmienić trzeba czytelnika zachęcić do nowej literatury, dlatego musimy dawać książki traktujące zarówno o mniej jak i o bardziej ważnych zagadnieniach, nawet o tematyce pozornie płytkiej, lecz napisane tak, że ukazana będzie w sposób subtelny, ale wyraźny wyższość moralności i systemu socjalistycznego nad kapitalistycznym.

Jest rzeczą jasną, że ta literatura może być tylko czynnikiem pomocniczym w naszym pisarstwie, ale lekceważyć jej wpływu nie można. „Popiół i Diament" Andrzejewskiego to książka o ogromnym powodzeniu.

Dlaczego?

Bo wiąże zagadnienia aktualne i dobrą formę literacką z tematyką lżejszą i szczerym, choć może dość powierzchownym stanowiskiem wobec rzeczywistości.

Czy to znaczy, że należy wzorować się na tej książce? — Nie.

Jest zrozumiałe, że dziś w pięć lat po wojnie, książka ta nie będzie już w tym stopniu aktualna.

Dzisiaj jesteśmy o 5 lat bliżej socjalizmu i nasza literatura również powinna bardziej zbliżać się do literatury realizmu socjalistycznego. Rewolucji w umysłowości czytelnika nie dokona się jednak w jednej chwili i z tym należy się liczyć. Ale planowa i konsekwentna walka o wytworzenie nowych pojęć i świadomości socjalistycznej może przyśpieszyć w znacznym stopniu tę rewolucję.

Stanisław Machcewicz

O krytyce i krytykach

Jako czytelników współczesnej twórczości literackiej i studentów polonistyki cieszy nas fakt utworzenia Sekcji Twórczych ZLP, w ramach których nasi pisarze przystępują do walki o nowe oblicze polskiej literatury, tworzonej w duchu realizmu socjalistycznego, literatury wychowującej nowe rzesze czytelników rekrutujących się z warstwy robotniczo - chłopskiej, pozbawionej w przedwojennym ustroju kapitalistycznym dostępu do dóbr kulturalnych; literatury biorącej czynny współudział w budowie Socjalizmu w naszym kraju. Aby stworzyć jednak taką literaturę, niezbędna jest — obok innych czynników — pomoc krytyki dla pisarza. Dlatego też całkowicie jest uzasadnione skupienie uwagi dyskutujących na zebraniu Sekcji Prozy w dniu 16 października ub .r. na zagadnieniach krytyki literackiej.

Krytyka przede wszystkim — obok bezpośredniego oddziaływania dynamiki tworzącej się nowej rzeczywistości — winna wskazywać i prostować drogi wiodące pisarza ku realizmowi socjalistycznemu; musi ona się stać dla twórcy literatury mapą i busolą, bez których pisarz gubi się na manowcach różnych burżuazyjnych kierunków literackich, oderwanych od rzeczywistości społecznej i jej historycznej determinacji. Ale zadanie krytyki nie może się ograniczyć tylko do pełnienia funkcji „bezpośredniego oddziaływania na pisarza, bezpośredniej współpracy z pisarzem, z twórcą, wpływania na jego dojrzewającą świadomość". Funkcja ta nie może być ważniejsza — jak to twierdzi w dalszym ciągu Leon Kruczkowski — niż pośredniczenie między pisarzem a czytelnikiem.

Pisarz tworzy utwór dla czytelnika, pomagając mu przez to w poznaniu otaczającej go rzeczywistości, w jej przekształcaniu, dając mu do ręki narzędzie walki o lepszą przyszłość, o zbudowanie socjalizmu. Dopiero utwór literacki, który znalazł drogę do czytelnika, który został przez niego zrozumiany i właściwie oceniony, może spełnić należycie swą funkcję społeczną. Tę drogę utworu od pisarza do czytelnika, poprzez zrozumienie i ocenę, winna przede wszystkim wytyczać krytyka. Ona musi otoczyć coraz bardziej rosnące rzesze czytelników troskliwą opieką rozwijając w nich kulturę literacką, spełniając ważną rolę wychowawczą.

Niestety jednak, funkcję tę nasza krytyka spełnia dotychczas w bardzo małym stopniu. „Za mało jest — powtarzamy za Jerzym Broszkiewiczem — publicystycznych i krytycznych artykułów dających ogólne, syntetyczne ujęcie", dodajemy — za mało mamy recenzji z poszczególnych utworów, artykułów i recenzji przeznaczonych zwłaszcza dla szerokich rzesz czytelników. Stosunkowo rzadko ukazują się recenzje książek w czasopismach społeczno - literackich, jeszcze rzadziej spotykamy je w dodatkach tygodniowych dzienników. Wiele cennych pozycji, ukazujących się na rynku księgarskim, krytyka pomija milczeniem, wiele spośród nich dopiero z wielkim opóźnieniem spotyka się z recenzją.

Chodzi tu zresztą nie tylko o ilość, ale i o jakość. Ukazujące się recenzje i artykuły krytyczne często nie odpowiadają potrzebom masowego czytelnika. Wymieniony przez Jadwigę Siekierską „brak jasności w formułowaniu myśli", brak troski czy też nieumiejętność ze strony niektórych krytyków, by „język abstrakcyjny uczynić bardziej zrozumiałym", ogólnikowy, metaforyczny styl, powikłany język powodują, że recenzje te i artykuły krytyczne stają się mało zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika. To również jest główną przyczyną, że czytelnik ten rzadko albo wcale nie sięga po czasopisma, omawiające sprawy literatury. Dlatego też trzeba zgodzić się z twierdzeniem Leona Kruczkowskiego, że obecnie „powstały takie warunki, w których społeczeństwo nawet bez pomocy krytyka sięga po książki i to sięga w coraz szerszym zakresie".

Takich jednak stosunków nie można uważać za normalne, lecz trzeba je potraktować jako objaw poważnych niedomagań naszej krytyki. Stwierdzamy zatem, nie tylko pisarze, ale i my, czytelnicy, że krytyka nasza nie spełnia dotychczas doniosłej funkcji pośredniczenia między twórcą a czytelnikiem. Jeśli zaś usiłuje to czynić, to tylko w małej mierze jej się to udaje. Ten stan rzeczy powstał głównie wskutek braku krytyków.

Stąd też niezwykle trafny jest wniosek Ryszarda Matuszewskiego, „że sprawą niesłychanej wagi jest w tej chwili sprawa kadr krytyków, sprawa wychowania nowych krytyków", gdyż obecnie „piszących o literaturze jest naprawdę niesłychanie mało i ta sytuacja poprawia się na razie w stopniu bardzo minimalnym".

Ale jak mamy wychować nowych krytyków? Czy wystarczy, by temu zaradzić — powtórzmy znów słowa Matuszewskiego — „kierować zainteresowania młodych polonistów, a nawet młodych studentów filozofii czy socjologii na zajmowanie się zagadnieniami współczesnego pisarstwa i krytyki". Na pewno nie! Będąc studentem polonistyki i obserwując swoich kolegów mogę stwierdzić, że zainteresowania takie istnieją u pewnych polonistów, co jednak nie przesądza wcale, że zostaną krytykami. Co więcej, nie tylko interesują się oni współczesnym pisarstwem i krytyką, ale nawet piszą recenzje z poszczególnych utworów i wysyłają je do redakcji czasopism. Jest to jednak z ich strony zazwyczaj daremny trud, gdyż redakcje nie tylko nie zamieszczają tych recenzji w swych wydawnictwach, ale nawet nie zechcą odpowiedzieć autorom, z jakiego powodu ich recenzje odłożono w niepamięć, jakie ewentualnie braki i wady one wykazują, co należałoby zmienić, poprawić, jednym słowem — co należałoby uczynić, by recenzje takie mogły się ukazać drukiem. Nic dziwnego więc, że adept krytyki po kilkakrotnym, bezskutecznym szturmowaniu do redakcji zniechęca się do pracy krytyczno - literackiej, przestaje pisać, a z czasem nawet zanikają jego zainteresowania krytyką.

Nie ulega wątpliwości, że przy takim stanie rzeczy nie wychowamy nowych krytyków, lecz przeciwnie — tym, którzy interesują się krytyką i pragną te zainteresowania rozwinąć, rzucamy kłody pod nogi, a zarazem w tak niefortunny sposób, że często się w skutek tego — rozwijając tę przenośnię — wywracają, a wielu z nich nie znajduje sił, by powstać. Do wyjątku należą czasopisma, których taktyka postępowania wobec młodych krytyków jest inna. Zwraca zwłaszcza uwagę tygodnik społeczno-literacki „Wieś", z którego strony widać większą troskę o nowy narybek krytyków, pewną pomoc w rozwoju ich możliwości twórczych. Ogólnie jednak oceniając, sytuacja na tym odcinku nie przedstawia się zadowalająco.

Należy temu zaradzić. Wychowaniem krytyków winny się zająć przede wszystkim Sekcje Twórcze ZLP, zorganizowane w ośrodkach o większym natężeniu ruchu literackiego, skupiające dobre siły krytyczno-literackie. Krytycy wchodzący w ich skład mieliby możność udzielania konsultacji swym młodszym kolegom bądź bezpośrednio, bądź też listownie.

Byłoby również rzeczą wielce pożądaną utworzenie Centralnego Ośrodka Poradnictwa dla Krytyków. Ośrodek tego rodzaju, prowadzony przez naszych najlepszych krytyków, obficie korzystający z bogatych doświadczeń radzieckiej krytyki literackiej, udzielając porad ustnych, a zwłaszcza listownych, wydając biuletyn krytyczno-literacki, w którym zamieszczanoby artykuły i recenzję początkujących krytyków oraz ich omówienia krytyczne, wykazujące braki i błędy — mógłby walnie przyczynić się do rozwoju zdolności krytyczno - literackich tych, którzy nieraz bezskutecznie szukają pomocy w redakcjach czasopism. Artykuły krytyczne i recenzje z poszczególnych utworów dopiero po zakwalifikowaniu przez Ośrodek mogłyby się ukazywać na łamach czasopism jak i dzienników, przyczyniając się do szerokiej popularyzacji twórczości literackiej. Także organizowane przez Ośrodek zjazdy i seminaria, jak również konkursy na najlepszy artykuł krytyczny lub recenzję miałyby wielkie znaczenie zarówno dla pogłębiania ideologicznego młodych krytyków jak i dla opanowania przez nich trudnej sztuki pisania o literaturze. Rzecz zrozumiała, że Ośrodek tego rodzaju nie „produkowałby" krytyków, ale pewnym jednostkom utalentowanym pomógłby w rozwinięciu ich zdolności krytyczno - literackich.

Powyższe uwagi nie wyczerpują wszystkich możliwości wychowywania nowych krytyków. Mogłyby się one ujawnić w szerzej rozwiniętej dyskusji na ten temat jak i w zastosowaniu w praktyce jej wyników. Nie ulega jednak wątpliwości, że dotychczasowy stan ilościowy naszych krytyków winien ulec kilkakrotnemu pomnożeniu, jeśli chcemy tworzyć nową literaturę, literaturę realizmu socjalistycznego, i jeśli chcemy tę literaturę zbliżyć, rozpowszechnić wśród najszerszych mas ludowych, by służyła im jako narzędzie walki o lepszą przyszłość, o s o c j a l i z m.

Józef Domański
student polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wzbogacić literaturę krytyczną

Pobieżny chociażby przegląd układu sił w dyskusji podjętej na łamach „Nowej Kultury", pt. „O dzisiejszych zadaniach pisarstwa i krytyki" — pozwala rozsegregować z grubsza uczestników tej dyskusji na dwa obozy: pisarze broniąc własnego warsztatu twórczego, okopują się mocno na liniach defensywnych i przyczyny niedociągnięć — zazwyczaj ideologicznych — na terenie pisarstwa przypisują jako winę krytykom. Krytycy natomiast postępują odwrotnie: najchętniej widzieliby się wolnymi od odpowiedzialności i co za tym idzie, wskazując palcem na męczące się w trudzie tworzenia postacie pisarzy, wołają wielkim głosem — to oni winni! W ostatecznym rozrachunku nie chodzi tu po czyjej stronie leży ta rzeczywista czy domniemana wina. Sprawa moim zdaniem wygląda tak: trzeba koniecznie, i to nie samopas, ale wspólnym wysiłkiem znaleźć środki dla stałego zmniejszania się tego kwantum niedociągnięć, które kryje w sobie pisarstwo doby obecnej. W układzie tym sytuacja pisarzy wydaje się łatwiejsza. Proces tworzenia, umiejętność transpozycji rzeczywistości widzianej, odczutej lub przeżytej na fakt literacki, dobór środków formalnych i tak ważne zagadnienia tematyzacji — na które słusznie zwróciła uwagę Zofia Nałkowska — to przecież warsztat literacki każdego twórcy, to jego nieodzowne „podręczne narzędzia", bez których żadna szanująca się książka, pretendująca do nazwy literatury obejść się nie może. Jedna wszakże sprawa zostaje nierozwiązana, chociaż w dzisiejszej dobie najważniejsza, jest to kwestia pryzmatu patrzenia na ten świat, innymi słowy: zagadnienie postawy ideologicznej twórcy. I tutaj dopiero zaczyna się pełna rola krytyki. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że w zakresie stosunków formalnych krytyk współczesny ma nie wiele do powiedzenia. Chodzi jednak o ścisłą, jednoznaczną hierarchię zadań, hierarchię o którą winniśmy walczyć.

Wiąże się to nierozerwalnie z zagadnieniem, o którym wspomniał bodajże jeden tylko dyskutant — Ryszard Matuszewski. Mam na myśli walkę o nowych krytyków, walkę która winna toczyć się na równi z kampanią o nowych pisarzy. Nie jedno w czasie dyskusji padło już słowo, że adeptom pióra łatwiej przychodzi start z linii bieżących wymagań i postulatów społecznych, aniżeli seniorom pisarstwa. Nie odniesiono wszakże tego do krytyki, nie wyciągnięto stąd wniosków i wskazań.

Wielu zasłużonych skądinąd komentatorów wycofało się z czynnej batalii o nowe oblicze współczesnego naszego piśmiennictwa, tylko sporadycznie zajmuje głos w tych sprawach. Powstała luka, którą jakoś nie bardzo się wypełnią, albo wypełnia się w sposób nie zadawalający. Ludzie chcący pisać krytyki, natrafiają na trudności w przygotowaniu się do tej pracy — w dotychczasowym systemie studiów uniwersyteckich. Na tym odcinku w zakresie teorii i krytyki marksistowskiej — o ile wiem — zrobiono niewiele.

Jeżeli zaś krytyka nie ma się ograniczać do tego co się komu wydaje, jeżeli nie ma być wyrazem zgoła indywidualnych sądów, ale pewnym systemem kryteriów ściśle określonych na danym etapie rozwoju historycznego i doświadczalnej wiedzy o świecie, jeżeli w końcu krytyka ma być postulująca i normatywna o ustalonej, ścisłej i jednoznacznej terminologii roboczo-naukowej — to winna w każdym razie stanowić zamknięty system nauk w obrębie dyscyplin humanistycznych oraz posiadać bogatą bibliotekę fachową.

W Polsce w ogóle niewiele napisano na temat estetyki. Przeważały w niej zdecydowanie poglądy idealistyczne. Obecnie należałoby sięgnąć do tak bogatej w tym zakresie literatury Związku Radzieckiego, do postępowych pisarzy rosyjskich XIX wieku (Hercen, Bieliński i inni).

Trzeba zwiększyć ilość przekładów w tej dziedzinie. Wiele się na tym odcinku robi w dziedzinie biologii, techniki, medycyny — natomiast niewspółmiernie mało w zakresie teorii literatury.

Współczesna polska krytyka postępowa winna się oprzeć o kadry młodych, którzy przejąwszy, jak zresztą w innych dziedzinach życia — z przeszłości to co najlepsze, opierać się będą o bogate doświadczenie studiów i prac badawczych Związku Radzieckiego.

Po wtóre, krytyka jako nauka ścisła winna być ujęta w pewien jednolity, stale rozwijający się system naukowy, i chociaż stosowana dla dziedzin życia tak spontanicznych i żywiołowych jak literatura, podobna jest — mutatis mutandis — do medycyny, która przecież wiąże się ściśle z podlegającą stałemu rozwojowi a w dużej mierze nieznaną jeszcze istotą, jaką jest człowiek. Pamiętajmy przy tym, że nauki ścisłe zupełnie nie wykluczają dyskusji.

I wówczas krytyka, wsparta o tak bogaty oręż doświadczeń potrafi pomóc pisarzowi, wypowiedzieć się o jego pracach, wskazać mu drogę i współpracować w tworzeniu nowych wartości w zakresie prozy i poezji. A przysłuchując się opinii publicznej i nawzajem wpływając na jej kształtowanie wydobędzie istotne wartości dzieła.

Przemysław Bystrzycki
Poznań

Wciągać czytelników do życia literackiego

Zagadnieniem zasadniczej wagi wydaje mi się — zagadnienie czytelnika jako odbiorcy literatury i jego roli w krytyce literackiej.

Pojęcie krytyki w odniesieniu do utworu literackiego bywa zacieśnione przeważnie do tzw. „krytyki fachowej". Poza te ramy wychodzi w dyskusji Brandys wskazując bardzo słusznie na wielką rolę Partii w krytyce literackiej, chociaż jego sąd o krytyce prasowej wydaje się zbyt ostry.

Pojęcie krytyki w najszerszym znaczeniu tego słowa spotykamy w wypowiedzi Leona Kruczkowskiego. Oprócz krytyki prasowej, recenzentów i czynników polityczno-kulturalnych wzmiankuje Kruczkowski również o krytyce czytelnika.

Zagadnieniem zasadniczej wagi wydaje mi się zagadnienie czytelnika jako odbiorcy literatury i jego roli w krytyce literackiej.

Można rozprawiać nad różnymi rodzajami krytyki, można i należy przypisywać im różne znaczenie i wpływ na tworzący się nurt życia literackiego, nie można jednak pominąć milczeniem tego czynnika, który wywiera dzisiaj na ten nurt niewątpliwy wpływ.

Awans społeczno-polityczny klasy robotniczej i mas pracujących w Polsce Ludowej pociągnął za sobą i awans w dziedzinie kulturalnej.

Dzisiaj zmienił się adresat wysyłanych przez wydawnictwa książek: odbiorcą książki na miejsce dawnego inteligenta mieszczańskiego stał się i staje się w coraz większym stopniu cały naród. Chłop i robotnik staje się teraz nie tylko współkonsumentem ale i współtwórcą kultury. Jego pozycja w życiu kulturalnym z biernej przechodzi w aktywną — twórczą.

Akt ten nie może być obojętnym dla współczesnego pisarza.

Za jeden z zasadniczych błędów w dotychczasowym traktowaniu zagadnień naszej literatury uważam ciągle jeszcze za małe liczenie się z czytelnikiem nie tylko jako nowym odbiorcą ale i krytykiem.

Powinno się nawiązać większy kontakt pomiędzy pisarzem i krytykiem prasowym, a masami ludowymi. Powinno się wciągać je a nawet wprost prowokować do krytycznych wypowiedzi na łamach różnych pism, jak to ma miejsce w Związku Radzieckim. U nas to zagadnienie przedstawia się wciąż jeszcze niezadawalająco.

Dyskusje nad zagadnieniami literatury radzieckiej odbywają się przy współudziale szerokich rzesz czytelników. (Wspomnę tu choćby o ostatniej dyskusji nad zagadnieniami technologii pisarskiej, która wywołała w szerokich kołach czytelników wielkie zainteresowanie i spowodowała, iż do „Litieraturnej Gaziety" napływa wiele listów.)

Kontakt pisarza z czytelnikami, jaki ma miejsce u nas w ramach wyjazdów autorskich, zrobił na tym polu bardzo wiele, lecz to wciąż jeszcze za mało.

Należy do jądra naszego życia literackiego wciągnąć jak najszersze rzesze czytelników. Może to dać dwojaki rezultat: z jednej strony może wzbudzić jeszcze większe zainteresowanie literaturą, z drugiej zaś może w bardzo wielkim stopniu pomóc pisarzom w odnajdywaniu zagubionej bardzo często drogi rozwojowej. Chłop i robotnik w Polsce Ludowej dał dostateczne dowody na to, iż umie nie tylko pracować lecz i myśleć. Liczne wynalazki i usprawnienia racjonalizatorskie w przemyśle, są faktami mówiącymi same za siebie. W tym typie społeczeństwa jakie obecnie tworzymy, nic nie może dokonywać się poza masami pracującymi, lecz w jak najściślejszym z nimi kontakcie. Uczymy i wychowujemy masy ale i uczymy się od mas.

Józef Dziechciarub

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Żeromski pod żaglowym płótnem

(25-a rocznica śmierci pisarza na wybrzeżu)

NIE dużo brakowało, a 25 rocznica śmierci autora „Wiatru od morza“ minęłaby na wybrzeżu niemal niezauważona.

Wprawdzie już w październiku Oddział Gdański ZLP wraz z Tow. Krajoznawczym zorganizował wycieczkę do latarni morskiej, do tej jak pisze Żeromski — „elektrycznej tablicy Rozewia, rzucającej raz wraz co minuta swój nagły promień na kilkadziesiąt kilometrów daleko“. W pokoju, w którym rzekomo miał mieszkać wielki pisarz, jeden z literatów wygłosił wtedy odczyt, poświęcony morzu i Pomorzu i twórczości Żeromskiego. Ale uroczystość ta nie była oficjalna. Oficjalny obchód tej rocznicy odbył się na wybrzeżu dopiero w grudniu.

Każda rocznica literacka staje się bilansem uczuć nowego pokolenia do pisarza, który zwycięsko przebył próbę czasu, najostrzejszą cenzurę, jaką zna literatura. Dobrze wiemy, jak wypadł ten bilans, jeśli chodzi o Żeromskiego. Odrzucamy dziś to, co w twórczości jego było omyłką. Ale zanujemy i cenimy wszystkie wartości artystyczne i dydaktyczne żyjące w dziełach tego pisarza, którego oczyma przeciętny czytelnik polski patrzał przez długi czas na nasze wybrzeże i morze.

Morze odegrało w twórczości Żeromskiego wielką rolę. Kiedy czyta się „Walkę z szatanem“ — trylogię zawierającą wrażenia i refleksje pisarza z okresu I wojny światowej, mającą zwłaszcza w swej trzeciej części wiele akcentów czysto publicystycznych, trudno oprzeć się wrażeniu, jakoby w tym czasie siła twórcza pisarza wyraźnie osłabła. Pisarz zaczął szukać tematu, który by pozwolił mu przezwyciężyć przygnębienie wywołane wojną. Temat ten znalazł i to w sposób dość niezwykły.

Jest w „Urodzie życia“ epilog piękny, choć nieoczekiwany. Bohater tej powieści Piotr Rozłucki wyłowiony po katastrofie lotniczej: z morza przez marynarzy Wilhelma II staje na pokładzie krążownika, i wpatruje się w słoneczne wydmy i sosny majaczące na widnokręgu.

— Co to za ląd? — pyta.

— Pommern! — odpowiada któryś z oficerów.

Piotr usłyszawszy tę zniekształconą w obcych ustach nazwę naszej nadmorskiej krainy popadł w zachwyt jak tułacz na widok ziemi obiecanej. „Podźwignął ręce — pisze Żeromski — i wyciągnął je do dalekich białych domków kaszubskich, o których marzył całe życie. Wyszeptał: „Pomorze“.

Okrzyku tego czytelnik nie spodziewał się usłyszeć z ust Rozłuckiego. Nie zapowiadało go w powieści ani jedno słowo. Odnosi się więc wrażenie, że w fragmencie tym spod rysów Piotra, jak spod maski, ukazała się nam na chwilę twarz samego pisarza, że ustami rozbitka wydarła się poecie jego własna tęsknota do ziemi nadmorskiej. Żeromski nie spodziewał się prawdopodobnie na to mimo woli rzucone wyznanie odpowiedzi. Życie jednak pokierowało inaczej. Jak w dobrze skonstruowanej noweli czy w dobrym scenariuszu wkrótce po ogłoszeniu powieści pisarz otrzymał pocztą niewielką książeczkę z dedykacją „dla Piotra Rozłuckiego“. Był to zbiór szkiców „Z wybrzeża i o wybrzeżu“ napisany przez poznańskiego adwokata - społecznika Bernarda Chrzanowskiego. Chrzanowski nazywany często odkrywcą naszego wybrzeża w poważnym stopniu zasłużył sobie na to miano. Zjawiwszy się na parę lat przed pierwszą wojną nad polskim morzem i stwierdziwszy że: „ani w malarstwie, ani w poezji czy powieści naszej morza i krajobrazu nadmorskiego jakby nie było“, odczytami, broszurami i artykułami usiłował zainteresować tą „ziemią nieznaną“ społeczeństwo i literatów. Sienkiewiczowi podczas pisania „Na Polu chwały“ dostarczył materiałów dotyczących udziału Kaszubów w bitwie wiedeńskiej. Konopnickiej przesłał swój przewodnik „Na kaszubskim brzegu“ wraz z wiązanką nadmorskich kwiatów. Starania te nie przyniosły niestety większych plonów. Sienkiewicz powieści nie skończył, zaledwie kilka zdań pod koniec I tomu poświęcił regimentowi kaszubskiemu, Konopicka zaś nie zajrzała podczas swego pobytu w Gdańsku i Oliwie ani do Gdyni, ani na Hel. Żeromski wynagrodził Chrzanowskiemu te niepowodzenia z nawiązką. Tu apel nie pozostał bez echa.

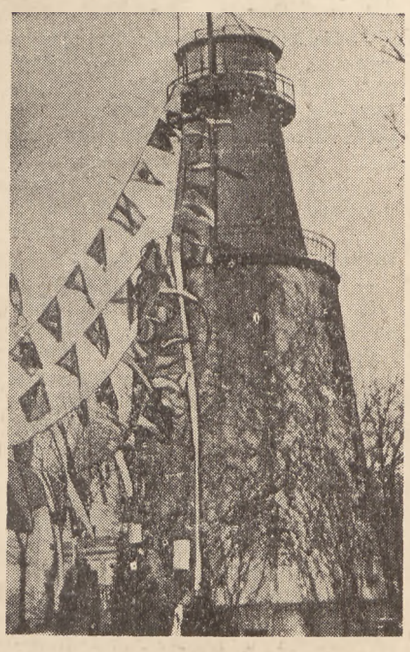

Fot. Naruszewicz

Latarnia morska w Rozewiu, udekorowana w dniu uroczystości chorągiewkami kodu

„Od dziesiątków lat — pisał w marcu 1919 r. do Chrzanowskiego — jest moim najgorętszym pragnieniem zapoznanie się z wybrzeżem morskim i półwyspem helskim, z ludem, mową, obyczajami i całkowitym zakresem tamtejszego życia, co udałoby mi się następnie spożytkować w sposobie literackim... Wyjazd wczasowy w porze letniej do tych okolic, gdy nadto wybiera się tam obecnie wiele osób, byłby dla mnie bezcelowy, gdyż nie umiem zbierać dorywczo wiadomości i wrażeń. Musiałbym tę całą ziemię poznać i przeżyć, jak przeżyłem wewnętrznie inne okolice kraju. To też pragnąłbym tam zamieszkać, o ile by mi zdrowie mojej córki pozwoliło na dłużej...“

Odkrywca naszego wybrzeża nie odmówił Żeromskiemu rady i pomocy. Wystarał mu się o mieszkanie, i pisarz przybył na kaszubski brzeg. Rozpoznał w samotnych bukach witomińskich postacie-sylwetki dawnych książąt pomorskich: Sambora i Mestwina. Stanął nad ujściem „Wisły“, zdeptał helskie „Międzymorze“, owionął go i porwał ostry „Wiatr od morza“. Okazało się, że słuszność miał gen. gubernator Besseler, kiedy podczas pierwszej wojny zakazał rozpowszechniania książeczki „Z wybrzeża i o wybrzeżu“ jako „zagrażającej całości niemieckiego cesarstwa“.

Żeromski, pierwszy z „tropicieli Smętka“ wcześnie rozpoczął literackie zdobywanie Pomorza. Już przecież w „Walgierzu“ wysnuł z fantazji wizję polskiego króla, ucztującego na bałtyckich wydmach. Teraz sam zjawił się nad Bałtykiem, i to aż czterokrotnie. Spędzał tu długie miesiące od maja aż do października włącznie, mieszkał w Gdyni, Orłowie, i na Helu, odwiedzał Rozewie i Żarnowiec. „ Przeżywał wewnętrznie“ ziemię, której piękno i bogactwo tworzywa czuł od dawna, uczył się jej uroku, poznawał jej dzieje i życie jej ludu, by wszystko to następnie pokazać społeczeństwu. Prowadził jednak swych czytelników nie tylko w przeszłość ale i w przyszłość.

Tam, gdzie wałęsały się za jego czasów „białe lub łaciate kozy, uwiązane na postronkach i przytroczone na głucho do kołków wbitych w torfowisko... zaświszczały sygnały i syreny setek kotłów, uderzyły w niebogłosy tysiące młotów... zawarczały maszyny, zaśpiewali pracownicy, gotowały się do podróży... polskie okręty i młodzi polscy marynarze“. Powstała Gdynia, najpiękniejszy port na Bałtyku.

Na wybrzeżu również u ujścia Wisły umiejscowił Żeromski tajemniczą fabrykę inż. Baryki, która miała stać się początkiem nowej cywilizacji w Polsce jutra, lepszej i sprawiedliwej, Polsce legendarnych „szklanych domów“. Pamiętamy dobrze, że w marzeniach pisarza szkło do budowy tych domów miało zostać wytopione z bałtyckiego piasku.

Dlatego dwudziestopięciolecie śmierci Żeromskiego nie mogło przejść na wybrzeżu bez echa. Trudno było wprawdzie zadecydować w jaki sposób najpiękniej upamiętnić tę rocznicę. Hitlerowcy podczas okupacji starali się zatrzeć wszystkie ślady autora „Wiatru od morza“ na Wybrzeżu. Ścięli dwa buki na witomińskim wzgórzu, wspomniane w „Inter arma“, zrównali z ziemią czerwony domek przy ul. Świętojańskiej, w Gdyni, w którym Żeromski mieszkał przez pewien czas, o czym przypominała pamiątkowa tablica, ocalona i ukryta przez gdynian podczas wojny, a znajdująca się dziś w gdyńskim Zarządzie Miejskim. Jedynie w Orłowie nad morzem nieopodal ocienionego starymi wierzbami mostku na bystrej rzeczce Kaczej zachował się do tej pory różowo otynkowany domek rybacki, w którym przed przeszło ćwierćwieczem powstawały fragmenty „Wiatru od morza“ i gdzie — jak wiemy z korespondencji — odwiedzał Żeromskiego Jan Kasprowicz. Można było to miejsce upamiętnić jakąś skromną tablicą. Można było posadzić nowe drzewa na miejsce witomińskich buków. Ale znalazł się projekt trafniejszy:

— Zamienić latarnię rozewską na pomnik wielkiego piewcy morza.

Wprawdzie, wbrew legendzie, Żeromski nigdy podobno nie mieszkał na Rozewiu. Zaręcza o tym Janusz Stępowski, który na podstawie długich poszukiwań, korespondencji i rozmów z rodziną pisarza ustalał wszystkie dane, dotyczące pobytu Żeromskiego na wybrzeżu. Ale nie ulega wątpliwości, że pisarz często odwiedzał tę nadmorską wieżę, opisywaną przez siebie w „Wietrze od morza“. Było oczywiste, że żaden pomnik nie będzie lepiej niż ta latarnia, wydzierająca co noc z mroku ogromny obszar naszego morza, ukazywać wielkiej roli Żeromskiego, który chyba pierwszy z naszych literatów rzucił ostry snop światła na urok, potęgę i znaczenie Bałtyku dla naszego społeczeństwa. I dlatego w ostatnią przed świętami niedzielę grudnia na wyniosłe i odludne Rozewie przyszła gromada ludzi.

Latarnia na wzgórzu czerwieniała jak drogowskaz. Kiedyś wieża ta, której dolne kondygnacje pamiętają czasy Władysława IV, stała jakby na wyspie, kępę bowiem otaczało morze i ogromne moczary. Latarnicza rodzina Küsterów, dzie-

(Dokończenie na str. 8)

ALISZER NAWOI

(W 450-lecie śmierci wielkiego poety uzbeckiego)

3 stycznia 1951 r. upłynęło 450 lat od śmierci wielkiego poety uzbeckiego Aliszera Nawoi.

Literatura uzbecka w procesie swego kształtowania się i rozwoju jest związana z najstarszymi kulturami Wschodu. Na terenie dzisiejszego Uzbekistanu, w starożytnym Sohdianie, krzyżowały się prastare szlaki karawan, wiążące dalekie kraje Wschodu i Zachodu. Już za Aleksandra Macedońskiego istniały tu poważne ośrodki kulturalne, jak Marakanda (dzisiejsza Samarkanda), Warachsza, Bałch, Termez i in. Na początku naszej ery powstały tu państwa: sohdyjskie i turkskie, które przetrwały do najścia Arabów i wprowadzenia drogą gwałtu islamu (VII—VIII w.). Wydarzenie to pociągnęło za sobą zasadnicze zmiany w kulturze i obyczajach Azji Środkowej. W drugiej połowie w. IX skończyło się panowanie Arabów w tej części Azji. Do władzy doszła dynastia samanidów, która obrała sobie za stolicę Bucharę. Język arabski, który pozostał językiem religijnym, traci swoje poprzednie znaczenie. W życiu państwowym i w literaturze zaczęto posługiwać się językiem nowoperskim, językiem nie tylko ludności osiadłej, ale i koczowniczych plemion Azji Środkowej.

Bogata literatura ustna — pieśni, baśnie, poematy-dastany — poprzedza lituraturę piśmienną, która w okresie poarabskim ma już swoich wybitnych przedstawicieli tworzących w języku turkskim w osobach Machmuda Kaszgari, Jusufa (XI w.), Achmada ibn-Machmuda Jugnaki (XII w.), Achmada Jasawi (XII w.) i in. W XI i XII w. rozwija się w Bucharze, Samarkandzie i Urgenczy poezja dworska w języku perskim. Wiek XIII przynosi najście hord Dżingischana na Azję Środkową. 150-letnia niewola mongolska to okres upadku i zastoju kultury uzbeckiej. Mimo to jednak w tym okresie występuje poeta świecki Chorezmi, autor „Księgi miłości“.

W XV w. Samarkanda i Herat stają się ogniskami kultury uzbeckiej. W tym czasie powstają arcydzieła architektury, uczony Uługbek buduje obserwatorium, układa tablice astronomiczne, Bechzad, zwany Rafaelem Wschodu, tworzy wspaniałe obrazy. W okresie tym występują poeci: Durbek, Sakkaki, Atai (obaj ostatni autorzy gazel miłosnych) i Lutfi. Wszyscy oni przyczynili się w dużym stopniu do ukształtowania się języka ilteracckiego i udoskonalenia form poetyckich i przygotowali grunt do wystąpienia genialnego poety Aliszera Nawoi.

Aliszer Nawoi urodził się w Heracie w r. 1441. Kształcił się wraz z przyszłym władcą Chorasanu Huseinem Bajkarą, ale naukę przerwał bardzo wcześnie. Już w 15-tym roku życia, zasłynął jako poeta dwujęzyczny tworzący w języku uzbeckim i perskim. W r. 1456 wstępuje na służbę władcy Chorasanu, Abułkasyma Babura. Po jego śmierci Aliszer wyjechał do Meszhedu. Po kilku latach wraca do rodzinnego Heratu, gdzie zbliża się do kół spiskujących przeciwko następcy Babura, szachowi Abusaidowi. Potem wyjeżdża do Samarkandy, gdzie studiuje prawo u słynnego uczonego Hodżi Fazlullacha Abullejsa. Tutaj poznaje wielu z literatów, malarzy i muzyków samarkandzkich.

W tym czasie przyjaciel jego i kolega, Husein Bajkara, obejmuje władzę na całym obszarze państwa Chorasanu. Nowy sułtan wzywa Nawoi do siebie i mianuje go muchurdarem (wezyrem pieczęci). Na tym stanowisku Nawoi starał się wykorzystać swój wpływ na sułtana i udało mu się wcielić w życie wiele reform. Pracował nad rozwojem miast, budował kanały, szpitale, szkoły, biblioteki, walczył z samowolą urzędników i dbał o utrzymanie całości państwa, przeciwstawiając się intrygom feudalnym.

Tymczasem intrygi na dworze sułtana i nienawiść kół reakcyjnych zmuszają Nawoi do ustąpienia z zajmowanego stanowiska. Przez 11 lat nie bierze zupełnie udziału w życiu państwowym i oddaje się całkowicie pracy literackiej. Wtedy powstają jego arcydzieła. Swe poematy i gazele tworzył w języku narodowym. Twórczość jego wykazała w całej pełni piękno, bogactwo i siłę wyrazu języka uzbeckiego.

Jego „Czar-Dywan“ zawiera tysiąc gazel, około 54 tysięcy linijek wierszowych i składa się z czterech cyklów odnoszących się do lat dziecięcych, młodzieńczych, wieku średniego i starości. Słynna „Chamse“ zawiera pięć poematów epickich. W poematach tych znalazły odbicie filozoficzne, społeczne i estetyczne poglądy autora, wielkiego humanisty, demaskatora gwałtu i despotyzmu oraz średniowiecznej scholastyki. Pod tym względem stoi Nawoi obok największych poetów świata. Dążenie od udoskonalenia i swobody jednostki, harmonii ducha z ciałem i wyzwolenia człowieka od więzów średniowiecznej scholastyki znalazło głęboki wyraz w twórczości Nawoi.

W artystycznych obrazach odsłonił przed czytelnikiem świat miłości, bohaterstwa, wierności, duchowego piękna człowieka, jego wielkich czynów w imię szczęścia innych. Bohaterzy jego poematów: Mandżun, Farchad, Lejli, Szirin i in. są właśnie wyrazicielami szlachetnych i postępowych w owych czasach idei. Ale mimo całą postępowość swych poglądów Nawoi nie jest wolny od wpływów filozofii religijno - idealistycznej. Walcząc o zasady humanistyczne Nawoi był jednocześnie zwolennikiem monarchizmu oświeconego.

(Na podstawie wstępu M. Ajbeka do „Antologii poezji uzbeckiej“) ka

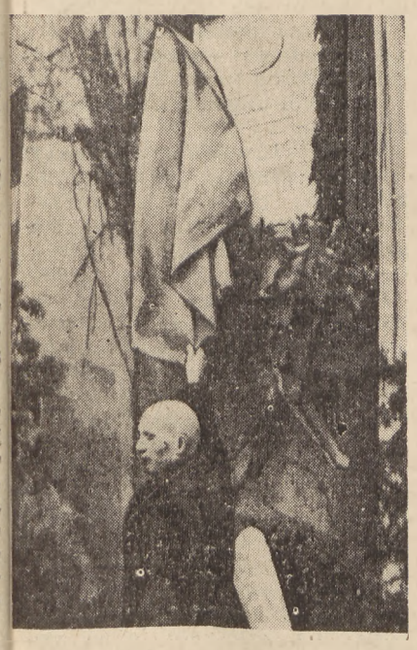

Fot. Naruszewicz

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na latarni morskiej w Rozewiu

ALISZER NAWOI spolszczył K. A. JAWORSKI

O WŁADCACH

(z poematu „Popłoch wśród sprawiedliwych“)

Tyś niewolnikiem jak inni tak samo,
nędza i słabość ciebie również łamią.
Kogoś przewyższył majestatem jasnym?
Nicością jesteś i w sumieniu własnym.
Żaden rys ciebie niczym nie wyróżnia,
rzekome piękno twe to tylko próżnia.
I gdyby zebrać wszystkie twe talenty,
wytworność mowy, styl jej niepojęty
i godność nawet sędzi najwyższego, — —
niechaj się wszystkie twe przymioty zbiegą,
i tak zobaczysz, że zbłądziłeś z drogi,
żeś został w tyle, że wloką się nogi.
Komuś raz kolcem zagroził jedynie,
od stu sztyletów jego kiedyś zginiesz,
a sznur, co ręce twych więźniów spowija,
pierś twą okręci jak złośliwa żmija.
Ty, co zawdzięczasz losom swoją sławę,
co w okrucieństwie znajdujesz zabawę!
Za to, że bliźnich uciska twa władza,
na ciebie, gwałtów sprawcę, gwałt sprowadza.
Pomyśl, że umiesz tylko zbrodnią rządzić,
jeśliś rozumny, przestań wreszcie błądzić.
Ukołysany radością, ucztujesz,
z „miłością“ gościom tę radość rymujesz;
lśni podczas uczty pałac twój wspaniały, —
tu by się zmieścić nawet raj mógł cały;
dywany z ludzkich tu istnień splecione,
rubin, purpura od krwi są czerwone.
Lud swój majątek włożył w te tkaniny,
w te perły jasne, w te krwawe rubiny.
Zburzono meczet i zwieziono cegły,
z cmentarnych grobów tu kamienie legły.
Tutaj tron stanął władcy nad władcami,
którego napój coraz słodszy mami.
Tutaj podczaszy każdy urodziwy,
tutaj usłyszysz wszystkich pieśni dziwy.
Wszystko, co człowiek tylko w snach wymarzy,
na uczcie twojej bogactwem się jarzy.
Tutaj usłyszysz, jak się bluźni w żarcie,
i ujrzysz tych, co nie są tego warci.
Wśród wrzawy każdy tu zatraca spokój,
do wina rękę wciąż wyciąga opój.
Dopóki słońce zlewa na świat blaski,
trwa uczta twoja, śmiech i dzikie wrzaski.
I chociaż ciemność już w koło zapada
i ludźmi sen po domach już owłada,
długo w noc jeszcze ciągnie się zabawa,
tyś na niej pierwszy z urzędu i prawa...
Twoja się czara krwią czerwoną płoni,
a świeca nad nią łzy gorące roni.
Kiedyś pijany i do uciech skory,
dla żądz swych żadnej nie spotkasz zapory.
Choć wzrok lamparci twój się złością mieni,
lecz pies przyprawić zdoła cię o drżenie.
To tu, to tam, dopóki wino ciecze,
rumiany pijak, pijanego wlecze.
Tak rozpasani bawią się wesoło,
aż sen ogarnie wreszcie wszystkich w koło.
A kiedy ranek światłem zaszeleści
i słońce światu swoją twarz obwieści,
nie wstanie król ze świtą swoją huczną,
śpią wciąż zmożeni tą wytrwałą ucztą.
A gdy sen wreszcie z oczu swoich spędzą,
wstaną, by bawić się znów ludzką nędzą,
znowu bezprawie idzie z gwałtem w parze,
dla nowych uczt obdzierać ludzi każe
i zwożą wszystko, co ukradli wszędzie,
bo oto zaraz nowa uczta będzie.
I tak nie tylko władca jeden czyni,
każdy urzędnik zbiera do swej skrzyni.
Gniew ludu rośnie, w krąg się rozprzestrzenia,
a oni długo śpią bez przebudzenia.
Dokąd prowadzi lat szaleńczych pościg?
Baczcie, ciemiężcy, czy nie do nicości!
Za dnia podatki, a w nocy rozpusta!
O, gdybyż wreszcie ten porządek ustał!

GAZELA

Zabrakło piękna widomego, nie ma czaru miłość.
Gdzie prośby swoje zwrócić mam? Gdzie się podziała miłość?

W ogrodzie czasów dawno już przestały kwitnąć róże.
I nie dziw się że przestał łkać i słowik pieśń zawiłą.

Minęło wszystko, odpłynęło. Z serca węgiel został.
Nie weźmie wzrok go twój na arkan żadną, żadną siłą.

Pozostał tylko w słodkiej duszy gorzki osad smutku.
Najsłodszym słowem już mnie nie męcz — truj goryczą zgniłą.

Lecz jeśli w tobie ogień cały, jeśliś sama światłem,
zgaś lampę moich dni i skończ już z szaławiłą.

A jeśli miłość już umarła, daj, podczaszy, kubek,
daj kubek z krwawym winem, by się serce krwią upiło.

I gdy Nawoi ginie patrząc w gwiazd na niebie kręgi,
że ciemno, nie dziw się. Zgasło światło, zgasła miłość.

TADEUSZ BREZA

URIASZ

„Uczta Baltazara", powieść, z której wyjęty został poniżej zamieszczony rozdział i dwa następne, dzieje się na wiosnę 1947 roku. Już po wyborach, już po ogłoszeniu amnestii. Książkę wiąże w całość osoba Andrzeja Uriaszewicza i jego perypetie wynikłe z poszukiwania owej „Uczty", obrazu pędzla Veronesa, arcydzieła przedstawiającego olbrzymią wartość pieniężną, własności przed wojną niejakich Lewartów, rekinów przemysłu chemicznego, kiedyś pracodawców ojca Andrzeja.

Warszawa, z rodziną Andrzeja coraz bardziej różnicującą się politycznie, wieś, a ściślej gimnazjum rolnicze na wsi, znów Warszawa, a na koniec środowiska robotnicze w małym porcie węglowym w odbudowie, to kolejne etapy poszukiwań, a jednocześnie kolejne etapy przemian zachodzących w Andrzeju, doprowadzających go do stanowiska, jeśli się tak można wyrazić, pozytywnego inteligenta.

Uriaszewicz nie miał potrzeby u nikogo dowiadywać się o drogę. W szkole przypadkiem usłyszał, że wieś którą minął, jadąc ze stacji Mostnik do Jeżowej Woli, to właśnie Strumień. Któregoś popołudnia nakoniec zdecydował się tam wybrać. Trafił z łatwością do samej wsi i do kościoła. Przy kościele dopiero zatrzymał się, by się rozejrzeć za probostwem. W najbliższym sąsiedztwie kościoła stał domek w ogrodzie otoczonym sztachetami gęsto porośniętymi winem. Uriaszewicz uchylił furtki i natknął się na grupę osób złożoną z kilku wiejskich kobiet i starszego, otyłego księdza, który na widok Uriaszewicza zamilkł.

— Przepraszam — rzekł Uriaszewicz. — Ja z listem do księdza proboszcza.

— Od kogo?

— Czy mówię z księdzem proboszczem Sposem?

— A pan sam kto?

— Ja? — zawahał się Uriaszewicz i ściszył głos. — Ja od księdza Zawiczyńskiego.

— Z Warszawy?! — zdziwił się ksiądz niedowierzająco. — Proszę, proszę!

Wziął list, grubymi palcami przez chwilę porał się z kopertą, nie spuszczając oczu z Uriaszewicza. Nareszcie wyjął arkusik papieru złożony we czworo i zaczął go czytać. Wtedy kobiety, które otaczały księdza, dotychczas wpatrzone w Uriaszewicza, również przeniosły spojrzenie na papier. Kiedy ksiądz skończył, złagodniał.

— Witam — wyciągnął rękę. — I przepraszam za moją nieufność. Ale dzisiaj czasy są takie, że w każdym obcym wietrzyć muszę albo kogoś z urzędu albo jeszcze coś gorszego. Przejdźmy do środka.

Odwrócił się do kobiet żeby je pożegnać. Zmarszczył brwi i nie podnosząc głosu z naciskiem powiedział:

— A wy się o mnie nie frasujcie, będzie ze mną wszystko podług woli Opatrzności. Zostawajcie z Bogiem!

Lecz one się nie ruszyły. Stojąca zaś najbliżej księdza, zgarbiona, pomarszczona, rzuciła ze starczą złością:

— A zostaniemy, zostaniemy, kiedy nam księdza dobrodzieja zabiorą! Ale nie z Panem Bogiem zostaniemy, tylko z tymi diabłami!

— Nie bluźnilibyście — ksiądz zaoponował miękko.

— Rok za rokiem nic się nie zmienia, jak tylko na gorsze! — stara się upierała. — Już widać nie ma dla nas boskiego miłosierdzia!

— Nie bluźnilibyście — powtórzył ksiądz. — Bo to i grzech i głupota. Cóż wy sobie myślicie, że Pan Bóg jedną tylko naszą Polskę ma na głowie!

Następnie położył rękę na ramieniu staruszki i łagodniejszym już tonem zapewnił:

— Módlcie się, trzymajcie się kościoła, pilnujcie żeby każdy we wsi kościoła się trzymał, to mnie nie zabiorą.

Na to odezwał się głos innej, dorodnej, czysto, dostatnio ubranej:

— Jak zaczną gdzie zabierać kapłanów, to wtenczas wszystkich zabierają. Co do jednego! Na Pomorzu, na Śląsku, w województwie poznańskim wszystkich bez wyjątku zabrali i pognali nie wiadomo dokąd. Tak właśnie mówiła ta pani do tej kobiety od nas, która do Warszawy jeździ z towarem.

— Słyszałem! Słyszałem! — ksiądz opuścił ku ziemi głowę.

Wziął Andrzeja pod rękę, żeby go przeprowadzić przez ciemną sionkę. W niewielkim gabinecie wskazał mu pokryty ceratą, mocno zniszczony fotel. Sam przysunął sobie krzesło. Był w wytartej sutannie, rozpiętej pod szyją, trochę przyciasnej, źle ogolony.

— Więc pan z Zachodu, moja duszo! — w pierwszym momencie ten szczegół z listu księdza Zawiczyńskiego przejął proboszcza Sposa najmocniej. — No i co: będzie interwencja?

Proboszczowi szło o wybory i o możliwość czynnej reakcji ze strony Anglii czy Ameryki, skoro wypadły one tak dalece nie po ich myśli. Andrzej w tej sprawie nie miał swojego zdania, na polityce się nie rozumiał, tyle że w Warszawie poczęli go drażnić ludzie, którzy wciąż oczekiwali na tego czy innego rodzaju zbrojną awanturę. Nie chciał jednak do siebie zrażać proboszcza, zwłaszcza że dobrze znał jałowość podobnych rozmów. Zamilkł więc po jego pytaniu, zasępił się.

— Nie będzie! — wywnioskował z wyrazu twarzy Uriaszewicza ksiądz proboszcz Spos i krzyknął.— A więc znowu jakaś fuszerka!

Wstał i zamknął okno wychodzące na ogród.

— Człowiek już cierpliwość traci — zaczął ciężko dyszeć. — Mieli u nas w rządzie ludzi niezaprzedanych Moskwie, to im sami nogi podcięli! Czego się więc spodziewali, pchając do tych wyborów? Znowu jakiegoś cudu nad Wisłą, czy jak? Co o tym mówią w Warszawie?

Przerwał w połowie zdania Uriaszewiczowi, bo mu w jego odpowiedzi jedno słowo zadźwięczało nienawistnie:

— Odprężenie?! A właśnie, akurat! Chaos tylko znaczniejszy, ponieważ wielu ludzi, widząc że w żaden sposób nie są w stanie poprawić nam losu ani nasze własne siły, ani nawet obce, straciło głowę.

Pełen impetu mówił dalej.

— Ale istnieją nie tylko moce ziemskie. Prócz mocy przyrodzonych istnieją przecież jeszcze nadprzyrodzone. Istnieje kościół! To też po ostatniej klęsce nie wszyscy zwątpili i pamiętając o tem, garną się dzisiaj do kościoła bardziej niż kiedykolwiek. Nawet tacy, którzy od wielu, wielu lat nie przestępowali jego progów. Klęknąć czasem uczciwie na oba kolana, nie uklękną, bo w Boga jeszcze nie uwierzyli,

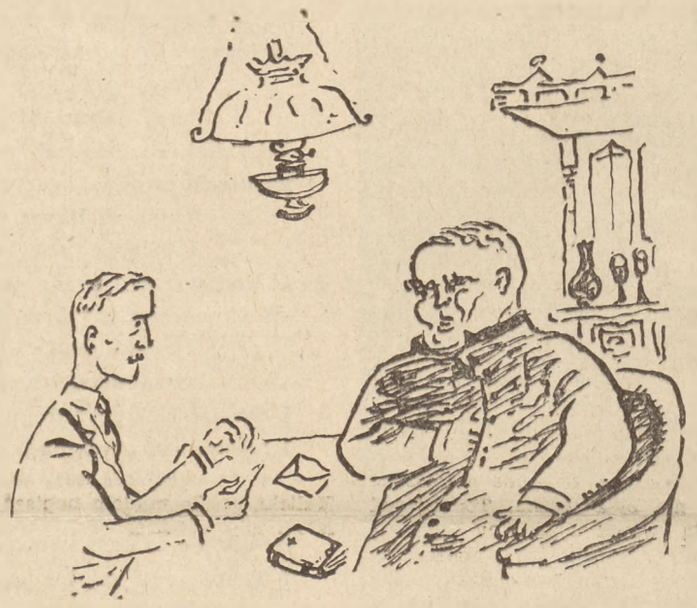

ale już uwierzyli w kościół! Albo tacy, którzy, powierzchownie rzecz biorąc, byli z wiarą w porządku, ale skąpili na kościół. Dzisiaj kieszeń ich jest kiedy chcesz i na ile chcesz otwarta! Jak u tego młynarza z Jeżowej Woli, gdzie Pan mieszka, u którego łatwiej jest dzisiaj na kościół o złoty dolar, niż za okupacji o funt pszennej mąki!

Lecz nie sam jedynie tryumf zadźwięczał w jego głosie na myśl o takich zjawiskach.

— Żeby tylko obecnie skolei — pokręcił głową — władze nie zaczęły bić w kościół z wściekłości, że się ludzie będą próbowali skupiać w szeregi pod jego skrzydłami!

Podrapał się w głowę, posmutniał, a po dłuższej chwili milczenia, zacisnąwszy zęby, zgodził się i na to:

— Trudno! — machnął ręką. — Jeśli taka będzie wola Boża!

Uriaszewicz przypomniał sobie w tym momencie sprawę pani Rokicińskiej, plotek przez nią szerzonych, za które została zatrzymana i rozmowę przed probostwem, której był przed chwilą świadkiem. Zwrócił się do księdza Sposa z zapytaniem jak się rzeczy istotnie mają.

— A właśnie! — ksiądz proboszcz Spos skrzywił się. — Będą tak krakać, będą tak krakać, aż coś wykrakają. Po co to w ogóle rząd wodzić na pokuszenie podobnym gadaniem!

— Więc to jednak nieprawda o tych aresztowaniach?

Ksiądz nie dał Uriaszewiczowi odpowiedzi na to pytanie, tylko idąc dalej torem swych poprzednich rozważań, zakończył je pełną rezygnacji refleksją:

— A niech gadają! Widać tak trzeba.

Znowu wziął do ręki przywieziony przez Andrzeja list i jeszcze raz go przejrzał. W swoim czasie stykał się na różnych terenach z wujem Uriaszewicza, infułatem Krupockim, o którym w liście znalazł słówko. Wspomniał o kilku swoich spotkaniach. Poczem sprowadził rozmowę na samego księdza Zawiczyńskiego.

— I trzyma się jeszcze dobrze, i służbę Bożą pełni, i administruje parafią, ho, ho! Wikarego, rzecz prosta, ma?

Uriaszewicz wiedział od swoich ciotek, że nie. Ksiądz proboszcz Spos pokręcił głową:

— Z osiemdziesiątką za pasem?! Gdzieżby w spokojnych czasach do pomyślenia proboszcz w takim wieku! Ale co robić, kiedy wojna tyle kleru wytraciła, a koniec końcem zawsze lepszy pasterz choćby najstarszy, niż żaden. Tylko dziwi mnie, że go kuria jakim wikarym nie wsparła.

To powiedziawszy nachmurzył się i z nagłą pasją wycedził przez zęby.

— Chociaż niekiedy, jak Pan Bóg dopuści, większy z wikarego w parafii zamęt, niż pomoc. No, ale do rzeczy, do rzeczy, moja duszo!

Przybliżył się z krzesłem do Uriaszewicza.

— A zatem mam panu pomóc w odnalezieniu osobnika, który się ukrywa w tych stronach?

— Tak proszę księdza.

— Zna pan jego nazwisko?

— Kienzel, obecne — Grelowicz.

Ksiądz Spos zamknął oczy na chwilę i skupił się:

— Takiego nazwiska w parafii sobie nie przypominam!

Przyjrzał się z uwagą fotografii od docenta Nacewicza, na której mu Uriaszewicz wskazał głowę Kienzla.

— Ani takiej fizys! — stwierdził.

Przeniósł wzrok z fotografii na Uriaszewicza.

— A to pewne, że przebywa w naszych okolicach?

— Najzupełniej! Widziano go nie tak dawno na stacji Mostnik.

— Ba! — wzruszył ramionami ksiądz. — Do stacji Mostnik dojeżdżają ludzie i z dalszych okolic. W każdym bądź razie ten człowiek, którego pan otrzymał rozkaz odszukać...

— Rozkaz! — przerwał Uriaszewicz, by sprostować, zaskoczony tym słowem.

— No a co? — uniósł się ksiądz. — Ja się pana o nic nie pytam, ale też znosić nie myślę, żeby mi pan oczy mydlił!

— Skądże znowu! — przestraszył się Uriaszewicz. — Jak najchętniej bym księdzu wyznał całą prawdę w tej sprawie, tylko z prośbą, żeby to zostało w czterech ścianach tego pokoju. Od tego zależy spokój wielu ludzi!

— I spokój! I bezpieczeństwo! I wolność! I życie! A toś mi nowość powiedział! — wybuchnął ironicznym śmiechem ksiądz. — Z innego rodzaju sprawą nie potrzebował byś do mnie przychodzić!

— Ten człowiek, którego szukam to...

Ksiądz podniósł głos.

— Dobra, dobra! — zawołał. — Mnie list księdza Zawiczyńskiego w zupełności wystarcza żebym ci zawierzył, a szczegółów nie jestem ciekaw. Nasłuchałem się ja ich już dosyć w ostatnich latach!

Podszedł do okna, szeroko je otworzył, bo zrobiło mu się duszno, poczem wrócił na swoje miejsce.

— Tego zaś człowieka ci znajdę. — I znowu w jego oczach zamigotała przekora. — Nakryjemy go, jak nie w mojej, to gdzie w sąsiedniej parafii. Nic się tym nie przejmuj, że dzisiaj wyjdziesz ode mnie z pustymi rękami. Daj mi fotografię, którąś mi pokazywał, ja ją puszczę w kurs. Od proboszcza do proboszcza. Grelowicz, powiadasz?

Wyjął z kieszeni mały notes, w grube palce ujął ołówek.

— Patrzysz się, że zapisuję nazwisko? Nie bój się, nikt tego nie będzie czytał. Ja nie z tych, którzy pozwolą się wkopać w jakąś kabałę!

— Od proboszcza do proboszcza! — zamyślił się. — Patrz jakie to czasy, że do takiej sieci musisz się uciekać. A i ona myślisz, że jest całkowita, że się gdzie niegdzie nie rwie?! Skąd! Dzisiaj bywają różni nawet księża. Mam ja tutaj właśnie jednego takiego gagatka. Ten jest znowu po prostu głupi, tak jak inni chcą być za mądrzy i w jakiś *modus vivendi* wierzą przez proste tchórzostwo czy małoduszność czy zmęczenie życiowe. Albo w innych wypadkach przez mętlik w słabszej a nafaszerowanej wiadomościami głowie. Na jaki ja, na przykład, trafiłem choćby u jednego profesora z naszego uniwersytetu katolickiego w Lublinie, księdza, który przede mną bronił mi ich porządków i ich polityki nauką Hegla. Wiesz co ja jemu palnąłem?

Rozparł się wygodniej na krześle i cały poweselał.

— Naukę, że tezie przeciwstawiona jest antyteza i z niej dopiero powinna wyniknąć synteza, to znaczy naukę Hegla, ja dobrze znam — odpowiedziałem mu. — Szkoda natomiast że oni jej nie znają i nie stosują. Bo jeżeli sami są tezą, a swoją antytezę rugują skąd mogą, to jakże chcą żeby u nas doszło do syntezy?

Zaśmiał się serdecznie ze swojego dowcipu, po chwili jednak spoważniał.

— Wiesz co to wszystko jest po mojemu? Nowa wieża Babel! Ale tak jak i wówczas za biblijnych czasów, tak i za naszych Bóg nakoniec pokarać musi pychę człowieka. Będzie spoglądał i spoglądał, jak się wznosi piętro po piętrze to państwo szczęśliwości ludzkiej na ziemi, państwo pychy, które odrzuca pomoc Boga i chce stawić zwycięskie czoło zrządzeniom losu i wszystkim Bożym dopustom. Będzie spoglądał i spoglądał, aż uderzy. Do tego czasu trzeba dotrwać.

Przez okno widać było bok kościoła. Ksiądz Spos wyciągnął rękę w jego kierunku.

— Spójrz, ile takich przybytków ludzkość wybudowała. Takich i innych postokroć piękniejszych. Ile klasztorów, ile kaplic, ile krzyży nastawiała. Ile takich domów jak ten pod którego dachem się znajdujesz. Ile różnych kapituł, kolegiat i prostych probostw. I po co? Żeby miały przejść w ręce ludzi obojętnych Bogu i którym Bóg jest obojętny? Albo w ogóle rozpaść się i zmarnować? Jak świątynie różnych starożytnych bóstw i kultów? Do tego nie może dojść! Do tego kościół nie może dopuścić za nic, za nic! Kościół się przecież żadną miarą nie może skończyć. Taka potęga! Taka organizacja!

Ale mimo ten akt wiary, z dotychczasowego zadowolenia nie pozostał ani cień w oczach księdza. Spoglądały na Uriaszewicza pełne troski.

— Twój wuj, moja duszo, rozumiał to! — ksiądz Spos przeniósł się w wspomnienia. — Nie paktował z wrogiem. Ani z diabłem, ani z chamstwem, ani z komunizmem. Do walki nie wkładał rękawiczek. Po tamtej wojnie, kiedy był jeszcze prostym proboszczem jak ja, umiał wyplenić swoją parafię z chwastu. Wszelkimi środkami, które stały do jego dyspozycji! Z opornymi długo się nie ceregielował. W podobnych wypadkach nawet ramieniem świeckim nie gardził. Rozumiesz mnie! Zaś przeciw wahającym się, słabszym, całą wieś zbroił w oburzenie. Ale bo też z niego był kaznodzieja, a kaznodzieja! Cud miód! Takich więcej, a wieś miałbyś dzisiaj posłuszną i głuchą na wszelkie podszepty jak pień. Więcej jeszcze niż głuchą. Wrogo usposobioną. I to tak

jak wieś potrafi być wrogo usposobiona. Z kamieniem w garści, z kosą w dłoni, z cepem. Nic dziwnego, że poszedł wysoko!

Ksiądz podniósł się, przybliżył, wsparł o poręcz fotela. Uriaszewicz poczuł na twarzy gorący jego oddech.

— Pan mi coś tu wspomniał o odprężeniu. Moja duszo! Możesz mi wierzyć, że jest powierzchowne. Przynajmniej na wsi. Ja o tem mogę chyba wiedzieć lepiej niż ktokolwiekbądź inny. Z konfesjonału i nie z konfesjonału. To prawda, że w pierwszym momencie po ostatnich wypadkach przyszła na niektórych chwila zwątpienia. Trzeba więc było z ich serca ten zasiew wyplenić, skrzepić. Ot i wszystko! W jednych wolę biernego przetrwania, a w innych wolę walki. Dodać takim otuchy, bo to lata mijają im poza ramami normalnego życia! Natchnąć wiarą w rychłe rozwiązanie, a nawet niekiedy poprostu przemówić do takich serdeczniej i z nimi sobie pożartować. Jednym słowem chuchnąć i dmuchnąć w ogień. Bo jest ogień! Jest echo! Jest się do czego w duszach chłopskich odwołać. Chlebaśmy na wsi, my kapłani, za darmo nie jedli. A jest również i do kogo o pomoc materialną się zwrócić. Schronić się też gdzie jest człowiekowi w razie czego. Póki na wsi prawdziwych, znacznych gospodarzy, póty wszelkiej pomocy dla każdej akcji. Byle tylko wreszcie Zachód coś konkretnego uczynił. Niech by interwencja, czy nacisk ekonomiczny, czy jaka bomba na Moskwę; co chcą. A oni tylko wciąż jak na przykład z tymi wyborami. Pchają do nich, nic im z nich nie wychodzi, to ręce po sobie pokładają. I tak raz za razem, raz za razem. Tylko hyc i nic. Hyc i nic.

* * *

— Najlepiej niech się pan ze mną zabierze. Przejeżdżam koło fabryki, to pana podrzucę. Będzie się pan mógł odrazu z nimi rozmówić. Ile panu jeszcze na dziś pozostało lekcji?

Zanim Uriaszewicz zdążył odpowiedzieć, dyrektor Tomczyński, który nosił cały rozkład godzin w głowie, przypomniał sobie:

— Tylko jedna chemia w drugiej!

Zwrócił się do żony, która zeszła na dół żeby się z nim pożegnać i stała przy wózku.

— Zastąp pana dziś, a jutro zamiast twojej godziny pan Uriaszewicz przerobi z klasą dzisiejszą lekcję.

Pomógł Uriaszewiczowi dostać się na wózek. Potrząsnął lejcami.

— No! — zawołał. — No, kary!

Skręciwszy za bramę w stronę Mostnika, powrócił do sprawy specjalnego kursu dla laborantów organizowanego przez fabrykę, która powstawała o kilometr od miasteczka.

— Mają samochód — mówił. — Niech się pan z nimi ułoży tak żeby po pana przysyłali. Zyska pan w ten sposób na czasie i mniej się pan zmęczy. My z naszej strony natomiast postaramy się w szkole dostosować do pana z planem na okres pańskich lekcji na tym kursie. I jakoś to pójdzie.

Uriaszewicz podziękował.

— Nie ma za co! — odparł Tomczyński i złagodziwszy uśmiechem surowy wyraz twarzy dodał: — Żebyś mnie pan tylko nie przeklinał!

— Ależ dlaczego?

Wtedy dyrektor Tomczyński zapytał:

— A pogodzi pan aby te kursa i pracę w szkole ze swoją politechniką?

Uriaszewicz coraz częściej powracał myślą do studiów. Dojeżdżałby do Warszawy regularnie. Ilekroć to sobie uprzytomniał, biło mu serce. Tęsknił. Postanowił jednak, że się nie ruszy z Jeżowej Woli przed upływem miesiąca. Póki jako tako nie opanuje obowiązków szkolnych.

— Sprobuję — odrzekł.

A po chwili milczenia zagadnął:

— Mówi pan, że tylu tam inżynierów. Dlaczego żaden z nich nie obejmie lekcji, które pan mi proponuje?

— Bo i tak bez tych lekcji dosyć godzin zabierze im kurs. A bez tego kursu też ledwie dyszą. Rozebrali więc między siebie wykłady specjalne z mikologii, z maszynoznawstwa chemicznego, z technologii produkcji, bo w tym ich nikt nie wyręczy. Zaś matematyką, chemią, fizyką na stopniu szkolnym woleliby sobie nie zawracać głowy, skoro to może zrobić doskonale każdy nauczyciel przedmiotów ścisłych. Właśnie ktoś taki jak pan!

Uśmiechnął się.

— Tak, tak, panie Andrzeju, bierzemy pana do galopu. Ani się pan opatrzy, jak pana całym zmartwieniem stanie się to, że dzień ma tylko te głupie kilkanaście godzin na robotę. Bez podobnych zmartwień nie jest się dzisiaj prawdziwym człowiekiem.

Wyjechali z lasu. Oczom Uriaszewicza ukazał się kościół w Strumieniu. Uriaszewicz wpatrzył się w jego biały, harmonijny kształt. Ale nie o jego architekturze myślał. A nawet nie o Kienzlu i o „Uczcie". I nie o jednym tylko księdzu Sposie. Dyrektor Tomczyński poszedł za jego spojrzeniem.

— Ładny to kościół! — mruknął.

Byle coś powiedzieć, Uriaszewicz odparł:

— Szkoda, że to nie nasza parafia.

— Bardzo mała szkoda!

W tym momencie Tomczyński nagle ściągnął lejce. Koń przystanął. Końcem bata Tomczyński wskazał Uriaszewiczowi coś na drodze tuż przed przednimi nogami konia.

— Kret? — spytał Uriaszewicz.

— Kret. Czarne to, ślepe, i tylko ryje i ryje pod ziemią. Ale to stworzenie!

Przeczekał aż przejdzie. Poczem cmoknął na konie. Ruszyli. Znaleźli się przy kościele.

— Ładny to kościół — powtórzył Tomczyński. — Żal jedynie bierze że nie znają w nim, i w wielu, wielu jemu podobnych przybytkach pewnej pięknej chińskiej modlitwy: — „O Boże mój, kiedy buduję dom mój odejmij godzin moim nocom a przydaj je moim dniom!"

Minęli wieś. Niezadowolenie z twarzy Tomczyńskiego znikło. Znowu zaczęli mówić o nowopowstającej fabryce.

— Muszą bezwzględnie przystąpić do produkcji w tym roku. Ministerstwo Zdrowia i Komitet Centralny PPR też ich pogania i to w sposób ostry. Sytuacja bowiem nie jest najlepsza. Zapasów penicyliny starczy nam na kilka miesięcy. Z kupnem penicyliny też dzisiaj nie jest na świecie łatwo. Nie wszystkie państwa mają, a te, które mają nie sprzedają, drożą się z nią i wysuwają różne warunki. Ot, jeszcze jeden w stosunku do nas instrument politycznego nacisku. Dziękujemy za to! Żeby więc nie zostać bez tego leku na czysto, śpieszą się, zeskóry wychodzą wszyscy na budowie. Począwszy od zwyczajnych pomocników murarskich, przechodząc przez monterów, hydraulików czy ślusarzy, skończywszy na panach naukowcach, specjalistach od penicyliny. Zobaczy pan sam!

— Specjaliści od penicyliny? — zdziwił się Uriaszewicz. — A czy mamy takich?

— Kilku nawet. Profesorów i docentów z Warszawy i Krakowa, od lat studiujących zagadnienie, którzy dla szlifu spędzili nawet po kilka miesięcy w pewnej wytwórni penicyliny na stypendiach UNRRY, badając produkcję i urządzenia.

— W Stanach Zjednoczonych?

— Nie. Ostatecznie UNRRA skierowała ich do Kanady.

Uriaszewicz wykrzyknął:

— Ci musieli skorzystać!

Tomczyński był powściągliwy.

— Więcej by skorzystali, gdyby nie różne trudności i restrykcje. Z protokułami badań, z notatkami, z obserwacjami. Nie wolno im było zabierać do domu żadnych materiałów naukowych. Udostępniano im je z reguły bez fotografii. I to część znikomą. Na większości widniała pieczęć: ściśle tajne. A głównie gdyby nie różne wybiegi! Z zajmowaniem ich przez całe tygodnie wykładami o rzeczach do znalezienia w literaturze naukowej. Z absorbowaniem im czasu tylko fragmentami produkcji, na wszelki sposób nie dając im złapać całości procesu. Ot, taka ciuciubabka!

— Dziwne postępowanie!

— Przeciwnie! — rzekł Tomczyński. — Bardzo konsekwentne!

Po chwili Andrzej zainteresował się:

— A skąd wzięliśmy aparaturę?

— To co mamy, dostaliśmy też z UNRRY.

— Nie otrzymaliśmy kompletnego urządzenia fabryki?

— Oczywiście!

— Nie rozumiem.

— Oczywiście, że nie. — Dyrektor Tomczyński wzruszył ramionami. Dla niego sprawa była jasna. Widział jak na dłoni całą grę. — Oczywiście, że są braki. I to identyczne we wszystkich pięciu zestawach ofiarowanych przez UNRRĘ pięciu przyszłym wytwórniom penicyliny we Wschodniej Europie. To znaczy w Polsce, Czechosłowacji, Ukrainie, Białorusi i na Węgrzech. Tak, że ani jednej wytwórni uruchomić nie sposób! A mówiąc ściślej, tak aby ani jednej wytwórni uruchomić nie było sposobu. Bez dalszych darów!

— A kupić?

Rzuciwszy to pytanie, Andrzej Uriaszewicz przypomniał sobie rozmowę, której przypadkowo stał się świadkiem w gabinecie swego stryja. Dotyczyła produkcji penicyliny i zakazu eksportowania ze Stanów Zjednoczonych do państw, które przed chwilą wymienił dyrektor Tomczyński, reszty koniecznych do uruchomienia produkcji urządzeń i aparatur!

— Kupić! A właśnie! No, dalej, kary, dalej!

Tomczyński potrząsnął batem w powietrzu. Piach skończył się, a kary dalej wlókł się noga za nogą.

— A właśnie! — raz jeszcze prychnął Tomczyński. — UNRRA to instrument. Penicylina to instrument. Wiele ich, wiele. A wszystkich sens jednaki. Jednakie działanie i przeznaczenie. A mianowi-

Ilustrował MIECZYSŁAW PIOTROWSKI

ZE WICZE

cie dać posmakować i obiecać jeszcze za posłuszeństwo. Penicylina się bardzo nadaje do takich zagrywek. Pokazowy to specyfik Anglii. Sławny, głośny produkt Ameryki. Kto z nimi, dozna jego dobrodziejstw, pozna jego tajniki, kto przeciw, niech się obejdzie smakiem i zdycha.

Wyciągnął rękę i batem wskazał zabudowania fabryczne, ku którym się zbliżali.

— Ma pan naszą wytwórnię! Przed wojną wielki, nowoczesny browar, który Niemcy zniszczyli, odkładając wysadzenie w powietrze kotłowni na ostatni moment ze względu na browarnianą elektrownię, jedyną w miasteczku. Nie zdążyli! A taka kotłownia dzisiaj, to kapitał! No i wodę ma Mostnik właśnie taką jakiej potrzeba. Dobrą, bez żelaza, czystą.

Zatrzymał się przed samą bramą. Sięgnął do portfelu po kartkę z nazwiskami inżynierów organizujących kurs i wręczył ją Uriaszewiczowi. Na pożegnanie rzucił:

— A jak pan załatwi sprawę, znajdzie mnie pan albo w Komitecie Stronnictwa Ludowego albo w Inspektoracie Szkolnym. Jedno i drugie na Rynku. O kwadrans drogi stąd. Zabierzemy się do domu też razem.

W bramie fabrycznej przywitał Uriaszewicza wartownik z karabinem.

— Do kogo pan?

Wysłuchał nazwisk, poczem, przepuściwszy Andrzeja, otworzył drzwi do małego budynku zaraz za bramą. Uriaszewicz znalazł się w dyżurce. Tu powtórzył nazwiska, pierwsze, drugie, trzecie, i z przerażeniem dowiedział się, że ani jednego z inżynierów nie ma na fabryce. Jeden był w Mostniku i wracał dopiero przed samą trzecią, dwu innych wezwano na dziś do Warszawy.

— To pech!

Nie ruszał się z miejsca zaskoczony. Obracał na wszystkie strony kartkę, którą tak ufnie wziął z rąk Tomczyńskiego, a która na razie nic nie załatwiała. Ostatecznie zdecydował się zostawić list. W dyżurce był papier, lecz nie było koperty, nie było pióra, jedynie kopiowy ołówek.

— Służę panu moim piórem!

Uriaszewicz spojrzał. Doszło do jego świadomości, że chwilę temu ktoś stanął koło niego, ale zajęty jedną myślą, nie zwrócił na niego uwagi. Człowiek w średnim wieku, w koszuli z wykładanym kołnierzem, w okularach o grubych szkłach, który mu podawał wieczne pióro, musiał być z fabryki, ponieważ przez dyżurkę przechodził nie opowiadając się do kogo idzie. Zatrzymał się tylko na moment i usłyszał właśnie ostatnie parę zdań rozmowy.

— Bardzo jestem panu wdzięczny! — rzekł Andrzej.

Skreślił kilka słów, a oddając pióro wyciągnął rękę i powtórnie dziękując, przedstawił się:

— Uriaszewicz.

— Uriaszewicz! — zabłysły oczy tamtemu.

Zdjął okulary, poczem odrazu, nerwowo i niezgrabnie, załczył je z powrotem i wypowiedział swoje nazwisko, którego zresztą Andrzej nie dosłyszał, poprzedzając to nazwisko tytułem magistra.

— Bardzo się cieszę z poznania— uścisnął rękę Andrzeja raz jeszcze i raz jeszcze się ukłonił. — Pan oczywiście z Warszawy?

— Owszem — potwierdził Uriaszewicz. — Niestety nie zastałem żadnego z panów inżynierów...

— Ależ to niemożliwe! — Pan magister przerwał ożywiony, podniecony. — Jest przecież u siebie w gabinecie pan dyrektor naczelny i pan dyrektor administracyjny i pan inżynier naczelny. Właśnie wracam od nich.

Andrzej zmarszczył się i spojrzał podejrzliwie. Uprzejmość z jaką przywitał go magister odrazu wydała mu się przesadna. Ostatnie zdania, które wypowiedział natomiast wyraźnie zakrawały na żart. Przecież angażowaniem wykładowców dla kursu nie będzie się zajmował żaden z wymienionych dyrektorów: za drobna to sprawa. Dopiero po chwili zrozumiał!

— Czy chociaż dobre pan przywozi wiadomości! — Stawiając to pytanie rozmówca Andrzeja zniżył głos. — Ja tu jestem z boku od większości kłopotów, w laboratorium słyszę jednak wciąż o panu dyrektorze, o ekstraktorach i nie o ekstraktorach, bez których nie możemy ruszyć z produkcją, a które nam „Polchem"...

Andrzej wtedy zawołał:

— Pan mnie bierze za Konrada Uriaszewicza. To mój stryj.

Wyjaśniwszy pomyłkę, przy sposobności wytłumaczył po co sam przyszedł. Magister nie potrafił mu nic poradzić, bez inżynierów, przynajmniej jednego z nich, którym dyrekcja powierzyła zorganizowanie kursu, nawet szczegółowszych informacji nie było od kogo zasięgnąć.

— Trudno — rozłożył ręce Uriaszewicz. — Trzeba będzie jeszcze raz do panów zajrzeć jutro czy pojutrze.

Wyszli obaj z dyżurki. Na polu, w pełnym świetle dnia uderzyła magistra młodość Uriaszewicza nie do pogodzenia z wysokim stanowiskiem jakie mu przypisał. Ale bo też uległ i całkiem bezmyślnie poddał się sugestii nazwiska. Zaczął się z tego tłumaczyć.

— Pan ma nazwisko, którego się nie spotyka, a do tego, kiedy się je raptem usłyszy na terenie fabryki, człowiek je bezmyślnie i całkiem nie krytycznie z jej sprawami kojarzy.

— Stryj mój bywa tu niekiedy?

— A bezwątpienia. Tylko że ja się z nim nie zetknąłem.

Na tym tę sprawę zamknięto. Magister jednak nie odrazu pożegnał Uriaszewicza. Rozejrzawszy się dobrze, wskazał mu ręką jeden z budynków.

— W tym pawilonie zapewne będą się odbywać wykłady — wysunął przypuszczenie. — Przynajmniej tam jest świetlica.

— A kurs długo potrwa?

— Trzy miesiące.

— A po trzech miesiącach?

— Kto skończy i okaże zdolności, z miejsca otrzyma posadę.

— Z miejsca?

— A z miejsca, z miejsca! Za trzy miesiące ruszamy.

Andrzej spojrzał uważnie w prawo, w lewo, przed siebie. Budynki wszystkie stały gotowe. Teren między nimi tylko był zryty i nieuporządkowany. I tuż za dyżurką piętrzyły się stosy żelastwa. Porzewiałych rur, szyn, krat, olbrzymich kuf blaszanych z wgniecionymi bokami i pomniejszych naczyń w nielepszym stanie.

— To złom. Z browaru. Wywiezie się to.

W najokazalszym z budynków wielkie środkowe wrota uchyliły się na chwilę. Z wnętrza w kilku punktach zaiskrzyły się mocno liliowo-błękitne pryskające ogniem światła. Jeszcze coś spawano.

— Jak się złom wywiezie, teren oczyści, wyrówna, drzewa posadzi i założy zieleńce — ciągnął magister — będziemy mieli obiekt od wewnątrz i od zewnątrz jak cacko!

— Za trzy miesiące! — zamyślił się na głos Uriaszewicz. Wychował się na terenie fabryki chemicznej. O tyle o ile więc zdawał sobie sprawę jakie to wielkie zadanie przekształcić spalony i rozbity browar, choćby kiedyś najnowocześniejszy, na wytwórnię takiego specyfiku jak penicylina, wytwórnię pracującą wyjątkowo zawiłą i precyzyjną aparaturą. Widok fabryki, bliska data produkcji, walka i szantaż o których wspomniał mu Tomczyński, wszystko to razem sprawiło, że tak patrząc przed siebie oczy otwierał szeroko i trudno mu było z terenu fabryki ruszyć się, chociaż nic tu już nie miał do roboty.

— A za trzy, za trzy, najdalej! Jeśli chodzi o nas, my w laboratorium, na przykład, mamy od kwietnia wszystkie prace przygotowawcze za sobą. Produkcję na małą skalę przerobiliśmy, surowce sprawdziliśmy, szczep własny jest dobry, bogaty, niegorszy od najlepszego Q 176, któregośmy nota bene z Ameryki żadną miarą otrzymać nie zdołali. Chce pan może nasze laboratorium zobaczyć?

Powędrowali w stronę niewielkiego, jednopiętrowego domku. Przechodząc koło głównego gmachu magister oznajmił z nutą niezadowolenia:

— Tylko jeszcze tutaj z skompletowaniem samej aparatury mamy różną biedę. Czekamy między innymi na te — o których panu wspomniałem, biorąc pana za pańskiego stryja — podbielniaki.

— Podbielniaki?

— Bo ekstraktory Podbielniaka! Znakomite! Amerykańskie!

— A Podbielniak?

— Inżynier, Czech, mieszkający w Ameryce, który skonstruował i opatentował najlepsze w świecie ekstraktory. Myśmy się właśnie na nie przygotowali, po porozumieniu z panem dyrektorem Uriaszewiczem, dostosowując do nich całe rozmieszczenie tego działu, rurociągi, w ogóle montaż, wszystkie instalacje pomocnicze, i tak dalej i tak dalej.

Usłyszawszy o co chodzi porucznik, zesztywniał.

— Mowy niema — rzekł. — Naszej fabryki się nie zwiedza. To nie jest Wawel!

— Ale pan Uriaszewicz to nie jest ktoś obcy. Poza tym na razie nic się u nas jeszcze nie dzieje. Do produkcji nie przystąpiliśmy.

Porucznik westchnął. Uważał za całkiem zbyteczne wszelkie podobne rozmowy.

— Nie dyskutujcie ze mną. — powiedział. — Mam w tej mierze wyraźne instrukcje.

— Przyznajcie jednak, że to przesada! Ja po fabrykach chemicznych obijam się od lat i mogę wam zaręczyć, że nasza produkcja nic nikogo nie obchodzi. Nie widzę tu pola do wrogiej działalności. Co się tu może zdarzyć? Doprawdy Ministerstwo Bezpieczeństwa nabija sobie niekiedy głowę Bóg wie czem!

Kuszel podniósł na magistra uważne, jasne oczy, teraz o wyrazie zdecydowanie przekornym.

— Ministerstwo Bezpieczeństwa kieruje się we wszystkim pewną starą, złotą dewizą — uśmiechnął się. — Dewizą, której mądrość właśnie pan magister napewno uzna i uszanuje!

— Jakaż jest ta złota dewiza Ministerstwa Bezpieczeństwa?

— „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!" — odparł szczerząc białe zęby Kuszel.

Stali jeszcze przez moment we trzech, bo magister nie chciał się w żaden sposób poddać.

— Zwróćcie się do dyrektora naczelnego — wskazał mu wyjście porucznik. — Jestem mu podporządkowany. Na jego zlecenie wystawię wam każdą przepustkę. Porozumcie się z nim.

— Głupio mi — przyznał magister.

— Jak uważacie.

Pożegnał się. Po chwili magister z Uriaszewiczem też się rozstali. Uriaszewicz ruszył przed siebie. Tomczyńskiego odnalazł łatwo. Musiał się jednak na niego potem wyczekać na wózku. W drodze powrotnej znowu mowa była o penicylinie i o produkcji i o Ameryce. Przed samą Jeżową Wolą rozważania te, i wszystko co mówił poprzednio, dyrektor Tomczyński zamknął w zdaniu krótkim i treściwym:

— Naród jak i człowiek, który się skurwi; może liczyć na pewne awantaże, zanim koniec końcem pójdzie na gnój.

* * *

Wieczorami, po dzwonku, światło gasło nie we wszystkich pokojach Jeżowej Woli. Ucichał internat, czarny kolor brał w posiadania okna w sypialniach i pomieszczeniach gospodarczych, ale w salach szkolnych, nierzadko w sali jadalnej, a najczęściej w świetlicy, długo panowała jasność. Dyrektor Tomczyński, który lubił park i tutaj przed pójściem na spoczynek przeprowadzał rozmowy z kolegami z grona nauczycielskiego czy pracy partyjnej na tematy wymagające poufności i spokoju, coraz to popatrywał w świecące okna, zapalał zapałkę, próbował dojrzeć godzinę, marszczył się, odwlekał jednak swoją interwencję, odwlekał i odwlekał, ale do czasu.

— Panie Andrzeju, bądźcie tak uprzejmi, zapędźcie spać jadalnię. — Zwrócił się pewnego wieczoru do Uriaszewicza, z którym przegadywał jego sprawy. — Przecież to dochodzi dwunasta!

Andrzej Uriaszewicz ruszył w stronę domu. Tomczyński jeszcze go zatrzymał:

— A kto tam tak zarywa nocy? — spytał.

Andrzej rzekł:

— Bronek Kulicki.

I wyjaśnił:

— Opowiedział się panu Pachurze, że dłużej ze swoją grupą posiedzi.

— Będzie już na dzisiaj ich nauki! — odparł na to chmurno Tomczyński — Niech idą do łóżek.

Uriaszewicz okrążył dom. Księżyc nie oświecał wejściowej strony. Tonęła ona w głębokim mroku. Uriaszewicz jednak przechodząc ze światła w cień, nie zwolnił kroku. Ominął pewną stopą rabaty pod samą ścianą, nie potknął się na stopniach tarasu, odrazu trafił do klamki. Obyty już był w Jeżowej Woli ze wszystkim. Zaledwie minął miesiąc od jego przyjazdu, a lekcje szły mu dobrze. Wykłady w przyszłej wytwórni penicyliny pod Mostnikami również prowadził bez zająknienia. Na ostatniej konferencji nauczycielskiej zabrał głos i Tomczyński przyznał mu rację. Dla Uriaszewicza miało to swoją wagę, pomimo że sama poruszona rzecz nie była ważna. Tomczyński zresztą wobec niego nic się nie zmienił. Pozostawał opiekuńczy i uczynny, lecz powściągliwy i nieco ironiczny. Jednym ufał, innym nie. Uriaszewicz jednak wyczuwał, że cokolwiekbądź sobie o nim dyrektor zawyrokował, nie musiał to być wyrok po wsze czasy. Do Warszawy rzadko powracał myślą. Nie było kiedy. Wpadł w szkolny kołowrót. Zajęć mu nie brakło, a poza tym doszła w nim do głosu ambicja. Chciał wszystko robić jaknajlepiej. Potrzebował zresztą czegoś takiego jak ta szkoła. Dosyć miał wszelkiej niepewności, bezużyteczności, włóczęgi. Tu był potrzebny. Z Warszawy parę dni temu otrzymał list od Klimontówny. Zapowiadała swoją bytność w Jeżowej Woli jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego. Otrzymał również kartkę od Haliny Stępczyńskiej. Parę nagryzmolonych słów, z których wynikało, że ucieszyła ją wiadomość o jego zamierzonych dojazdach. Podniósł kartkę do ust: nie trudno o niemądry odruch, kiedy człowieka spotka nagła i niespodziewana radość. Pomimo to Uriaszewicz odkładał swój wypad do Warszawy. Kartka sprawiła mu dużą przyjemność. Nie było dnia żeby za Stępczyńską sobie nie westchnął. Niemniej przeto wciąż jeszcze nie zwracał się do Tomczyńskiego o jedno czy dwudniowy urlop do Warszawy, chociaż już by mógł. Bo ilekroć o Warszawie pomyślał, przypomniał sobie zaraz jak się po jej ulicach obijał, skołowany, wymęczony, wymarnowany. Nie chciał taki stanąć na bruku warszawskim nawet na jeden dzień, przed Stępczyńską i

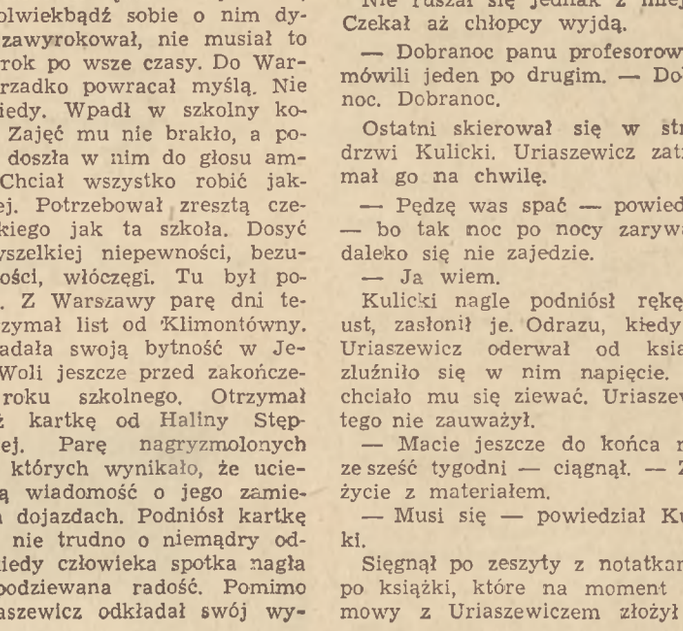

w ogóle. Tylko inny. Zdrów na duchu i ciele. Normalny człowiek.

Z ciemnego holu skierował się na prawo, pchnął drzwi do jadalni.

— Ej, wy, kompania — zawołał — dosyć tego markowania! Spać!

— Pan Pachura pozwolił.

— A wiecie wy która godzina?

Ani Kulicki, ani żaden z jego kolegów nie miał zegarka. Z własnej woli przerabiali jeszcze raz od początku cały kurs weterynarii i całą hodowlę, żeby z tych przedmiotów mieć na świadectwach końcowych koniecznie stopnie celujące. O tym zamiarze Uriaszewicz słyszał od Żerbiłły. Gromadzili się po kilka razy na tydzień, powtarzając materiał, przepytując się, ucząc. Czas im przechodził niepostrzeżenie, tacy byli zapamiętali, a i zdrowie mieli! Skąd mogli wiedzieć, która godzina.

Uriaszewicz oznajmił:

— Dwunasta!

Wysoki, piegowaty blondynek, siedzący koło Kulickiego, jęknął:

— Ojoj!

— Nie ma co jojczyć, kiedy mówię spać!

Kulicki wziął się za głowę:

— A my ani połowy nie mamy za sobą!

— Połowy? — nie zrozumiał Uriaszewicz.

— Połowy stron wyznaczonych na dziś!

— Za dużo sobie wyznaczacie.

Kulicki się sprzeciwił. Chudy, niewysoki, z czarnymi oczami. Z wypiekami na twarzy jakby od wiatru.

— Za dużo, nie za dużo, tylko za późno się dzisiaj zaczęło!

— Trzeba na drugi raz zaczynać wcześniej.

— Zaczniemy!

Uriaszewicz, choć od tak niedawna nauczyciel w Jeżowej Woli, znał tę śpiewkę.

— Obiecanka, cacanka — mruknął. — Co dzień się to od was słyszy!

— A bo codzień coś wypada!

— A dziś co takiego wypadło?

— Nam nic — odparł jeden z chłopców. — Tylko Kulickiemu.

— A Kulickiemu co znowu?

Piegowaty blondynek, druh najbliższy, a poza tym krewniak Bronka Kulickiego zawstydził Uriaszewicza przypominając mu, i to tak cicho, szeptem, jakby mu podpowiadał:

— Przemówienie.

— Prawda!

Przecież na pojutrze w ramach uroczystej akademii Kulicki miał przygotować przemówienie!

— Jutro już bym napewno przez cały dzień nie znalazł czasu — rzekł Kulicki. — Co miałem napisać, wolałem napisać dziś.

— Dobra! — zgodził się z nim Uriaszewicz. — A teraz: dobranoc panom!

Nie ruszał się jednak z miejsca. Czekał aż chłopcy wyjdą.

— Dobranoc panu profesorowi — mówili jeden po drugim. — Dobranoc. Dobranoc.

Ostatni skierował się w stronę drzwi Kulicki. Uriaszewicz zatrzymał go na chwilę.

— Pędzę was spać — powiedział — bo tak noc po nocy zarywając daleko się nie zajedzie.

— Ja wiem.

Kulicki nagle podniósł rękę do ust, zasłonił je. Odrazu, kiedy go Uriaszewicz oderwał od książki, zluźniło się w nim napięcie. Zachciało mu się ziewać. Uriaszewicz tego nie zauważył.

— Macie jeszcze do końca roku ze sześć tygodni — ciągnął. — Zdążycie z materiałem.

— Musi się — powiedział Kulicki.

Sięgnął po zeszyty z notatkami i po książki, które na moment rozmowy z Uriaszewiczem złożył na stole. Jedna z nich była szczególnie gruba.

— Z tego przerabiacie? — spytał Uriaszewicz, wskazując na nią.— A nie za obszerne to?

— Nie z tego. To jest zresztą po niemiecku, od pana Żerbiłły. Ale tu są piękne zdjęcia!

Wyjął tom spod pachy. Pochylił się nad nim razem z Uriaszewiczem, przed którego oczami zaczęły się przesuwać piękne okazy byków z potężnymi karkami, krów dojnych, zarodowych. Kulicki przewracał kartki, z niemym zachwytem wpatrując się w fotosy, mało co mówił.

— Dobra! — powtórzył w pewnym momencie Uriaszewicz. — Ale jak spać, to spać.

Wyprostował się. Kulicki wziął swój tom. Przed opuszczeniem jadalni dał jednak w paru słowach ujście sprawie, która go nurtowała.

— We dworze tutaj, przed wojną, było piękne bydło. Sztuka w sztukę dwadzieścia litrów na dobę, dwadzieścia pięć — oznajmił. — Na wsi mogły być teraz takie same, i lepsze, i jeszcze ich więcej, a nie są takie. Byle ogon się trzyma. Krowinę, co trzy, cztery litry mleka da i dobrze jest. Nawet marną chętniej niż rasowę, bo rasowych krów wioska się boi, że delikatne. Tak nie może być!

Uriaszewicz, zostawszy sam, zgasił elektryczność. Ale nie od razu wrócił do Tomczyńskiego, bo przechodząc przez hol spostrzegł anemiczną stróżkę światła idącą od drzwi całkowicie pozbawionej okien, dawnej pałacowej, a obecnie szkolnej kaplicy. Uriaszewicz uznał, że po dwunastej na modły też nie momenet.

— A cóż panie tu robicie! — osłupiał.

Przygotowywały czerwone chorągiewki. Jedne cięły czerwony papier, kleiły go, żeby czerwień chorągiewek widna była z obu stron. Inne przygotowywały patyczki. I to wszystko pod przewodem panny Teresy Jabłońskiej .

— Nie zdążymy inaczej.

— Ależ panno Tereso — Uriaszewicz zmarszczył brwi — pan Tomczyński na pewno byłby bardzo niezadowolony!

— No, a jak inaczej?

W rogu pokoju jedna z dziewcząt zdobiła czerwoną bibułką wielki sztywny arkusz papieru. Uriaszewicz podszedł bliżej. Odchyliła się. To co wziął za arkusz papieru było portretem młodej dziewczyny, założycielki Związku Walki Młodych, rozstrzelanej przez Niemców dziewiętnastego marca 1943 roku. Właśnie pojutrze piąta rocznica jej śmierci. Dla uczczenia tej daty, szkolna organizacja zamierzała wystąpić z akademią. O tym Uriaszewicz wiedział.

— Szkoda tylko, że panie nie pomyślały o przygotowaniach wcześniej.

— Myśmy pomyślały — odparła na to dziewczyna, która oklejała portret.

— Ale do roboty żeście się nie zabrały. Wszystko odkładając na ostatnią chwilę!

Teresa Jabłońska wytłumaczyła mu dopiero jak sprawa stoi.

— W Jeżowej Woli nie w każdym domu pozwalają kleić czerwone chorągiewki. Dziewczęta z internatu dawno już wykonały robotę, która na nie przypadła. Teraz odrabiają tylko to, czego nie mogły wykonać dziewczęta ze wsi.

— Dlaczego akurat w kaplicy?

— Tu zaciszniej! — zapiszczała jedna z dziewcząt.

— Tylko niech pan profesor nie mówi panu dyrektorowi, że my tu jesteśmy, bo pan dyrektor nie lubi jak się tak pokutuje po nocy! — poprosiła druga.

— A nie zobaczy was sam z ogrodu, że świecicie?

— Kaplica nie ma okien!

— Uriaszewicz roześmiał się:

— Ach, o to chodzi!

Odszukał Tomczyńskiego, z którym nie skończył rozmowy. Znalazł go na ławeczce, wśród lip, ulubionym zakątku dyrektora, w czworoboku, złożonym z olbrzymich pni, gdzie był i stół. A wszystko to na lekkim wzniesieniu gruntu, z którego widok rozciągał się na resztę ogrodu. Nawet teraz w srebrzystej, nocnej poświacie księżyca.

— No?

— Przegnałem bractwo spać — zakomunikował Uriaszewicz. — Kulickiego z jego gromadką.

— Przy hodowli ich pan zastał czy przy weterynarii?

— Przy jednym i przy drugim.

— Po skończeniu Jeżowej Woli chcą się dostać do jakiegoś liceum hodowlanego — powiedział Tomczyński. — Na to im potrzebne jaknajlepsze stopnie. Myślą również o uniwersytecie!

— Ambitni.

— Z czegóż pan to wnosi?

— Z tych dążeń!

— Ja tego nie nazywam ambicją! Dopiero kiedy człowiek ma cel przed sobą, dla którego niezbędne mu są świadectwa, stopnie, dyplomy, mogę go nazwać ambitnym. Oni zresztą mają taki cel przed sobą. Czuję to.

— Jaki?

Tomczyński położył obie ręce na stole. Całe w smugach i centkach czarnych i srebrnych, wywołanych grą cieni księżycowego blasku.

— Wieś — zamyślił się głośno nad odpowiedzią. — Najogólniej ten cel chcąc określić, trzeba by chyba rzec: wieś.

Było to rzeczywiście ujęcie ogólnikowe, lecz dyrektor Tomczyński poprzestał na nim, nie dał definicji dokładniejszej. Natomiast zaczął mówić o samej wsi. O tem jak trudno w nią wsiąka to, z czym na wieś wracają absolwenci szkół takich jak Jeżowa Wola czy nawet na szczeblu wyższym.

— A przecież my im dajemy dobrą i użyteczną wiedzę — mówił. Ilekroć jednak którykolwiek bądź

naszych absolwentów próbuje przenosić ją na wieś, natrafia na opory. Bo nowoczesna wiedza rolnicza przede wszystkim uczy jak z lasów, z wody, z łąk ciągnąć więcej, jak do inwentarza podchodzić umiejętniej, jak z niego wyciągać lepszą korzyść. Ale stosując konieczne nakłady! Ale uciekając się do mądrego ryzyka! Statystycznie się to znakomicie opłaca, przy zastosowaniu masowym, natomiast może zawieść w jakimś określonym wypadku, na tej czy innej indywidualnej gospodarce. Nasz chłop zaś wszelkiego zawodu boi się jak ognia. Przez tyle wieków za byle potknięcie w gospodarstwie płacił głodem, że nie ma dlań gorszego straszaka, niż choćby najmniejsze ryzyko. A także wszelkie inwestycje czy wkłady na dłuższą metę. Za często bywał bity próbując nabrać tchu. Nauczył się poprzestawać na małym, aby to tylko było pewne.

Na chwilę się zatrzymał. Wpatrzył się w czarną bryłę szkoły z wszystkimi oknami teraz wygaszonymi.

— Jest na wsi warstwa, która docenia wartość inwestycji czy melioracji — rozwijał dalej swoją myśl. — Mój ojciec miał bardzo mało roli. Z tego spory kawałek jałowy, lichy. Żeby go doprowadzić do jakiej takiej urodzajności, nosił ziemię w koszyku czy we worku i rozsypywał ją na tym swoim marnym kawałku, z którego ją znów deszcze zmywały. Im niżej na wsi schodzimy w dół po drabinie społecznej, z tym większą spotykamy się pomysłowością, z tym większą pracowitością, z tym większą energią. Im trudniej komu na wsi, tym aktywniejszy staje się jego stosunnek do ziemi i do pracy. Tylko że to jest dynamizm nieskoordynowany, pomysłowość spętana, aktywizm otamowany.

Cisza w okół panowała zupełna. Nie było słychać ani ptaków nocnych, ani szumu liści, ani dalekiego szczekania psów, jak zwykle o tej porze w Jeżowej Woli.

— Trzeba im raz nareszcie odgórnie i to w szerokiej skali podać rękę — ciągnął Tomczyński. — Sprząc aktywizm wiejskich dołów z takiego rodzaju warsztatem, gdzieby ich pomysłowość, pracowitość i dynamika mogły się wykazać. Z warsztatem, gdzieby ich instynkt do udoskonaleń i chęć do zwiększenia plonów rozporządzały lepszym narzędziem niż koszyk czy worek na ziemię. I gdzieby takiemu instynktowi i takim chęciom przychodzili z pomocą absolwenci z różnych szkół rolniczych, naukowo przygotowani ludzie, nie budząc obaw, że kto ich na swoim skrawku ziemi posłucha, temu na przednówku da się we znaki głód. Inaczej mały pożytek wieś odniesie nawet z takich Kulickich!

Andrzej Uriaszewicz spojrzał w stronę szkoły. Dawny dwór jarzył się oślepiającą bielą w świetle księżyca. Uriaszewicz zapytał.

— Jednak na wsi jest teraz lepiej niż było.

Tomczyński odparł:

— Jest. Ale teraz nie o to chodzi, żeby było lepiej, tylko żeby było dobrze.

Odsunął mankiet, popatrzył na godzinę. Nie potrzebował uciekać się do zapałek. Światło księżyca wystarczało.

— O jak późno — syknął. — Innych każę panu wyganiać do łóżek, a panu samemu nie daję spać.

Andrzej odpowiedział ciepłym głosem:

— Mogę panu być jedynie wdzięczny za każdą rozmowę. Tyle od pana korzystam.

Dyrektor położył mu rękę na ramieniu.

— W takim razie jeszcze na chwilę powróćmy do pańskich lekcji, mój chłopcze, i na tym zamknijmy nasze posiedzenie.

Zajął się tematem, który omawiał z Andrzejem, nim go wydelegował z interwencją do sali jadalnej. Od paru dni, zdecydowawszy, że już na to przyszła pora, zaglądał do klas podczas godzin Uriaszewicza. Teraz dzielił się z nim swymi spostrzeżeniami.

— A zatem, jak już panu powiedziałem — mówił — może pan być zadowolony ze swoich pierwszych kroków. Tok lekcji jest dobry, wartki i widać że wytyczony, a to jest szczególnie trudne i ważne. Żeby się samemu nie rozpraszać i nie dopuszczać do tego, by uwaga uczni się rozpraszała. Mam oczywiście panu do wytknięcia pewne rzeczy, raczej jednak drobiazgi.

— Słucham?

— A więc nie powinien pan dawać uczniom do rąk konkretów, to znaczy eksponatów, w momencie przepisywania z tablicy wzorów. To właśnie rozprasza. Również nie jest dobrze najpierw wywoływać ucznia, a potem stawiać pytania. Trzeba odwrotnie. Wtedy wszyscy się przygotowują. Wszyscy skupiają uwagę. Nie należy także za blisko podchodzić do ucznia, kiedy odpowiada, to go onieśmiela.

Od tych wskazówek szczegółowych po pewnym czasie dyrektor Tomczyński przeszedł do ogólniejszych. Mówił sam i Uriaszewicza zmuszał do mówienia. Minęło pół godzinki. Rozmowa zbliżała się do zakończenia. W pewnym momencie dyrektor nagle przerwał w pół zdania. Pochylił się gwałtownie ku przodowi.

— Słyszy pan? — wsłuchał się. — Co to!

— Ja nic nie słyszę.

— O!

Teraz i do uszu Andrzeja coś doszło.

— Strzały?

— No tak!

Krótkie, nagłe to było, ni to huk, ni to trzask. Głuche, dalekie.

— O! Znowu!

Dyrektor ruszył w stronę bramy. W ślad za nim Uriaszewicz. Nie zbliżyło ich to wiele do miejsca gdzie strzelano, ale trudno było usiedzieć na ławce. Instynktownie pchało ich coś na drogę tak jak w podobnych sytuacjach pcha na drogę wszystkich ludzi na wsi. Jakiś wóz ukazał się ich oczom po dobrej chwili. Wynurzył się ciężko z alei, bo droga szła tu pod górę i w gęstym piachu. Kiedy wytoczył się na rozległy plac przed bramą, z którego prowadziły drogi i do szkoły i na kolej i do wsi, Tomczyński i Uriaszewicz ujrzeli na wozie znajomego gospodarza i jego żonę. Żona spała i do gospodarza również coraz to przystępował sen. Gospodarz jednak bronił się, dźwigał z piersi zwieszoną głowę, poganiał konie. W takim momencie dostrzegł panów nauczycieli.

— Niech będzie pochwalony.

— Niech będzie.

— A co to tak po nocy?

— A z odpustu.

Strzymał konie.

— Przyzostaliśmy się po odpuście u córki.

Gospodyni na wozie otworzyła oczy. Powitała grzecznie dyrektora Tomczyńskiego i Uriaszewicza, z którego postacią wieś już się miała czas oswoić.

— O! — Tomczyński ponownie nastawił uszu. — Słyszycie!

— Karabin!

— Ale teraz — Andrzej rozeznał się — to już chyba maszynowy! Chyba sten!

— Z pewnością — przyznał rację Uriaszewiczowi Tomczyński. — Maszynowy.

Jeszcze raz zaterkotało. Daleko. Nerwowo. Jeszcze jedna seria. I jeszcze jedna.

— Skąd to tak? — zwrócił się do chłopa Tomczyński.

— Jakby w tej nowej fabryce — zaopiniował Uriaszewicz.

— E, to skądeś dalej — wyraził swoje zdanie gospodarz.

Ale już umilkło. Napróżno stali nasłuchując. Strzały się nie powtórzyły.

— No, to przepraszam — chłop podniósł rękę do czapki. — Wio! Maluśkie, wio!

Uriaszewicz z Tomczyńskim też zawrócili w stronę domu. Zaledwie jednak uszli parę kroków, kiedy usłyszeli za sobą głos gospodarza. Gospodarz zeskoczył z wozu i biegł za nimi.

— Ja tu mam list do pana profesora.

Dyrektor Tomczyński wyciągnął rękę.

— Nie, to zdaje się będzie do tego pana.

— Do mnie — zdziwił się Uriaszewicz.

— A tak. A już bym go zabrał ze sobą, zamiast skorzystać i oddać.

W świetle tej nocy dało się i adres odczytać.

— Rzeczywiście do mnie! — przyznał Uriaszewicz. — Od kogóż to. Rozdarł kopertę, lecz pismo było za drobne.

— Od kogóż to — powtórzył.

— Ano — chłop zawahał się, lecz wypowiedział — od księdza proboszcza Sposa.

— Dziękuję wam.

— Jutro by syn do szkoły przyniósł — dorzucił chłop. — Ale pomyślałem, że może to coś pilnego.

— Dziękuję.

— A to w Strumieniu był odpust? — spytał Tomczyński.

— W Strumieniu.

Gospodarz odczekał chwilę, dopiero pożegnał się.

— No, to dobrej nocy.

— Dobrej nocy.

Odjechał. Tomczyński z Uriaszewiczem w milczeniu skierowali się w stronę domu. Do samego progu dyrektor nie odezwał się ani słowem. W holu powiedział.

— Nie sądziłem, że pan pozostaje w styczności z księdzem Sposem!

Uriaszewicz odrzekł.

— Zapomniałem o nim.

Było mu niezręcznie, nieprzyjemnie, wyrzucał sobie również, że przy Tomczyńskim naciskał chłopa od kogo mu przywiózł list. Ale w tym momencie kiedy pytał, i w ogóle ostatnio, wszelka myśl o księdzu Sposie, o „Uczcie" czy o Kienzlu była od niego o sto mil.

Zupełnie o nim zapomniałem! — powtórzył Uriaszewicz.

Tomczyński obrzucił Andrzeja przeciągłym spojrzeniem i mruknął:

— Szkoda, że nie nawzajem.

Na piętrze rozstali się. Dyrektor jak co wieczór, podał Uriaszewiczowi rękę. Uriaszewicz ją uścisnął. U siebie w pokoju odczytał:

— „Proszę przyjść do mnie. Można nawet jutro, byle nie zawcześnie bo będę po odpuście. Ksiądz Spos".

Tadeusz Breza

LUDWIK GRZENIEWSKI

W piekle równikowej republiki

W pewnym miejscu wydanej ostatnio w tłumaczeniu polskim książki ekwadorskiego pisarza, Jorge'a Icaza *), autor wkłada w usta jednego z bohaterów, indiańskiego chłopa, Andrzeja Chiliquinga, takie oto wyznanie: „Odżyły w jego uszach święte słowa: „Dzicy Indianie, którzy nie chcą kroczyć drogą wskazaną przez Boga, którzy nie chcą się cywilizować, pójdą do piekła". W owej chwili piekło wydało mu się jednym zbiornikiem Indian. Nie było tam białych, nie było proboszczów ani ekonomów, ani komisarzy rządowych. Wizja ta przywróciła mu spokój". Z tego krótkiego urywka, z tego jednego tylko obrazu — wyczytać można cały tragizm losu rdzennych mieszkańców Ekwadoru. Prosty Indianin, wychowany w atmosferze klerykalnego zabobonu, nieustannie ogłupiany przez miejscowego proboszcza, wbrew całej tej nadzwyczajnej silnej presji społecznej dochodzi do wniosku, iż pobyt w piekle nie jest rzeczą najgorszą, gdyż nie ma tam „białych panów".

Książka Icaza poświęcona jest zdemaskowaniu istoty i przyczyn gorszego „ziemskiego piekła" w jakim żyją mieszkańcy Ekwadoru. Jorge Icaza, jeden z najwybitniejszych dziś, obok Jorge'a Amado, pisarzy południowo - amerykańskich — związany jest z radykalną, postępową grupą pisarzy ekwadorskich — „Guayaquil" (od nazwy portu nad Pacyfikiem). Grupa ta zerwała z sentymentalizmem i poetyckim idyllizmem dawnej literatury południo - amerykańskiej związanej z pozostałościami feudalizmu, wkraczając na drogę brutalnego realizmu krytycznego graniczącego niekiedy z naturalizmem. Utwory pisarzy tej grupy reprezentują kierunek na poły reportażowego autentyzmu, charakterystycznego dla literatury postępowej we wcześniejszym okresie jej rozwoju, gdy rola pisarstwa ogranicza się głównie do ukazania w jaskrawej postaci tragicznego położenia mas pracujących. My mamy etap ten już za sobą, w kraju jednak takim jak Ekwador, kraju półfeudalnym z pewnymi pozostałościami niewolnictwa, mimo oficjalnej powłoki „demokracji parlamentarnej" — literatura taka spełnia postępowe, demaskatorskie zadanie społeczne.

Warto również zwrócić uwagę na inny jeszcze aspekt użyteczności owej literatury. Tworzona przez ludzi związanych często swym pochodzeniem z masami pracującymi, znającymi ich dolę z własnych doświadczeń, daje ona nowe, realistyczne spojrzenie na tzw. „ludność kolorową" Ameryki Południowej. Dotychczasowej, tradycyjnej „literaturze indiańskiej" zdawało się bowiem przyświecać zdanie Chateaubrianda: „Miłe, piękne jest to, co nie jest pospolite, nawet gdy samo w sobie jest nieszczęściem" (René). Ten schemat tragicznego i „pięknego" losu — w literaturze dający się prześledzić od „Pięcioksiągu przygód Sokolego Oka" J. P. Coopera aż po młodzieżową powieść o powstaniu potomków dawnych Inkasów pt. „Manko, wódz peruwiański" — w istocie rzeczy przecież był całkowicie nieszkodliwy dla polityki kolonizatorów. Nie należy również zapominać o istnieniu książek jawnie podżegających do wytępienia Indian, których autorzy stawiali znak równości między dzikim, krwiożerczym zwierzęciem a Indianinem. Dla przykłau wspomnę tutaj o tłumaczonej przed pięćdziesięciu laty na język polski powieści, zatytułowanej licho wie dlaczego, „Robinson meksykański". Mieliśmy co prawda szlachetne wystąpienia dawnych urzędników, którzy przejrzawszy całą ohydę kolonializmu zdobyli się na odwagę publicznego protestu. I tak Multatuli („Max Havelaar") ujął się za losem mieszkańców Javy, a René Moran („Batuala") za Murzynami z francuskich kolonii równikowych. Ale te protesty szlachetnych i kierowanych najlepszymi intencjami ludzi, którzy przypadkowo bądź co bądź brali pióro do ręki — rzecz jasna nie wpłynęły na zmianę postępowania rządów będących wyrazicielami interesów kapitału, przystępującego w owym okresie do zakrojonych na szeroką skalę inwestycji w krajach kolonialnych i pół-kolonialnych; ani też do zmiany tradycyjnego schematu „kolorowego człowieka" w literaturze. I niech nikt nie mówi, że dotyczy to tylko literatury dziecięcej i młodzieżowej. Jeżeli nawet pominiemy tak jawnego chwalcę imperializmu i głosiciela niższości rasowej nie-Europejczyków, jakim był Kipling — czyż u takiego nawet koryfeusza jak Conrad nie widać wyraźnej pogardy dla kłębowiska kulisów chińskich zamkniętych pod pokładem „Nan-Shana" w „Tajfunie", a postacie Babalacziego i Aissy w „Wykolejońcu" czyż nie są wyraźnie fałszywe i uproszczone psychologicznie?

Zasługą współczesnej postępowej literatury (czy to południowo-amerykańskiej, czy też hinduskiej lub meksykańskiej) pozostanie, iż zerwała z ową postawą gościa i obserwatora polującego na egzotyzm, a spróbowała dać obraz widziany od wewnątrz klas uciskanych, obraz społecznych, klasowych przyczyn niedoli czy wręcz niewoli tych ludzi.

Książka Jorge'a Icaza jest nadzwyczaj symptomatycznym przykładem tego zarysowanego przez nas przełomu.

Don Alfonso Pereira, reprezentant feudalnego jeszcze obszarnictwa znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej: wierzyciele i należności skarbowe nie dają mu spokoju grożąc ruiną. Lecz oto do obszarnika uśmiecha się los. Jego główny wierzyciel i stryj jednocześnie, Julio Pereira, przedstawiciel kapitału ekwadorskiego, postanawia wprząc majątek bratanka w orbitę gospodarki kapitalistycznej. Wraz z mr. Chapem Amerykaninem i szefem eksploatacji leśnych w Ekwadorze, chce on zażyć w majątku don Alfonso tartaku, mający wyrabiać podkłady dla kolei żelaznych w całym państwie. W dalszych planach uwzględniono również możliwość znalezienia ropy naftowej na tych terenach. Don Alfonso miał uzyskać nie tylko anulowanie długu, ale po uływie najwyżej dwóch lat stać się jednym z nagłówniejszych udziałowców przedsiębiorstwa. Amerykański wspólnik zażądał jednak kategorycznie przeprowadzenia niezbędnych ulepszeń, których wymagało całe to przedsięwzięcie. Jak pisał bowiem przytoczony przez Icaza w powieści pewien publicysta stołeczny: „Gdybyśmy twierdzili, że kolonizatorzy — przez sam fakt, iż są cudzoziemcami — mogą przybyć i dotrzeć niezwłocznie do wnętrza lasów, ażeby tworzyć cuda, trwalibyśmy w grubym błędzie. Ekspansji kapitału zagranicznego należy poczynić wszelkie ułatwienia, jakich zażąda, w jego koloniach gospodarczych. Tego wymaga umieszczenie wartości dodatkowej w kapitalistycznej kumulacji narodów - protektorów". Warunki postawione przez stryja bratankowi nie wyglądały na pierwszy rzut oka groźnie: przeprowadzenie autostrady do majątku zagubionego dotąd wśród bagien, zakupienie okolicznych lasów oraz oczyszczenie obu brzegów rzeki z huasipungos (czyli Indian dzierżawiących ziemię od obszarnika w zamian za pracę wykonywaną w jego majątku) w celu wybudowania na tym miejscu wygodnych willi.

Dużym osiągnięciem tak artystycznym jak i ideowym Icaza jest, iż potrafił pokazać kosztem jakich ofiar i męki tubylczej ludności, dzięki jakiej piekielnej intrydze obszarnika, proboszcza i komisarza rządowego zdołano dokonać „postępu cywilizacji" (jak szumnie pisała stołeczna prasa) w owym zapadłym zakątku „demokratycznej" republiki równikowej. Don Alfonso po powrocie z Quito do swego majątku zwołał radę wojenną składającą się z miejscowego proboszcza Lomasa i komisarza rządowego w osadzie Tomachi Hiacynta Quintana, zajmującego się jednocześnie sprzedażą napojów alkoholowych swym podopiecznym. „My jedni — powiedział im — jesteśmy zdolni, wykonać to dzieło (zbudowanie drogi). Ksiądz z ambony, tj. zaś, Hiacyncie — ze swego urzędu winniście podjąć jak najprędzej ten trud patriotyczny, ażeby w określonej chwili zgromadzić wszystkich zdolne do pracy ręce. Ja, ze swej strony, dam moich Indian. Jestem pewny, że w ciągu trzech tygodni będziemy mieli drogę. Minister obiecał mi przysłać inżyniera, ażeby to dzieło postępu zostało wykonane". Nie i zgodnie z planem przystąpiono do dzieła: komisarzowi udało się obudzić entuzjazm ludności poruszając struny lokalnego patriotyzmu oraz dawnego współzawodnictwa z sąsiednią wioską, ksiądz zaś zapewniał swoje owieczki, że „Boski Stwórca uśmiechnie się przy każdym metrze, o który posunie się droga, i zleje na wioskę swe błogosławieństwo". Budowa drogi poprzez trzęsawisko nie byłaby rzeczą łatwą nawet przy zastosowaniu nowoczesnych maszyn, na domiar zaś obszarnikowi tak śpieszyło się z wykonaniem zadania, iż zdecydował się osuszyć bajoro za cenę życia swych Indian. I tak dosłownie na podkładzie kości ludzkich, podniecając gasnący entuzjazm wódką, batem i walkami kogutów doprowadzono wreszcie rozpoczęte dzieło do końca. Wówczas proboszcz zakupił dwie ciężarówki do przewozu towarów i pasażerski autobus. Ludność wioski, która w dużej mierze składała się z poganiaczy mułów, użytkowanych dotąd do transportu, rychło odczuła „dobroczynne" skutki postępu.

Jednocześnie Don Alfonso w zaiste chrześcijański sposób odwdzięczył się mieszkańcom swego huasipungo za to, że własnym życiem płacili za każdy kilometr drogi i zabronił miejscowemu ekonomowi dokonać corocznego oczyszczenia łożyska rzeki, na skutek czego powódź zalała siedziby Indian. Kiedy następnie głód zawitał do chat powodzian dziedzic odmówił im tradycyjnego „wsparcia" korzystając bowiem z nowowybudowanej drogi zamierzał całe zbiory sprzedać w stolicy. Autor skupiając uwagę głównie na losie — wspominanego już na wstępie — Andrzeja Chiliquinga i jego żony Cunshi w ich osobistej tragedii unaocznia tragizm losu wszystkich pozostałych mieszkańców huasipungo. Wreszcie miara wszystkich tak cierpień jak i okrucieństw przebrała się, gdy obszarnik zgodnie z obietnicą przystąpił do wysiedlania Indian z ich chat. Wtedy to Indianie kierowani przez Andrze-

(Dokończenie na str. 11-ej)

*) Jorge Icaza: Huasipungo (Dławiące dzierżawy); powieść, przełożyła z hiszpańskiego Tadeusz Jakubowicz; Ludowa Spółdz. Wydawnicza; 1950; str. 223 + 1 nl.

NICOLAS GUILLEN **spolszczył LECH PIJANOWSKI**

POT I BICZ

Bicz,
pot i bicz.

Słońce zbudziło się wcześnie,
znalazło bosego murzyna
na polu nagich ciał,
rannego.

Bicz,
pot i bicz.

Wiatr przebiegł, krzycząc:
— Jakiż czarny kwiat w każdej dłoni!
Krew mówiła doń: chodźmy!
Mówił do krwi: chodźmy!
Poszedł bosy, we krwi.
Pole trzciny cukrowej drżąc
ustępowało mu miejsca.

Potym ogłuchło niebo,
i pod niebem niewolnik,
splamiony pańską krwią.

Bicz,
pot i bicz.
splamione pańską krwią;
bicz,
pot i bicz,
splamione pańską krwią,
splamione pańską krwią.

Żeromski pod żaglowym płótnem

(Dokończenie ze str. 5)

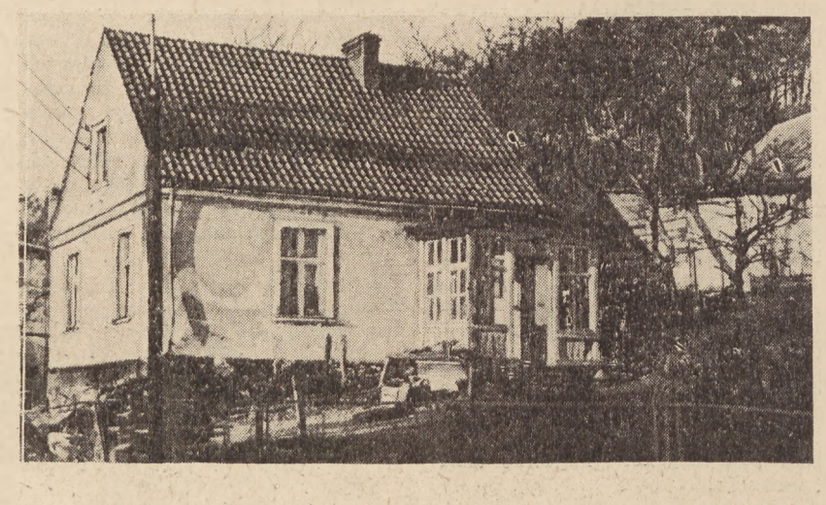

Fot. Uklejewski

Domek rybacki w Orłowie, w którym mieszkał Żeromski.

dziczących swój urząd z pokolenia na pokolenie, rzadko komunikowała się z „lądem". Miała nawet swój własny cmentarz w pobliżu latarni. Teraz prowadzi na Rozewie wygodna autostrada. Ale i tak zimą mało kto tu zagląda. I dziś ludzi było nie wielu: kilku literatów i dziennikarzy, pracowników Wydz. Kultury, prezes Zrzeszenia Rybaków w sztormowym kapturze, grupa młodzieży z oliwskiej szkoły im. Żeromskiego, delegaci Gdańskiego Urzędu Morskiego w granatowych, marynarskich mundurach.

Morze widoczne między pniami obmokłych buków było tego dnia nieruchome, szare, zamglone. Brakło tylko paru „punktów" do uruchomienia syren sygnałowych, których głos niesie się daleko w lepkiej mgle. Co chwilę zrywał się deszcz. Zmieszany ze śniegiem ciął w twarze zebranych przy latarni. Na ceglanej piersi tej „staruszki" przybranej dziś odświętnie długą biało-czerwoną wstęgą flagi i barwnymi chorągiewkami kodu, bieliła się jak order w wieńcu z zielonej jedliny tablica, zakryta płótnem. Latarnik Wzorek, który objął rozewską „blicę" w spadku po swym zamordowanym przez hitlerowców bracie, tłumaczył się zafrasowany wskazując na tę białą plamę:

— Zasłoniliśmy Żeromskiego żaglowym płótnem. Nie mieliśmy na latarni nic innego.

I cała uroczystość była prosta, skromna i piękna właśnie jak to żaglowe płótno, użyte przypadkowo do osłonięcia tablicy wykonanej przez dwóch młodych absolwentów sopockiej WSSP: Kojdera i Duszeńkę.

— Żeromski — mówił Antoni Bigus, poseł ziemi kaszubskiej, odsłaniając w imieniu Prezydium WRN-u pamiątkową tablicę — widząc zło społeczne nie umiał znaleźć na nie rady. Potrafił jednak rozpalić w ludziach nienawiść do wyzysku i do ustroju, który krzywdę społeczną toleruje. Potrafił przygotować ludzi na przyjęcie wielkiej rewolucyjnej zmiany... Żeromski był piewcą morza. Poświęcił wiele kart swoich książek tęsknocie do morza i opisał piękno tego morza. Pokochał surowy krajobraz helskiego półwyspu, malował słowami zaczerpniętymi od ludu życie mieszkańca tych stron. Wśród tu zebranych są zapewne tacy, którzy go znali, którzy go tu widzieli i z nim rozmawiali...

Prezes Budzisz kiwnął w tym miejscu potakująco swoją rybacką kapuzą. Dobrze pamięta Żeromskiego, znał go, rozmawiał z nim. Jeszcze ostatnie spojrzenie na latarnię, gdzie literaci składają właśnie kwiaty, a młodzież wieniec z jedliny, i wszyscy zebrani ruszają do Wielkiej Wsi. Tam to w odrapanym i zaniedbanym „Domu Rybaka" odbyła się akademia. I w niej jednak nie było nic z nudy i szablonu niejednej akademii „ku czci". Żeromski z umieszczonego na scenie portretu patrzał smutnymi oczyma na brudną salkę i zapełniającą ją trochę przypadkową publiczność. Największy tłok był na balkonie. Starzy bywalcy, znając mroźną atmosferę panującą w „Domu Rybaka" wiedzieli, że tam najcieplej. Ale i na parterze wkrótce atmosfera rozgrzała się, bo program był naprawdę dobry. O pisarzu mówił prosto i serdecznie poeta Edward Fiszer, laureat tegorocznej nagrody literackiej Gdańska, pieśni Moniuszki śpiewała Morawska, skrzypek Mehrenstein grał Wieniawskiego, recytowano fragmenty „Ludzi bezdomnych" i urywek „Wiatru od morza", kończący się mocnym, dziwnie aktualnym akordem „Precz z wojną". Na zakończenie pianista Lewiński grał Chopina na fortepianie specjalnie przywiezionym z Gdyni do tej dalekiej rybackiej wsi.

— Nastrój naprawdę jak z Żeromskiego — starego „symbolisty" — powiedział ktoś, wracając z tej uroczystości. Czy zauważyliście że właśnie w chwili odsłaniania tablicy ukazało się słońce?

Był to jedyny chyba promień, który tego dnia przedarł się przez chmury.

Franciszek Fenikowski

EDMUND NIZIURSKI

Nowa książka Józefa Pogana

W „Ugorach“ i „Cierpkim owocu“ — Pogan wystąpił jako pisarz reprezentujący interesy biedoty wiejskiej. Wydaje się, że obecnie na nowym etapie walki klasowej na wsi stanowisko tego pisarza należy ocenić na nowo. Pisarz biedoty wiejskiej, ale na jakim etapie historycznym i rozwojowym? Czy tym pierwszego roku sześciolatki, pisarza biedoty, która występuje formule Lenina o pracy Partii na wsi: „oprzyj się na biedocie, mocnij sojusz ze średniakiem i nie przerywaj walki z kułakiem“? Biedoty, od której uaktywnienia zależy w głównej mierze zwycięstwo socjalizmu na wsi? Dla której ostatnie akcje masowe a zwłaszcza planowy skup zboża stają się szkołą bojowienia politycznego i świadomej walki o socjalizm?

Z perspektywy tych przemian na nową książkę Pogana musimy spojrzeć z troską. Nie dlatego, że Pogan żyje tu wciąż ze starego kapitału, że dyskontuje wciąż jeszcze swoją przedwojenną, biedniacką przeszłość, nie dlatego, że nie wyzwolił się jeszcze z obsesji wspomnień. Ale dlatego, że wyrażająca się w książce świadomość klasowa nie jest świadomością z roku 1950 lecz wciąż jeszcze z okresu „Ugorów“.

Oczywiście wolelibyśmy, by autor sięgał po tematy współczesne, oddziaływujące bardziej bezpośrednio i pomagające doraźnie w budownictwie socjalistycznym.

Ale nie o sam temat z przeszłości nam chodzi, lecz o sposób patrzenia na przeszłość, o to, że Poganowe widzenie i rozumienie przeszłości nie jest widzeniem i rozumieniem pozycji dzisiejszej klasy biedniackiej, klasy szybko dojrzewającej politycznie w walce o socjalizm, klasy, która w przeszłości swojej notuje nie tylko bierne cierpienie i znoszenie wyzysku, lecz również bunt i walkę w rewolucyjnym sojuszu z klasą robotniczą, tradycje PPP-owskie i radykalno-ludowe.

Problem jest szeroki. Chodzi nie tylko o jedną książkę Pogana. Chodzi o całe jego pisarstwo, chodzi o twórczość innych pisarzy chłopskich.

*

Niedawno w Turcji ukazała się książka nauczyciela wiejskiego Machmuda Makala, syna ubogiego chłopa z centralnej Anatolii — półpamiętnik, pół-reportaż p.t. „Nasza wieś“ *). Książka przedstawia w ostrych rysach nędzę wsi tureckiej i wyzysk biedoty. Podaje suche fakty, bez żadnego komentarza ideologicznego. Pisarz nie ma najmniejszych ambicji rewolucyjnych. Nie wskazuje istotnych przyczyn nędzy chłopa tureckiego, ani dróg wyjścia. Demaskuje tylko stan faktyczny. My wiemy, że to w stosunkach tureckich dużo. Ale wiemy również, że to nawet w stosunkach tureckich nie wszystko. Dowodem — Nazım Hikmet.

Książka Machmuda Makala reprezentuje dopiero jakby pierwszy stopień świadomości klasowej. Jego zasługą jest, że potrafił spojrzeć krytycznie na rzeczywistość swego kraju, że zobaczył nędzę wsi tureckiej i krzywdę chłopa.

Wydaje się, że nie popełnimy większego uproszczenia, gdy powiemy, że sposób patrzenia na wieś Pogana przypomina pod wieloma względami patrzenie Machmuda Makala. Z tym oczywiście, że Pogan opisuje wieś przedwojenną a Turek współczesną, z tym, że Pogan pisze wśród ludzi budujących socjalizm, w kraju, gdzie znosi się nędzę i wyzysk człowieka przez człowieka, że pisze w okresie, gdy szybko rosną nowi ludzie, gdy masy biedoty wiejskiej mobilizuje politycznie i uaktywnia rewolucyjna Partia, a Turek — w kraju zmarshalizowanym, oddanym uciskowi imperialistów własnej faszyzującej kliki obszarniczo - kapitalistycznej, ale... „tym gorzej“ dla Pogana.

Możemy teraz ustalić typ społecznej funkcji książki Pogana. Należy ona do typu demaskatorskich, do typu kompromitujących kapitalizm, ale też na tym kończy się jej wymowa. Chowawcza funkcja, funkcja podobna tej, jaką spełniają dzieła realizmu krytycznego.

Poganowe pisarstwo wyrasta z biedniackiego rozczarowania do towarowej gospodarki chłopskiej. Pogan widzi nieprzeciętnie ostro rozwarstwienie klasowe wsi przedwojennej i głęboko odczuwa krzywdę klasową biedoty wiejskiej ale nie potrafi być rzecznikiem walki o „nowe“, nie potrafi wskazać perspektyw rozwojowych, nie potrafi iść w awangardzie przemian.

Postawa Pogana jest tu wciąż jeszcze postawą niezaktywizowanego biedniaka, który potrafi tylko „psioczyć“ na sanacyjne rządy i rozpamiętywać swoją dawną nędzę, który potrafi się tylko cieszyć z tego co mu Polska Ludowa dała i czekać na to, co jeszcze da — czekać, aż ktoś za niego „zrobi na wsi socjalizm“, zapominając, że to on sam musi zmienić swoją wieś, że klasa robotnicza mu w tym pomoże, ale go nie wyręczy!

*

Krąg widzenia „Na głodnym zagonie“ **) jest bardzo ograniczony, choć trzeba przyznać, że na tym skrawku rzeczywistości, który bierze na warsztat, pracuje Pogan sumiennie. W pasji demaskowania niesprawiedliwości społecznej przewyższy nieraz Gałaja z „Mystkowic“.

Autor burzy niestrudzenie całą kłamliwą nadbudowę kapitalistyczną, jaka zawisła nad naszą wsią. Rozbija kułacki mit, że nędza to skutek niezaradności, lenistwa itp. przywar i że w ustroju kapitalistycznym pracowity i zapobiegliwy biedak ma otwartą drogę do awansu społecznego i do majątku.

Oto dzieje pracowitego Habdasa:

„Nieco niżej, niby jaskółcze gniazdo — przylepiona była do brzegu chałupka Bartka Habdasa. Maleńka jak inne, ale przecież troje ludzi jakoś się w niej zmieściło. I sień też była przepołowiona na pomieszczenie dla owiec. Habdas był bardzo pracowity i nie gardził żadną robotą. Zarabiał wszędzie. Młócił zboże, grodził płoty, obcinał gałęzie na wierzbach i topolach a nawet golił nieboszczyków i ubierał ich. Wynagrodzenie pobierał niskie. Ile kto dał: trochę zboża lub ziemniaków i do syta jedzenia podczas pracy, gdyż był zawsze głodny. Pono dużo jadał. Karmili go więc gospodarze czymkolwiek, przeważnie suchym i twardym, żeby mu dłużej w brzuchu siedziało. I to raz Bartka zgubiło: pojadł niedogotowanego bobu, przejęczał parę dni i zmarł. Mało go kto żałował, choć wielu gospodarzom tyle się nawysługiwał.“

Nie doszedł również do niczego Ludwik Nabagła. Oto jego portret:

„Nad Borynią stała chata Ludwika Nabagła. Niby stała ale waliła się tak, że ją chłopina słupkami podpierał. Nic dziwnego, sklecił ją ze spróchniałek. Na dwumorgowej działce wiódł z ośmiorgiem dzieci nędzny żywot. Nic to nie pomogło, że Ludwik był ogromnie pracowity i zmyślny do wszystkiego. Trudnił się wycinaniem w lesie bijaków, murarką, stolarką, cieślółką, nawet trumnę dla lichszego nieboszczyka też zrobił. Miał, jak to mówią, siedem fachów a ósmą biedę. Nigdy nie było czym zasiać, obsadzić, jedzenia co rok już od marca brakowało. Dzieci od ósmego roku oddawał na służbę gospodarzom. Każdy brał chętnie pracowite niebożątka“.

Na własnym przykładzie pokaże autor obłudę burżuazyjnych frazesów o rzekomym prawie „równego startu“ w państwach demokracji kapitalistycznej. Autor był najzdolniejszym uczniem w szkole i robił najlepsze postępy, ale nie danym mu było ukończyć nawet czwartego oddziału szkoły powszechnej. Nie pozwoliła na to nędza i ciemnota rodziców. Dalej mogli się kształcić tylko synowie bogaczy.

Pomimo tego typu osobistych motywów „Na głodnym zagonie“ nie jest autobiografią. Momenty autobiograficzne służą tylko do wywołania wspomnień przeszłości i zakreślają utworowi miejsce w czasie i przestrzeni. Istotnym zamiarem Pogana jest pokazać środowisko — ściślej, ekonomiczne warunki bytu przedwojennej biedoty wiejskiej.

Książkę cechuje „litanijność“ to znaczy opierające się na luźnych skojarzeniach wyliczanie wiejskiej nędzy, ustawianie obok siebie klasowych typów chłopskich, rodzin, gospodarek, z garstką ilustrujących faktów jakie wyprzędła pamięć. Jest to rzecz jasna sposób prymitywny, gawędziarski, choć u Pogana zaprawiony swoistą swadą i humorem — mało jeszcze mający wspólnego z świadomym literackim porządkiem. Tak „odtyka się“ pamięć każdemu wspominaczowi, jakich nie mało na wsi, gdy każecie mu opowiadać o jego gromadzie.

Zacytujemy jeszcze jedną próbkę Poganowej prozy, tym razem — portret bogacza. Zwróćmy uwagę na zacieśnienie obrazu do kilku zewnętrznych gospodarczo - obyczajowych rysów, na pominięcie nawet charakterystycznej, politycznej strony urzędu sanacyjnego sołtysa:

„Długoletni sołtys gromady, Piotr Chmura, znany był we wsi jako największy wyzyskiwacz biednych najemników. Niektórzy przezywali go „zarywac“, bo często przy wypłacie urwał kilka groszy, a z większej sumy nawet całą złotówkę. Najczęściej jednak wypłacał choiną i liśćmi w lesie. Lasu miał sporo, toteż bezustannie go pilnował, sprzedawał drzewo, obliczał sążnie i pieniądze. W tym obliczeniu był nie lada specjalistą i czasem jedną kupkę gałęzi potrafił dwa razy sprzedać. Żył więc dostatnio, odkładał pieniądze na kupkę i na kilka lat przed śmiercią wymurował sobie i żonie grób na cmentarzu. Siedem córek wydał już to za bogaczy, już to za lepszych średniaków, wyposażając każdą paroma morgami ziemi. Najmłodszemu synowi, Pietrkowi, pozostawił „ośrodek majątkowy.“

Józef Pogan

Czytelnik może sądzić, iż to wyimek z opisu tła społecznego książki. Niestety jest to właśnie istotna treść utworu, książka składa się z takich obrazków. W pierwszych metrach filmu zanim na ekranie pojawi się bohater, zanim zawiąże się akcja, obiektyw operatora przesuwa się chwilę po otoczeniu, po miejscach, gdzie wybuchnie konflikt, po twarzach statystów. U Pogana książka pozostanie do końca takim opisem scenerii dla bohatera — który nie zjawi się nigdy, dla akcji — która nie zawiąże się nigdzie...

Byłoby błędem tłumaczyć ten typ luźnej narracji opisowej tylko brakami warsztatowymi, brakami rzemiosła. Sprawa jest poważniejsza. Jak uczy doświadczenie — brak dynamiki, choroba statyczności utworu, wskazuje zawsze na pewne braki w postawie ideologicznej pisarza.

Braki te występują szczególnie ostro przy porównaniu książki Pogana z pokrewną pod pewnymi względami formalnymi — na co zwrócił uwagę M. Koliba w recenzji w „Twórczości“ — książką Lucjana Rudnickiego.

Nakreślony przez Pogana krajobraz społeczny biedniackiej wsi aż prosi o udramatyzowanie, o bujną akcję, o pokazanie jak kształtowała się świadomość klasowa, jak zawiązywał się sojusz robotniczo-chłopski w masach biedoty wiejskiej, o pokazanie wsi nie tylko cierpiącej ale i walczącej. Prosi o ten żywioł, który zdynamizował, ubojowił i „uwspółcześnił“ książkę L. Rudnickiego.

Wieś Pogana***) zbyt bliskie więzy łączyły z Zagłębiem Dąbrowskim i z Krakowem (sam Pogan pisze o młodzieży biedniackiej ruszającej do pracy do kopalń i hut), by te sprawy leżały tam odłogiem. Nie leżały i autor zdaje sobie z tego sprawę. Dowiadujemy się przecież, co prawda przypadkowo — w związku ze sprawą sołtysa, że we wsi byli komuniści (rodzina Kuberoków).

Nie pokazanie tych spraw, zbagatelizowanie przejawów budzącej się świadomości klasowej biedniaków i ich odruchów rewolucyjnych, przedstawienie tylko „starego“ a niezauważenie „nowego“ stanowi właśnie o dystansie, jaki dzieli pisarstwo Pogana od realizmu socjalistycznego a także jest w znacznym stopniu źródłem niedostatków formalnych utworu, sprawia, że ostatnia książka Pogana staje się zaledwie budulcem do powieści o wsi, nagromadzonym przez skrzętną pamięć i wrażliwe ucho. Cóż z tego, że budulcem bezwzględnie posegregowanym i miejscami niezgorzej przyciosanym?

Tylko pokazanie dojrzewania klasowego biedniaka i przenikanie na wieś idei rewolucyjnych dostarczyć mogło autorowi właściwego wątka dramatycznego, zapewnić artystyczne rozegranie nagromadzonego materiału klasowego i stać się kręgosłupem akcji. A tak, zamiast skończonego utworu literackiego, otrzymaliśmy skrupulatnie i sumiennie wypełnioną... kartotekę.

Nie wątpimy, że przyszłe wysiłki autora pójdą w kierunku ubojowienia i uwspółcześnienia jego pisarstwa. Pogan powinien nie tylko „wyrównać w natarciu“, które podstawowe masy chłopskie prowadzą dzisiaj na szerokim froncie walki klasowej o rzecz największą — o socjalizm, ale stanąć w jej pierwszym, przodowniczym szeregu. Do tego zobowiązuje go miano pisarza biedniackiej klasy i tylko wtedy miano to potrafi utrzymać.

Edmund Niziurski

---

*) Fragmenty tłumaczenia — „Wieś“ Nr. 48 z 1950 r.

**) Józef Pogan „Na głodnym zagonie“, Czytelnik, 1950.

***) Jeszmanowice a później Będkowice — obie w pow. Olkusz.

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

Nakładem „Książki i Wiedzy“ ukazał się pierwszy tom „Kapitału“ Marksa w nowej redakcji. Jest to trzecie z kolei wydanie „Kapitału“ w języku polskim. Obecny przekład redagowali Paweł Hoffman, Bronisław Minc i Edward Lipiński. Również nakładem tego wydawnictwa ukazały się dalsze tomy pism Zebranych Lenina i Stalina. Znajdują się już w sprzedaży następujące tomy dzieł Lenina: I, II, XIV, XIX i XXII, oraz Stalina I, II, V, VII, VIII i X.

*

Z okazji III rocznicy powstania Rumuńskiej Republiki Ludowej odbył się w kinie „Moskwa“ w Warszawie pokaz trzech dokumentarnych filmów rumuńskich: „23 Sierpnia 1950 r.“, „O uprzemysłowienie, o pokój“ i „Bieg pokoju“. Filmy te ilustrują gospodarczy i kulturalny rozwój ludowej Rumunii.

*

Sztuka Leona Kruczkowskiego „Niemcy“ została przerobiona przy współudziale autora na scenariusz filmowy, który obecnie znajduje się w realizacji wytwórni NRD — „Defa“. Rolę Fanchette gra Aleksandra Śląska.

*

Związek Zawodowy Górników zorganizował konkurs na utwór literacki poświęcony zagadnieniom współzawodnictwa pracy, na który 88 literatów - amatorów nadesłało swe prace. Sąd konkursowy, złożony z przedstawicieli ZZG, ZLP i WRN, przyznał I nagrodę absolwentowi Liceum Węglowego, przodownikowi nauki — Włodzimierzowi Grabowi, za wiersz pt. „Odpowiedź na apel“.

*

W spółdzielniach produkcyjnych w Andrzejowie (pow. łódzki) i w Godzianowie (pow. skierniewicki) uruchomiono stałe kina wiejskie. Są to pierwsze stałe kina otwarte w spółdzielniach produkcyjnych.

*

Na zaproszenie Wszechzwiązk. Komitetu Łączności Kulturalnej z Zagranicą (WOKS) udała się do ZSRR na gościnne występy grupa muzyków polskich — pianistka Czerny - Stefańska, laureatka I nagrody IV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, skrzypaczka Wanda Wiłkomirska, laureatka Międzynarodowego Konkursu w Genewie i Konkursu Bachowskiego w Lipsku, baryton Opery Śląskiej Adam Hiolski oraz akompaniator Stefański.

*

Najnowszy numer czasopisma „Muzyka“, wydawanego przez Państwowy Instytut Sztuki, poświęcony jest przyjaźni polsko-radzieckiej i udziałowi muzyki w walce o pokój. Numer zawiera m. in. następujące artykuły: „Pieśni radzieckie o pokoju“ O. Pozdniewej, „U podstaw przemian stylistycznych w muzyce radzieckiej“ dr. Zofii Lissy, „Kierunek realistyczny w muzyce“ I. Niestiewa.

*

Ogłoszone ostatnio cyfry mówią o dalszych poważnych osiągnięciach w upowszechnieniu kultury i oświaty na wsi. Obecnie czynne są 8.392 świetlice gromadzkie, z czego 1.400 w spółdzielniach produkcyjnych, 6.240 bibliotek świetlicowych (1226 w spółdzielniach produkcyjnych), liczących około 923.000 tomów. Na wsi pracuje około: 5 tys. zespołów świetlicowych, 3.600 zespołów oświaty rolniczej, 2.577 zespołów redakcyjnych gazetek ściennych, 715 zespołów wszechnicy radiowej oraz 506 zespołów samokształceniowych. W ciągu półrocza 1950 r. kina wiejskie urządziły około 19 tys. seansów.

*

Zespół Państwowego Ukraińskiego Akademickiego Teatru Dramatycznego im. Iwana Franki z Kijowa zakończył ponad 4-tygodniowe gościnne występy w Polsce. Teatr dał w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Katowicach, Poznaniu i Wrocławiu razem 31 przedstawień siedmiu sztuk oraz zorganizował 12 koncertów w większych zakładach pracy.

*

W Państwowym Teatrze Współczesnym w Warszawie odbyła się prapremiera nowej sztuki polskiej pt. „Zwykła sprawa“, której autorem jest Adam Tarn.

*

Polscy artyści muzycy — dyrygent Zdzisław Górzyński i pianista Władysław Kędra odbyli kilkutygodniowe tournée artystyczne po Niemieckiej Republice Demokratycznej, koncertując między innymi w Berlinie i Lipsku. Program ich występów obejmował m. in. szereg utworów kompozytorów polskich.

JERZY PŁAŻEWSKI

PROPOZYCJE FILMOWE (3)

Co bliższe filmowi — teatr? literatura?

Rozmowa o poranku. — Kwestia surowcowa. — Kino z teatrem łączy siedzenie w fotelu. — Pewien gmach się zawalił. — Rozładowujemy i rozwadniamy. — Nie pomógł nawet stratosferyczny samolot. — Andrzejewski raz nie dopisał. — Gombrowicz potwierdza regułę. — Baczność! Na prozę patrz!

Urywek krótkiej rozmowy przy pół czarnej, kiedy najhojniej rzuca się na prawo i lewo pół-prawdy i ćwierć-prawdy, nieprzetrawione samodzielnie:

PISARZ: Byłem niedawno na poranku autorskim w fabryce. Warto było. Działa to, jak sole trzeźwiące. Ten prosty słuchacz, który się zrywa z ławki, ta, wiecie, bezpośredniość...

KRYTYK: I cóż ten prosty słuchacz?

PISARZ: Piszemy za mało. On jest głodny! Jeszcześmy nim nie zawładnęli. Mało im: dobrych książek, teatru, filmów...

KRYTYK: A propos, dlaczego nic nie piszecie dla filmu? Powinniście, kto jak kto... Film oglądają wszyscy...

PISARZ: Są moje trzy sztuki powojenne, czwartą kończę — do dyspozycji! Teatr — jego najbliższym krewniakiem jest przecież kino...

Teatr — i kino... Czy rzeczywiście?

Zdanie, że sztuka sceniczna jest najlepszym surowcem dla adaptacji filmowej, ma na pewno znacznie więcej zwolenników, niż oponentów. Rzecz jednak w tym, że zwolennicy ci rodzą się częściej w toku powierzchownych rozmówek przy pół czarnej, niż w toku rzeczowych dyskusji.

Że film jest najbardziej masową ze sztuk, zrozumiano w Związku Radzieckim dobre trzydzieści lat temu. Że jest sztuką i że jest najbardziej masową. Że zatem nie może być ujmą dla jakiegokolwiek dzieła sztuki, jeśli przetłumaczyć je na język filmowy i upowszechnić pod tą postacią. Dziś nikt już przy zdrowych zmysłach będący nie miewa bzdurnych wątpliwości, czy aby nie jest profanacją tłumaczenie na taśmę perforowaną o szerokości 35 milimetrów dzieł Szekspira, czy Gorkiego. Praktyka współczesnej kinematografii notuje dziesiątki transpozycji filmowych dzieł literackich i teatralnych, z klasykami włącznie.

Problem: „czy scenariusz filmowy musi być koniecznie utworem oryginalnym?“ — nie istnieje. Życie odpowiedziało, że nie musi być. Pozostaje natomiast problem: „jeśli adaptować, to co?“. Co mianowicie, powieść, czy sztukę sceniczną?

Z wieloma dyskusyjnymi sprawami w dziedzinie sztuki rzecz ma się tak, że nie podobna na pytanie: „A, czy B?“ odpowiedzieć apodyktycznie jedną literą. Nie jest to przyjemne dla dyskutanta, ani dla bardziej porywczych słuchaczy. O ileż efektowniej móc zakończyć wywody zdaniem: „tak, a nie inaczej!“

Jestem w tej samej sytuacji. Cokolwiek bym powiedział, nie wolno mi zakończyć ani per „jedynie sztuka sceniczna“, ani per „tylko i wyłącznie powieść“. Świadomość ta nie zwalnia jednak od obowiązku zastanawiania się. Żadną miarą.

Może to dziwne, a może i nie, że im kto lepiej zna kino, tym głębiej zdaje sobie sprawę z odrębności dziesiątej muzy w rodzinie pozostałych muz.

Ludzie, znający kino powierzchownie, widzą masę zbieżności między filmem i sztuką sceniczną. Teatr i kino są widowiskami. Jedno i drugie apeluje do doznań wizualnych. Tu i tam między dziełem twórcy a odbiorcą stoją wykonawcy-aktorzy, a także organizatorzy-reżyserowie. Zarówno spektakl teatralny, jak i kinowy powstają w wyniku kolektywnej pracy licznego grona osób. I tam i tu — ale widzę, że zapuszczam się już w analogie coraz mniej istotne, choć widoczne tzw. gołym okiem. Jeszcze chwila, a przypomnę, że tak w teatrze, jak i w kinie konsument musi siedzieć w fotelu.

Ktoś powiedział (czy nie Painlevé czasem), że sfilmować można wszystko: i „Kapitał“ Marksa, i „Wiosnę“ Boticellego, i wiersz Przybosia. Nie w tym więc sęk czy teatr można sfilmować, tylko w tym, czy teatr najlepiej się do sfilmowania nadaje.

Otóż sztuka teatralna nadaje się do przełożenia na język filmowy bezsprzecznie lepiej, niż etiuda Chopina. Ale znacznie gorzej, niż żywa, realistyczna powieść.

Bo pomijając powierzchowne analogie teatr-kino warto zdać sobie sprawę, że realizatorzy filmowi, stanąwszy przed wspaniałym gmachem trzech teatralnych jedności, nie zostawili zeń kamienia na kamieniu.

Jedność miejsca? Czyż może być postulat bardziej antyfilmowy, skoro istotą kina jest ruch, szybka zmiana sytuacji, błyskawiczne przenoszenie się z miejsca na miejsce?

Jedność czasu? Cóż z niej zostało w filmie, w którym twórca rozstawia swe opowiadanie nie na trzech czasowych płaszczyznach, ale na kilkudziesięciu, przeplatając je niekiedy ze sobą, a nawet układając wyraźnie wbrew chronologii?

Jedność akcji? A filmy wielowątkowe, o licznych i udanych dygresjach, filmy o akcjach równoległych, rozwiązujące równocześnie po kilka najzupełniej odmiennych węzłów dramatycznych?

Gmach trzech jedności, o istnieniu którego nic a nic nie wie nieoczytany w Boileau nowy konsument kulturalny, ciąży swym ogromem nad każdym pisarzem scenicznym, narzucając mu w zarodku antyfilmowe konwencje. Ludzie teatru, przykuci do świateł scenicznej rampy, muszą się pokazywać widzowi w gadaniu, a nie w działaniu. Pisarz sceniczny, zwłaszcza taki, o którym pochlebnie mówi się, że „czuje scenę“, musi przesycić swój temat statyczną kameralnością, choćby wszystkie trzy akty jego sztuki miały za tło „wolną okolicę“. Bo gdyby tego nie zrobił, to właśnie „nie czułby sceny“.

Zwolennicy adaptacji teatralnych dowodzą, że taki to a taki akt dziejący się np. w gabinecie zawiadowcy stacji przez pół godziny, rozbić można w filmie na dwadzieścia sekwencji, które będą miały za tło z tuzin rozmaitych miejsc akcji. To, oczywiście, można robić i tak się zwykle w podobnych razach praktykuje.

Skoro jednak autorowi udało się w sztuce — nie obrażając zdrowego rozsądku — skrzyknąć bohaterów owych dwudziestu sekwencji na jedno miejsce i skondensować akcję do 30 minut, to rozbicie tej sceny dać może w efekcie tylko rozładowanie napięcia dramatycznego, rozwodnienie sytuacji.

Jeszcze jeden rezultat trzech jedności: jeśli aktor sceniczny nie wyrazi czegoś słowami, to mała nadzieja, by potrafił to oddać milczącym działaniem. A w filmie powinno być przecie akurat odwrotnie.

Konkretne rezultaty? W filmie „Harry Smith odkrywa Amerykę“, opartym na sztuce Simonowa „Zagadnienie rosyjskie“, sekwencja eksmisji Harry'ego, połączona z audycją z tragicznej wyprawy stratosferycznej, bardzo zwarta i sugestywna w sztuce, w filmie została nudnie rozwleczona i osłabiona ustawicznymi jazdami aparatu i nic tu nie pomogły nawet przerzuty akcji do studia rozgłośni radiowej i wnętrza stratosferycznego samolotu. To przykład na „rozwodnienie“.

A przykład na deklaratywną gadaninę? Scenarzysta „Miasta nieujarzmionego“ postanowił sobie pokazać, że bohaterska akcja, toczona w pozornie wymarłej Warszawie przez żołnierzy radzieckich i polskich nie była przypadkiem, lecz wynikła z przewidującego działania Partii. W tym celu, na samym początku filmu, pokazał odprawę jakiejś komórki partyjnej PPR. Pomysł słuszny, lecz rozwiązany właśnie tak, jakby go rozwiązał reżyser teatralny. Uczestnicy sceny siedzą w bezruchu i wysłuchują kompletnego przemówienia programowego sekretarza komórki. Wszystko tu

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE
Prasę Radziecką
PRENUMERATE PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE ODDZIAŁY P·P·K
RUCH

ZYGMUNT STOLARSKI

Z praktyki redaktora fabrycznej gazetki ściennej

GAZETKA NIETYPOWA

JESTEM redaktorem gazetki ściennej Zakładów Graficznych „Książka i Wiedza“ w Łodzi. Gazetka nasza różni się od innych ściennych tym, że nie jest wydawana w jednym egzemplarzu, lecz aż w stu egzemplarzach — że jest drukowana.

Nikt co prawda nie kazał nam jej drukować. Mogliśmy sobie powiedzieć, że raz na miesiąc nakleimy na arkuszu tektury nasze artykuły, powiesimy to w świetlicy na ścianie lub w trwałej oszklonej szafce na podwórzu fabrycznym — i będzie gazetka. Tak robią inne zakłady, a nawet i drukarnie. My postanowiliśmy inaczej.

— Skoro dysponujemy bazą techniczną — mówiliśmy — która pozwoli przedstawić naszą gazetkę wszystkim pracownikom, nie tylko tym, ktorzy przychodzą do świetlicy, skoro jesteśmy d r u k a r z a m i i wiemy, że znaczenie wynalazku druku polega na łatwości upowszechnienia słowa pisanego, więc i naszą gazetkę będziemy d r u k o w a ć.

Rzecz jasna, gazetka nasza przez to już wyglądem zewnętrznym różni się od innych. Pozbawiona jest ozdób z papieroplastyki, akwarelowych upiększeń, wymyślnych inicjałów, ramek, przerywników, artystycznej kompozycji graficznej... Jest sobie arkuszem papieru o formacie 70 × 100 cm, zadrukowanym gęsto garmondową czcionką, i wabi oko jedynie ilustracjami umieszczonymi bez określonej symetrii, czerwonym tytułem, kilkoma dwubarwnymi winietami i hasłami w czerwonej obwódce. Ale za to jeden jej egzemplarz przypada na dziesięciu naszych pracowników. Za to wisi i w świetlicy, i na podwórzu, i w halach maszyn, i w korytarzach, i w biurach — jest wszędzie.

Po dzwonku jesz sobie śniadanie spocząwszy na stołeczku i patrzysz wprost na gazetkę, którą przewidujący kolporter zawiesił właśnie w tym miejscu. Narządziłeś arkusz na maszynie i sprawdziłeś, czy nie wychodzi jakaś smoląca interlinia i czy farba dobrze kryje kolumny, odwracasz się — i masz przed sobą gazetkę, która wisi obok odbieraczki. Czekasz w kolejce na wypłatę i nie wiesz, o co zaczepić wzrok — możesz się zająć przeczytaniem artykuliku, którego dotychczas nie spostrzegłeś, w gazetce wiszącej obok biura.

Tak więc skromna szata graficzna nie jest wadą gazetki i nie razi nikogo w naszym zakładzie. Mam nawet wrażenie, że wszyscy u nas oswoili się ze znanym arkuszem 70 × 100 i z jego natręctwem.

Dziś gazetka naszej drukarni jest dość znana na terenie Łodzi. Przyczyniły się do tego wystawy fabrycznych gazetek, urządzane przez redakcję „Głosu Robotniczego“, w których nasza brała trzykrotnie udział, i przychylne, jeśli nie bardzo dobre opinie wydawane przez „Głos“ na odprawach korespondentów i redaktorów gazetek ściennych.

Jak do tego doszło?

KOLEGIUM REDAKCYJNE

Mówią sobie po cichu redaktorzy gazetek, że u nas pisuje cały sztab „Książki i Wiedzy“, którego poziom wystarcza wszak na prowadzenie poważniejszej pracy. Gdyby tak było, byłoby chyba źle. Lecz sztab „Książki i Wiedzy“ siedzi w Warszawie i istotnie zajmuje się poważną pracą wydawniczą, a my tu w Łodzi, drukarze, wydajemy sobie gazetkę własnymi skromnymi siłami, traktując tę pracę również jako jedną z poważniejszych.

Prócz mnie — pracownika technicznego ze średnim wykształceniem — jest w kolegium redakcyjnym jeszcze trzech pracowników umysłowych. Reszta to robotnicy różnych działów: maszyniści, linotypiści, zecerzy, transportowcy, portier, kontrolerzy. Razem piętnaście osób.

Egzekutywa partyjna dała mi ten sztab do dyspozycji, mianując mnie redaktorem gazetki. Funkcja dla mnie zupełnie nieoczekiwana. Wynotowałem sobie z artykułu zamieszczonego w jakiejś gazecie kilka punktów o zadaniach gazetek ściennych: 1) żywo reagować na wszystkie przejawy życia zakładu, 2) zbierać i popularyzować dane o współzawodnictwie pracy, przodownikach i racjonalizatorach, 3) współdziałać z czynnikiem społecznym i zakładową komisją współzawodnictwa pracy. Do tych punktów dodałem sobie czwarty: działać kolegialnie.

Okres, w którym realizowałem w s z y s t k i e punkty, był okresem rozkwitu gazetki. Gdy pominąłem punkt czwarty, zaczęło się coś psuć. Ale o tym powiem później.

Zwołałem pierwsze zebranie redakcyjne. Przyszło dwanaście osób. Jeden ma urlop, portier jest na służbie, jeden nie chciał przyjść — wszystko w porządku.

Trzeba było nakreślić linię gazetki, ustalić szatę graficzną, wybrać tytuł, podzielić role każdego z nas.

Przystąpiliśmy do wybrania tytułu. Projektów złożono dużo — trzynaście. Charakterystyczne, że każdy z nich miał brzmienie hasłowe, o wydźwięku imperatywnym: „musimy“, „damy“, „stworzymy“. Przez głosowanie wybraliśmy tytuł: „Musimy dać dobrą książkę“. Dwa z projektów — „Udostępnimy książkę dla wszystkich“ i „Z książką do mas!“ — postanowiliśmy wykorzystać w następnych numerach jako hasła.

Następnie ustaliliśmy, że kolegium redakcyjne wyłoni sposród siebie trzy osoby, które wespół ze mną będą kwalifikować i poprawiać nadesłany materiał do druku, a reszta — nazwaliśmy to rozszerzonym kolegium redakcyjnym — zajmie się zbieraniem i zamawianiem materiału. Przed wydaniem każdego numeru, czyli raz w miesiącu, postanowiliśmy zwoływać zebranie pełnego kolegium i omawiać na nim numery poprzednie oraz ustalać treść następnych. Nie miałem ani praktyki z zakresu organizacji pracy redakcyjnej, ani żadnych na ten temat instrukcji, zdaje mi się jednak, że taki system, jaki ustaliliśmy, był dobry.

Po zebraniu rozmyślałem:

„Mamy więc redakcję. Ludzie przyszli, mówili, jeśli mieli coś do powiedzenia, gotowi są chyba zająć się tą pracą, mimo że i tak są obarczeni różnymi funkcjami społecznymi. Warto sobie zapamiętać: Mordaka, Nest i Wojciechowski mówili najwięcej i najrozsądniej. Brandtowa zaś każdą rzecz drukowaną nazywa w i e r s z e m. („Już mi chcieli raz dać w i e r s z o tym, że jest brudno, ale nie było wtedy gazetki. Przyniosę na pewno ze dwa w i e r s z e o oszczędnościach naszego działu“)

Przyznam się, że widziałem jeszcze ciąg dalszy w czarnym kolorze, tym bardziej, że postawiłem sobie za punkt honoru robić gazetkę dobrze i postawić ją na wysokim poziomie. Ni stąd ni zowąd zaczęło mi się zdawać, że jest to robota w sam raz dla mnie.

Pierwszy numer nie okazał się zły, choć go w duchu mocno skrytykowałem. Były w nim cztery wypowiedzi na temat współzawodnictwa pracy, pięć artykułów na tematy związane z produkcją, parę informacji natury ogólnej, dwa wiersze (jeden z „Odrodzenia“, Gałczyńskiego, mówiący o pracy kontrolerki książek, i jeden rodzimego poety, który potem okazał się znakomitym plagiatorem), zaczepki atakujące nieróbstwo, wytykające złą jakość pracy. W S ł o w i e o d r e d a k c j i pisałem m. in.: „Redakcja nie będzie lekkomyślnie odrzucać nadesłanych prac. Prosimy o cierpliwość tych, których artykuły nie zmieściły się w tym numerze. Choć, jak każda redakcja, i my mamy swój kosz, nie będziemy jednak z niego korzystać“. Zapasu do następnego numeru oczywiście nie było, uważałem jednak za wskazane podsunąć ludziom myśl, że staliśmy się nagle poularną gazetą. Było oczywiste, że nie ja i nie członkowie komitetu, lecz ludzie z załogi, od maszyn, od produkcji powinni pisać do gazetki. Ponieważ w pierwszym numerze większość materiału stanowiły rzeczy, które wyszły od robotników, byłem z niego tylko o tyle zadowolony, że spełniał ten najważniejszy postulat. Wydawało mi się jednak, że są w nim niepotrzebne dłużyzny, że materiał jest jeszcze mało różnorodny i chropawy.

Załoga przyjęła gazetkę z zainteresowaniem. Zaraz po rozklejeniu jej gromadziły się grupki i wymieniały uwagi. Maszyniści już w czasie druku przeczytali wszystko, a odbieraczki ciekawie spozierały na odrzucone przez maszynę arkusze.

— Gazetka jest robotnikom potrzebna — stwierdziłem sam dla siebie i poczułem się raźniej.

PIERWSZA WYSTAWA

Wiedziałem, że „Głos Robotniczy“ interesuje się gazetkami ściennymi, ocenia je i instruuje redaktorów. Udałem się do redakcji z naszym drugim numerem. Był lepszy od pierwszego. W wyniku bowiem drugiego zebrania redakcyjnego zwiększyliśmy ilość ilustracji, wprowadziliśmy stałą rubrykę „Nasi przodownicy pracy“ z wywiadem i fotografią czołowego przodownika, zadbaliśmy o większą ilość materiału krytycznego, wprowadziliśmy stałą rubrykę TPPR i ZMP z winietami kolorowymi, zamieściliśmy satyrę polityczną, związaliśmy tematykę jeszcze ściślej ze sprawami produkcji.

Redaktor działu korespondentów wydał taką opinię: „Poziom artykułów dobry, niektóre nawet nadawałyby się do gazety, ale całość nie wygląda zachęcająco, nie ma „wyglądu“. Urządzamy właśnie wystawę gazetek — dajcie ten numer, ale z góry mówię, że nie ma on szans w porównaniu z innymi gazetkami. Spójrzcie na tę choćby, którą tu mamy na ścianie: zrobiona pięknie, nawet artystycznie“.

Dyskutowaliśmy. Mówiłem, że wygląd to rzecz drugorzędna. Że naszą gazetkę przeczytał już chyba każdy robotnik, a tę, która tu wisi na ścianie, ogląda tylko jeden redaktor. Zdaje się, że niewiele wskórałem.

Istotnie, gazetka drukarni „Książki i Wiedzy“ zginęła zupełnie na wystawie w masie pięknych plakatowych ozdób porozwieszanych na ścianach, mimo, że dałem egzemplarz odbity na papierze kredowym i ze złoconym tytułem (przez to złocenie naraziłem się maszyniście Olearskiemu, który z niesmakiem stwierdził, że współczesna sztuka drukarska nie uznaje złoceń, tłoczeń itp. „świdrygałek“). Były tam również gazetki zupełnie bez treści, tzw. „fotogazetki“, albo — typ najczęstszy — gazetki z dwoma — trzema artykułami naklejonymi na dużych arkuszach karbowanej tektury, w obwódkach z dębowych liści, z prószeniami, plastycznymi tytułami itp. Wystawa urządzona była w lokalu Zw. Zaw. Artystów-Plastyków, a w witrynach umieszczono na stalugach dwie gazetki odznaczające się barokową zdobnością. Nadawało to oczywiście swoistą tendencję całej wystawie, sugerowało, że— o t o c h o d z i. W dodatku, do „mojej“ gazetki nie doczepiono transparenciku, który specjalnie na ten cel zrobiłem i do którego przywiązywałem wielką wagę: „Naszą gazetkę d r u k u j e m y w nakładzie 100 egzemplarzy“. Organizatorzy tłumaczyli mi, że gdzieś się im zawieruszyła.

Oglądaliśmy z tow. Nestem wystawę i mieliśmy uczucie, że zrobiliśmy coś niewłaściwego. Byłem rozgoryczony. Pragnąłem sukcesów dla gazetki i czułem, że spotka mnie zawód.

Na wystawę przychodziłem trzy razy i przysłuchiwałem się, co mówią zwiedzający. Koło naszej gazetki zatrzymywali się nieliczni. W konkursie - plebiscycie oddawano głosy za „plakatami“. Ale za to napotkałem kilka ciekawych wypowiedzi, w księdze specjalnie do tego celu przeznaczonej, pokrywających się z moim spostrzeżeniami. Przepisałem sobie dwie:

1) „Zatracona jest zupełnie granica między gazetką ścienną a plakatem. Niektóre z wystawionych gazetek są tylko wyrazem czyichś uzdolnień graficznych, a nie źródłem informacji, co jest przecież celem. Gazetka ścienna — to nie efekt dekoracyjny“.

11.IV.50. Nauczycielka
(podpis nieczytelny)

2) „Wykonanie gazetek pod względme graficznym b. dobre, tylko bardzo wątpliwe, aby nad wykonaniem graficznym pracowało kolegium redakcyjne, a wygląda to raczej tak, jakby opracowywali (!) to osoby b. uzdolnione [. . .], b. wątpliwa identyczność niekturych (!) gazetek czy żeczywiście (!) były całkowicie wykonane w danych zakładach“.

(bez daty, podpis nieczytelny)

Na odprawie korespondentów i redaktorów gazetek ściennych, zwołanej przez „Głos“ po wystawie, powtórzyłem głośno wszystkie moje zastrzeżenia i zarzuty. Wywiązała się dyskusja i natrafiłem na zrozumienie u redaktora „Głosu“. Okazuje się, że wystawa ta była przełomowa. „Głos“ zapowiedział, że przerost formy gazetek ściennych bynajmniej nie zasługuje na pochwałę — został przez redakcję zaobserwowany i będzie przez nią zwalczany.

W konkursie - plebiscycie nie otrzymaliśmy żadnego wyróżnienia, redakcja „Głosu“ przyznała nam jednak piękną książkową nagrodę.

Zdobyłem już pewność, że jesteśmy na właściwej drodze.

„SEN REDAKTORA“

Na jednej z wystaw „Głosu“ widziałem w jakiejś gazetce karykaturę zatytułowaną „Sen redaktora“. Rysunek przedstawia gromadę ludzi cisnących się do redaktora gazetki, z kartkami w rękach. Na kartkach napisano: a r t y k u ł. Karykatura ta, której treść w różnych odmianach miałem możność w różnych gazetkach napotkać, odzwierciedla podstawowy mankament naszych fabrycznych gazetek: może by i były lepsze, o treści bardziej różnorodnej — cóż, kiedy, gdy przyjdzie złożyć numer, nie ma z czego wybrać, pozostaje tylko śnić, że ludzie przyniosą.

U nas brak materiału likwidowała, zdawałoby się, opisana wyżej struktura zespołu redakcyjnego. Zdarzało się jednak, że nie można było sklecić porządnego numeru. Po prostu zespół nie działał, jak należy.

W jednym z pierwszych numerów — pamiętam — umieściłem inserat, nieco po amerykańsku zredagowany:

„— Czy do gazetki powinien pisać redaktor?

Nie.

— Czy do gazetki mają pisać członkowie komitetu redakcyjnego?

Owszem, ale nie tylko. Do gazetki powinieneś pisać Ty i Twoja koleżanka, i Twój kolega. Powinniście pisać Wy wszyscy, którzy czytacie te słowa. W a s z y m interesom służy gazetka, czeka na W a s z e wypowiedzi“.

Oczywiście, trudno przypuszczać, aby taki apel miał nam przysporzyć materiałów. Przytaczam go, bo krótko streszcza nasze postulaty: gazetka ścienna winna być trybuną robotników, a nie terenem popisów niewyżytych talentów, domorosłych „literatów“ itd.

Brak materiałów na razie niepokoił, później denerwował, aż w końcu spowodował poważne zahamowanie w pracy nad gazetką. Spostrzegłem (nieco za późno), że winę za to ponoszę ja sam — nie załoga i nawet nie zespół redakcyjny. Po prostu zapomniałem o konieczności przestrzegania owej „czwartej zasady“ — kolegialnego działania. Gdy bowiem na zebrania redakcyjne zaczęło przychodzić coraz mniej osób, gdy doszło do tego, że zjawiło się tylko trzech członków zespołu, przyszło mi do głowy, że trzeba machnąć ręką na całe prześwietne kolegium i „robić“ gazetkę samemu, najwyżej w oparciu o dwóch — trzech najbardziej aktywnych jej współpracowników. Zaniechałem zwoływania zebrań. W chwilach wolnych od zajęć zawodowych zaczepiałem ludzi, podsuwałem im tematy, nagabywałem. I jakoś szło. Pchałem do gazetki materiały statystyczne, informacyjne, wykorzystywałem co się dało, sam pisałem połowę artykułów— i gazetka wychodziła, co prawda z opóźnieniami, a nawet raz z jednomiesięczną przerwą. Jednocześnie jednak wyraźnie odczuwałem brak kontaktu z załogą i brak kolegium— mechanizmu łączącego gazetkę z ludźmi od produkcji. Tak więc ziściła się gorzka treść karykatury „sen redaktora“.

NA EGZEKUTYWIE PARTYJNEJ

Okazało się jednak, że nie łatwo dziś w fabryce trwale źle pełnić funkcje społeczne. Przekonałem się wkrótce, że stan, który uważałem za normalny, był w zasięgu bacznej obserwacji egzekutywy partyjnej i rady zakładowej.

Właściwie drobiazg spowodował, że został ujawniony mój niewłaściwy styl pracy.

W numerze 7 chciałem umieścić artykulik o szkoleniu zawodowym na naszym terenie. Zebrałem informacje i sam napisałem pół-artykuł, pół-felieton. Był to już ostatni materiał do numeru i złożyłem rękopis do zecerni nikogo się nie radząc, czy jest dobry, i z nikim już nie uzgadniając podanych w nim faktów.

Jeden z zecerów — tow. N[illegible] zresztą członek komitetu redakcyjnego — dostał do rąk ten artyk[illegible] i uważając, że zawiera nieścisło[illegible] oraz że zbyt słabo podkreśla str[illegible] polityczną zagadnienia, uzgadnia[illegible] sekretarzem podstawowej organi[illegible] cji, że artykuł w tym stanie nie n[illegible] że iść i że temat szkolenia k[illegible] z uwagi na uchwały V Plen[illegible] PZPR powinien być w gazec[illegible] oświetlony przez samego sekretar[illegible]

Przychodząc nazajutrz do pra[illegible] dowiaduję się od Nesta, że mój [illegible] tykuł jest odrzucony i że zamó[illegible] nowy. Następują wydarzenia ty[illegible] we: urażony, że zrobiono to wszy[illegible] ko beze mnie, unoszę się, protes[illegible] ję — i dochodzi do rozstrzygnię[illegible] sprawy przez egzekutywę organi[illegible] cji podstawowej.

Poproszono nas obu o pozostan[illegible] po naradzie produkcyjnej aktyw[illegible] Na ścianie wiszą dawne sztanda[illegible] PPR i PPS, stół zasłany czerwon[illegible] płótnem, twarze obecnych skupio[illegible] i poważne. Nie radzę wam dopuś[illegible] się przekroczeń, z których będzi[illegible] cie się tłumaczyć przed egzekutyw[illegible] I nie radzę wam zachować wte[illegible] takiej postawy, jaką ja przyjąłe[illegible] co oni chcą ode mnie? — robię, j[illegible] umiem, staram się i jeszcze [illegible] wtrącają.

Towarzysz Nest występuje z kr[illegible] tyką gazetki. Krytyka jest mocna [illegible] wytyka samowolność redaktora [illegible] typowaniu tematów, w kwalifik[illegible] waniu materiału. Mówi, że gazet[illegible] jest właściwie dziełem jednego cz[illegible] wieka i nie spełnia, a nawet [illegible] może spełniać swej roli. Że nie [illegible] od pewnego czasu zebrań redakcy[illegible] nych, że redaktor nie dopuszc[illegible] krytyki, jak np.. w wypadku osta[illegible] niego artykułu o szkoleniu kadr.

Rozwija się dyskusja, w któ[illegible] padają głosy za inną i przeciw mn[illegible] Słyszę zarzuty: — Dlaczego [illegible] wciągnąłem do aktywniejszej pra[illegible] powierzonej mi grupy? Dlacze[illegible] przedstawiam do zatwierdzenia g[illegible] zetkę już w tym stanie, że jakiek[illegible] wiek zmiany spowodowałyby zna[illegible] ne trudności techniczne ?

Gromadzę w myśli swoje arg[illegible] menty i występuję z adwokack[illegible] obroną, opierającą się na czysto [illegible] malnych przesłankach: — Nikt n[illegible] chce się gazetką zająć naprawd[illegible] Trzeba się samemu starać o ma[illegible] riały, trzeba samemu pisać. A g[illegible] się już napisze, znajdą się malko[illegible] tenci, którym się to i owo nie p[illegible] doba, którzy by chcieli jakoś in[illegible] czej. Mówię, że inne redakcje ró[illegible] nież nie pracują zbiorowo, jeśli m[illegible] ją tak ospały aktyw, jakim ja r[illegible] porządzam.

Nie mogę powiedzieć ,abym sa[illegible] się czuł przekonany swoimi argu[illegible] mentami. W miarę tego, jak mów[illegible] łem, rosło we mnie zniechęcen[illegible] i to chyba spowodowało, że na z[illegible] kończenie oświadczyłem: — Je[illegible] robię źle, niech robi kto inny. Pr[illegible] szę bardzo, dlaczego towarzy[illegible] Nest nie ma być redaktorem, sko[illegible] tak łatwo wynajduje braki w gaze[illegible] ce?

Tłumaczono mi, na czym pole[illegible] błąd mojej postawy. Przekonywa[illegible] mnie, że nie wolno generalnie z[illegible] przepaścić sprawy. skoro tylko [illegible] den jej szczegół jest niewłaściw[illegible] Że raczej należy obiektywn[illegible] stwierdzić istnienie tego szczegó[illegible] i postarać się go naprostować. S[illegible] nęło na tym, że moja rezygnacją [illegible] nie została przyjęta i że w num[illegible] rze ósmym w miejsce mojego ar[illegible] kułu pójdzie artykuł sekretar[illegible] Ustalono również, że na przyszłe w[illegible] będę przedkładał egzekutywie [illegible] kwalifikowane materiały w ręk[illegible] pisach, a nie po złamaniu nume[illegible] jak to czyniłem dotychczas.

PO PRZEŁOMIE

Bądź, co bądź jestem członkie[illegible] partii. Wiem, że krytykować wol[illegible] każdego, i wiem, że obowiązuje d[illegible] scyplina partyjna, która pozwa[illegible] walczyć o przyjęcie słuszności czy[illegible] gość stanowiska, ale która nakazu[illegible] podporządkowanie się jednost[illegible] uchwałom większości. Sądzę zres[illegible] tą, że nie tylko zdyscyplinowan[illegible] ale również pewien niesmak, ja[illegible] odczuwałem do siebie po egzeku[illegible] wie, spowodowały, że wkrótce z[illegible] czałem brak samokrytyki na posi[illegible] dzeniu naprawiać w konkretn[illegible] działalności.

Najpierw ustaliłem z sekretarze[illegible] organizacji podstawowej pew[illegible] zmiany w składzie kolegium reda[illegible] cyjnego. Następnie przemyślałe[illegible] jakimi metodami dojść do lepszy[illegible] wyników. I myślę, że te wyniki z[illegible] stały osiągnięte.

Na następnym zebraniu redakcy[illegible] nym był komplet. Zacząłem od w[illegible] tknięcia własnych błędów i omówi[illegible] nia braków poprzednich gazet[illegible] Omawialiśmy to wspólnie. Naste[illegible] nie omówiłem ogólne zarysy nast[illegible] nego numeru gazetki i podałe[illegible] szczegółowy plan artykułów, któ[illegible] powinny się w nim znaleźć. W w[illegible] typowaniu tematów pomogły mi i[illegible] strukcje redakcji „Głosu Robotn[illegible] czego“ udzielone korespondento[illegible] tego pisma i narady techniczne dr[illegible] karni, na których omawiane [illegible] braki i plany przez szeroki akty[illegible] fabryczny.

W wyniku dyskusji odrzuciliśm[illegible] dwa tematy, a dodaliśmy jeszc[illegible] jeden nie wymieniony przeze mn[illegible]

---

zostało wypowiedziane i tylko wypowiedziane. A przecież, by uzmysłowić widzowi kinowemu, że Partia czuwała i organizowała dalszą walkę, wystarczył tylko strzęp tego samego przemówienia, widziany przez szczelinę w murze, boć przemówienie to zdublowały następnie fakty, mocniejsze od słów. Rzecz, rozwiązana w teatrze na piątkę, stała się jednym z najsłabszych fragmentów dobrego filmu.

Jeśli tyle zastrzeżeń wysunąłem przeciw utworowi s c e n i c z n e m u, to jak ma się sprawa z utworem l i t e r a c k i m?

Przede wszystkim odpadają wszystkie zasadnicze zastrzeżenia, podniesione powyżej. Muszę się zastrzec: istnieją powieści i istnieją pisarze wybitnie nie filmowi. Przełożenie na ekran dzieła takiego literata może być uciążliwsze i dać rezultaty smutniejsze, niż przełożenie szczególnie łatwej do adaptacji sztuki teatralnej. Ale wyjątki takie, w guście jakiegoś Prousta, jakiegoś Gombrowicza, (proszę mi wybaczyć, że wymawiam te nazwiska jednym tchem) — wyjątki takie potwierdzają regułę.

Dobra, realistyczna powieść zawiera wszystkie, albo prawie wszystkie elementy dobrego scenariusza: narrację obrazami, demonstrowanie jednostek w działaniu, dynamiczność sytuacji, ruchliwość tła, szeroki oddech pleneru, swobodę w montowaniu faktów. Nie krępują jej natomiast żadne sztuczne konwencje, dopuszczalne w jednej ze sztuk, ale nie wyrażalne w języku innej sztuki.

Zestawmy takie np. filmy radzieckie, jak „Harry Smith odkrywa Amerykę“, „Sąd honorowy“, „One mają ojczyznę“, czy „Spisek bankrutów“, a więc filmy oparte na adaptowanych dla kina sztukach scenicznych, z filmami takimi, jak „Czapajew“, „Rodzina Artamonowych“, „Piotr I“, „Opowieść o prawdziwym człowieku“, czy „Młoda Gwardia“, których źródłem są dzieła literackie. Zestawienie wcale nie stronnicze, zestawiam bowiem dla obu grup dzieła najbardziej reprezentatywne. Cóż się okazuje? Nie tylko walory artystyczne, ale i tezy ideowe grupy „literackiej“ są znacznie sugestywniejsze, gdyż rozwinięto je środkami lepiej pasującymi do kinematografii. Wobec j e d n o ś c i t r e ś c i i f o r m y każdego z dojrzałych dzieł realizmu socjalistycznego założyć trzeba, iż przy jednako słusznych przesłankach ideologicznych dwóch różnych filmów s i l n i e j s z e b ę d z i e o d d z i a ł y w a n i e p r z e d s t a w i c i e l a g r u p y „l i t e r a c k i e j“.

Weźmy tak reprezentatywne dzieło postępowej sztuki filmowej zachodu, tak niesłychanie prości w fabule „Złodzieje rowerów“. Czy ów bardzo filmowy pomysł mógł był skonkretyzować się w formie sztuki teatralnej? Nie, nie mógł.

Jeszcze raz powtarzam: nie ustaliliśmy absolutnych praw, wykrywaliśmy jedynie tendencje. Z rezultatami tej działalności stosunkowo łatwo polemizować i odmówić im wartości przytoczeniem jakiegoś sugestywnego tytułu. Akcja taka będzie jednak tylko relatywizowaniem wykrytych tendencji, niczym więcej. Już bowiem powoływanie się na film „teatralny“ o pomyśle s z c z e g ó l n i e starannie przerobionym przez scenarzystę, czy film o s z c z e g ó l n i e a k t u a l n e j treści może w danej sytuacji podważyć słuszność naszych rozważań. To też pamiętajmy stale o zasadzie c e t e r i s p a r i b u s: adaptacje „literackie“ górować będą nad „teatralnymi“ gdy będzie mowa o utworach podobnej rangi artystycznej i podobnego ciężaru gatunkowego.

Uważam za konieczne odpowiedzieć tylko jednego rodzaju polemistom: tym, którzy wskazując na ogromne powodzenie sfilmowanego „Hamleta“ rzucą pytanie: a co z klasykami? Odpowiadam: klasyków teatru należy przenosić na ekran, gdyż, jak się okazuje, film w wielu wypadkach lepiej ukazuje dzisiejszemu widzowi ich nieprzemijające wartości, niż scena.

W tym świetle ryzykowne wydaje mi się zdanie Romana Szydłowskiego, wyrażone niegdyś w jego artykule „W poszukiwaniu scenariusza filmowego“ (Film, nr. 77): *„Trzeba nakręcić najwybitniejsze dzieła polskiej sztuki teatralnej, włączając w to również najlepsze sztuki współczesne“.*

Bowiem o ile zły film bywa często bliski złemu teatrowi, o tyle film dobry jest z natury rzeczy bliski dobrej literaturze.

Scenarzyści — baczniejsza uwaga na polską prozę!

Jerzy Płażewski

Poszła w obieg lista ze spisem te-
natów. Każdy z członków komitetu
niał obowiązek wybrać dwa z nich,
rzy czym on sam mógł opracować
ylko jeden, a następny winien był
yć napisany przez kogoś spoza re-
Ntakcji. Wszystkie wątpliwości i
kcmyśl przewodnia każdego z artyku-
tyów zostały omówione na zebraniu.
sio ustaleniu terminu składania rę-
tr opisów, terminu ukazania się na-
niątpnego numeru i następnego ze-
ni rania, rozeszliśmy się. Do opusz-
nonego przez nas pokoju przy
kwietlicy wchodziła właśnie inna
entrupa: zespół kółka dramatyczne-
zeło.

tar Wyjście nowego numeru naszej
or brycznej gazetki ściennej zbiegło
ój ię z 33 rocznicą Rewolucji Paź-
nó ziernikowej. Część polityczna za-
tyf arta jest w wyodrębnionym bloku
zyf a czołowym miejscu i zawiera:
es ortrety Józefa Stalina i Bolesława
nię leruta, ujęte złotym ornamentem
ni urowym zakończonym od góry
erwoną pięcioramienną gwiazdą;
ój artykuł o znaczeniu Rewolucji
aździernikowej; artykuł Z. Olczy-
a, linotypisty, pt. „ZSRR ostoją po-
ju"; informacje o zobowiązaniach
aździernikowych naszej załogi
o ich wykonaniu; kącik Towarzy-
wa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej
ówiący o rozwoju Koła i o pla-
ach w związku z Miesiącem Pogłę-
enia Przyjaźni ze Związkiem Ra-
zieckim, cytaty Lenina, Stalina
Marchlewskiego na temat Rewolu-
ji, wyodrębnione w ramkach i sy-
etrycznie wiążące całość.

Część produkcyjną rozpoczyna ar-
kuł członka egzekutywy, J. Cze-
ielipskiego, korektora, o przeszko-
ch, na jakie napotykają racjona-
atorzy w naszym zakładzie. Da-
idą: J. Wilmańskiej, lektorki
niewłaściwym zaplanowaniu ur-
pów w bieżącym roku; przewod-
czącego Koła ZMP, J. Chorążaka,
projektach ożywienia życia świe-
icowego; linotypisty Ch. Nesta ar-
kuł o niepełnym wykorzystaniu
arku maszynowego; St. Kasper-
kiego, przewodniczącego Rady Za-
adowej, omawiający zły stan dy-
cypliny pracy; Komisja Współza-
odnictwo Pracy o tym, dlaczego
ie zdobyliśmy Proporca Przechod-
iego w poprzednim kwartale; St.
alickiego o oszczędnościach uzy-
anych przy remoncie pomieszcze-
a dla chemigrafii i tego samego
utora artykuł o przedszkolu.

W numerze jest poza tym kącik
MP, nota o organizacji przemysłu
oligraficznego w Planie Sześciolet-
m, kronika wydarzeń z życia za-
adu, powitanie Zjazdu Zw. Zaw.
ac. Przemysłu Poligraficznego.
owy tytuł gazetki brzmi: WALKA
PLAN — WALKA O POKÓJ.
o zapasu poszły trzy szpalty ma-
riału, który się nie zmieścił.
Nowy numer naszej fabrycznej
azetki ściennej ma dla mnie oso-
iście spore znaczenie — ukazanie
rgię go pomogło mi w przełamaniu
ompleksu inteligenta.

Zygmunt Stolarski

WŚRÓD CZASOPISM

„Pamiętnik Literacki" — czasopismo poświęcone historii i krytyce literatury polskiej — po reorganizacji zespołu redakcyjnego i przejęciu kwartalnika przez Instytut Badań Literackich i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza — w swych dotąd wydanych numerach (rocznik XLI, zeszyty pierwszy i drugi) starał się przezwyciężyć wszystkie grzechy i przewiny „tradycyjnej" polonistyki. Zawartość ich mówi nam jasno, iż źródło odrodzenia naukowego naszej polonistyki leży w metodologii marksistowskiej. Narastanie ciężaru gatunkowego dorobku literaturoznawstwa marksistowskiego — którego pierwsze wyniki i osiągnięcia podsumowano na Ogólnokrajowym Zjeździe Polonistów wskazują na to, iż nasza odrodzono polonistyka przedstawi Kongresowi Nauki prace, w których przeniesione zostaną podstawowe tezy materializmu dziejowego na grunt historii literatury polskiej. Przemawia za tym m. in. fakt, że postępowa polonistyka może się pochlubić poważną kadrą młodych badaczy. Praca jednego z nich (Jerzego Ziomka o Krasickim) zamieszczona w numerze drugim „Pamiętnika" jest dobitnym dowodem, iż kadra ta — nieustannie pogłębiając swą wiedzę — aktywnie pomoże starszym badaczom w pracy, której wyniki przedstawić musimy na Kongresie Nauki Polskiej. Prace, które czytamy w „Pamiętniku Literackim", w większości pisane z myślą o tym doniosłym momencie, pozwalają wnosić, iż nasza kadra polonistyczna sprosta zadaniu jakie przed nią stoi. Trzeba jednak nieustannie zdawać sobie sprawę z tego, iż nowa, postępowa nauka o literaturze rodzi się w ostrej i bezkompromisowej walce z literaturoznawstwem burżuazyjnym. Sprawie tej poświęca **Stefan Żółkiewski** rozprawę **„O literaturoznawstwie burżuazyjnym epoki imperializmu w Polsce"**. „Epoka imperializmu w dziedzinie nauk humanistycznych — stwierdza autor — przynosi załamanie się pozytywistycznej syntezy kulturologicznej. Na terenie burżuazyjnej metodologii nauk humanistycznych rozwija się u schyłku XIX w. ostra walka o stworzenie antypozytywistycznej syntezy kulturologicznej, antypozytywistycznej metodologii humanistyki. Wiąże się ta walka z nazwiskami Rickerta, Diltheya, Husserla. Ten zamiar stworzenia nowej, właściwej imperializmowi, syntezy nie został uwieńczony powodzeniem. Nie powstała taka synteza, nie powstał taki system metodologii. Burżuazji nie stać było na taki wysiłek". — „Hasło reformy humanistyki, hasło jej „unaukowienia", w epoce imperializmu było w obozie burżuazyjnym maską istotnej tendencji ucieczki od nauki i uchylenia się od zasadniczej dyskusji z marksizmem"... Ta swoista „reforma" humanistyki potoczyła się dwoma drogami: jedna z nich została utorowana przez Diltheya i kierunki pokrewne, druga przez konwencjonalistów. Zasadniczą cechą drogi Diltheya było nawiązanie do idealizmu obiektywnego, było podjęcie wprost dyskusji ontologicznej, było uzasadnienie istnienia odrębnej sfery duchowej. Cechą istotną drogi konwencjonalistów było nawiązanie do idealizmu, subiektywnego, odrzucenie dyskusji ontologicznych jako pozanaukowych, próba uzasadnienia odrębności humanistyki na gruncie odrębności i swoistości metod naukowych.

Jak jednak słusznie zauważa Żółkiewski: „dyskusja nad unaukowieniem wiedzy o literaturze to dyskusja merytoryczna nad całością przeciwstawnych poglądów naukowych na świat: materialistycznego i idealistycznego, aż do ich najbardziej szczegółowych literaturoznawczych konsekwencyj. Reforma humanistyki dokonać się może na gruncie świadomego przyjęcia poprawnej teorii rzeczywistości i kultury: materializmu dialektycznego i historycznego. Marksistowska polemika z fałszami nauki idealistycznej i jej metodologią jest drogą reformy humanistyki". Żółkiewski wykazuje dalej, iż literatura nie jest ani wyrazem struktury duchowej osobowości pisarza, jak chcieli diltheyiści, ani też nie jest swoistą strukturą artystyczną, jak chcieli formaliści. Literaturoznawstwo burżuazyjne stawało bezradne wobec najistotniejszych problemów, domagających się wyjaśnienia. Nie potrafiło ono wyjaśnić np. dlaczego symbolizm w Polsce zjawił się w trzydziestej lat później, aniżeli we Francji, dlaczego przez te trzydzieści lat nie zauważono u nas Baudelaire'a, a widziano współczesnego młodszego odeń Zolę. Dopiero „teoria marksistowska — stwierdza autor — ukazuje nam mechanizm przemian ideologicznych. Odpowiada na kolejne pytania „dlaczego", na które agnostycyzm strukturalistów nie daje odpowiedzi, zadowalając się mitologicznym krążeniem „formacji stylistycznych". A umie odpowiedzieć na pytanie „dlaczego", stawiane przez teorię dynamitu literatury, gdyż umie odpowiedzieć na pytanie „co znaczy" dany fakt literacki. Umie fakty literackie interpretować jako fakty ideologiczne, jako przejawy dążeń konkretnych, historycznych, klasowo zróżnicowanych ludzi, dążeń, które można obiektywnie ustalać".

Jakie wnioski wyciąga Żółkiewski ze swych nadzwyczaj ciekawych i istotnych rozważań? 1) to konieczność przewartościowania panującego systemu ocen literackich; 2) to stworzenie nowej, postępowej nauki o literaturze. „Każdy może jąć się tej pracy. Marksizm nie odtrąca żadnych zainteresowań, równa uprawnienia, różne zakresy problematyki, dostarcza natomiast istotnie naukowych założeń metodologicznych i zwalcza zawsze obcy nauce eklektyzm metodologiczny. Stworzenie zaś ogólnokrajowego planu badań pozwoli włączyć do celowej pracy wszystkie zainteresowania. Poza tym planem muszą zostać po prostu nie uczeni, a ideolodzy wstecznictwa w maskach historyków literatury". Rozprawę Żółkiewskiego zreferowaliśmy szerzej, ponieważ, ze względu na swą problematykę i jej ujęcie, powinna ona zainteresować nie tylko specjalistów. Również następna rozprawa tegoż autora **„Na marginesie Zjazdu Polonistów"**, zamieszczona w drugim zeszycie „Pamiętnika", zasługuje na baczną uwagę. Żółkiewski, w uwagach z konieczności jeszcze szkicowych i niepełnych, stara się tutaj o zarysowanie dwóch kwestii dla historii literatury polskiej podstawowych, a mianowicie chodzi mu o wydobycie polskiej postępowej tradycji literackiej i ustalenie zasad naukowej periodyzacji historii literatury polskiej.

W ramach szczupłej objętościowo rubryki tygodniowego pisma niesposób, chociażby pobieżnie, omówić treść dwóch solidnych numerów „Pamiętnika Literackiego" liczących przeszło sześćset stron druku, trudno nawet wyliczyć wszystkie zawarte w nich pozycje. Z konieczności więc ograniczamy się do syntetycznego omówienia najciekawszych i najbardziej nowatorskich pozycji, czytelnika zaś zainteresowanego poruszonymi zagadnieniami odesłać trzeba do lektury samych artykułów. Omówienie może co najwyżej sygnalizować, budzić zainteresowanie, wskazywać na problemy, które interesują wielu, a których nie wszyscy mają czas i ochotę szukać na ślepo w opasłych zeszytach miesięczników czy kwartalników. **Kazmierz Wyka** zajmuje się mało znanym dramatem Słowackiego, pt. **„Agezylausz"**, napisanym najprawdopodobniej pod koniec 1844 r. **(„Dramat o kontrrewolucji")**. Dramat o Agezylauszu powstał w pełni mistycznego okresu twórczości poety, chociaż ma za sąsiadów „Genezis z ducha" i „Księcia Niezłomnego". Zawarty w tym dramacie szkielet problematyki rewolucyjnej był czymś wysoce osobliwym na tle okresu mistycznego w twórczości Słowackiego i dlatego zapewne dramat ten tradycyjna polonistyka pomijała milczeniem. „Agezylausz" — podkreśla Wyka — jest w rozwoju reformatorsko-rewolucyjnej ideologii Słowackiego, zastanawiającym i jedynym w twórczości przystankiem przy temacie klasycznym, obarczonym problematyką rewolucyjną. W rozwoju jego stylu jest „Agezylausz" z głębi epoki mistycznej podanym świadectwem, że intelektualistycznych i realistycznych tendencyj tego stylu nie była zdolna wygasić nawet owa epoka. Z mistycyzmu, który wyzyskał na swoją korzyść niedostatki charakteru Agaisa jako męża stanu z bystrych poprawek do Plutarcha, wcale nie idących po linii komentarza chórów, powstał dramat o kontrrewolucji, jedyny w tej mierze dramat polski, dramat jednak zasiany sprzecznościami, który jako całość ani formułą mistyczną określić się nie da, ani do dialektycznie widzianej dynamiki rewolucji i kontrrewolucji przyporządkować się — niestety — nie pozwala".

W tymże numerze zwraca uwagę rozprawa **Juliana Krzyżanowskiego** „Polskie motywy baśniowe w twórczości Juliusza Słowackiego", w której autor wykazuje, iż „wielki poeta, pomawiany tak często o arystokratyzm, był człowiekiem swej epoki i zgodnie z jej upodobaniem interesował się żywo elementami ludowymi, co więcej nawet, elementy te na równi z pomysłami, czerpanymi z rozległej lektury o zasięgu ogólnoeuropejskim, wprowadzał do swych dzieł, i to nawet dzieł najambitniejszych". W numerze następnym — oprócz sygnalizowanego już artykułu Żółkiewskiego — szczególną uwagę zwraca rozprawa **Leona Przemskiego** „Dembowski jako teoretyk literatury", będącą rozdziałem z monografii o Dembowskim, przygotowanej przez autora dla Instytutu Badań Literackich. Skromny ilościowo, ale ważny jakościowo i konsekwentnie przepojony rewolucyjnym poglądem — dorobek, jednej z najpiękniejszych postaci naszych ruchów rewolucyjnych pierwszej połowy XIX w., domaga się wyciągnięcia na światło dzienne. „Pozostanie na zawsze wielką zasługą Dembowskiego — stwierdza Przemski — że poza doraźnymi zdobyczami pozytywnymi, osiągniętymi przezeń w walce z reakcyjnymi poglądami literackimi, potrafił postawić przed literaturą polską wielki cel: służbę społeczeństwu i walkę o postęp, i to w chwili, gdy groził jej zastój i ugrzęźnięcie w jałowym mistycyzmie, w chwili, gdy poglądy estetyczne Hegla groziły całej literaturze europejskiej — a także i polskiej — utknięciem w ślepym zaułku (...) Jeśli Dembowski mimo to nie wywarł na literaturę polską i polską myśl krytyczną tego wpływu, jaki mógł i powinien był wywrzeć, jest to wina nauki burżuazyjnej. Rozprawy jego pozostały rozproszone po rozmaitych miesięcznikach, tygodnikach, czasopismach. Zaniedbania te musimy dziś odrobić. Będzie to nie tylko spełnienie obowiązku wobec wielkiego rewolucjonisty i patrioty. Dorobek teoretyczno-literacki Edwarda Dembowskiego zawiera cenne pozycje, które dziś jeszcze mogą i powinny poważnie wzbogacić naszą nową literaturę".

Z innych rozpraw uwagę zwracają: **Jerzego Ziomka** o „Ignacego Krasickiego „Historii na dwie księgi podzielonej", której daje ciekawy zarys ideologicznej drogi rozwojowej i regresyjnej księcia Biskupa, i **Wacława Kubackiego** o „Dramacie romantycznym". Jeżeli zaś wziąć pod uwagę całokształt zawartości obu numerów, warto wspomnieć o ciekawej recenzji **Henryka Markiewicza** z prac o pozytywiźmie, ogłoszonych w latach 1946—1949; oraz o listach Andrzeja Niemojewskiego do Ludwika Gumplowicza z okresu „Legend" i przekładu „Życia Jezusa" Renana, będących cennym przyczynkiem do dziejów polskiej myśli racjonalistycznej i postępowej.

gbl

Spotkanie nad Wisłą

(dokończenie ze str. 2-ej)

się po „persku", a w najgorszym wypadku za pomocą gestów; to za pomocą palców, zręcznych i wydłużonych młody Koreańczyk sprawił, że odżyła przed nami walka dokerów francuskich: gest podnoszenia towarów, ustawianie karabinów maszynowych — a potem skrzyżowane ramiona.

O świcie nauczyliśmy się pierwszego polskiego słowa. Pociąg zatrzymał się, dźwięki orkiestry zagłuszyły dyszenie lokomotywy, a na peronie dworca zobaczyliśmy morze wzniesionych ku nam twarzy dzieci, trzymających gołębie. Małe chorągiewki tańczyły im w rękach, a świeże głosiki skandowały: „Pokój! Pokój! Pokój!" Nie było trzeba tłumacza, aby to zrozumieć.

W ten sposób przebyliśmy Polskę, posuwając się z dworca połnego dzieci i gołębi na dworzec pełen dzieci i gołębi, jakgdyby urzeczeni tym słowem: Pokój. Przebyliśmy Polskę, które wyszła w całości na nasze spotkanie.

Noc zapadła nad Warszawą. Białe gołębie zakwitały w fałdach błękitnych chorągwi pokoju. Na niebie świetlne słowa Pokój po angielsku i po rosyjsku. Na placu Zwycięstwa ogromny transparent po francusku „Pokój zwycięży wojnę", w głębi placu czarny wylot — to ghetto. Na Marszałkowskiej robotnicy przyczepili na budującym się domu kartę: „Budujemy dla szczęścia człowieka". A na podwórzu osiedla robotniczego Muranowa, gdzie auta zawiozły delegatów, staruszka w chustce na głowie powtarzała, rozjaśniając twarz pełną zmarszczek:

— Moi drodzy... moi drodzy, patrzę na was i to silniejsze niż ja, muszę płakać.

Dlaczego płakała, wiedziała, nie szukając długich wyjaśnień. Wojna przeszła tędy druzgocąc Warszawę, w ciągu pięciu lat pokoju miasto podniosło się od nowa, a oto z drugiego końca świata przybyli mężczyźni i kobiety, aby o ten pokój walczyć, aby go strzec. Widząc ich, staruszka płakała — to było silniejsze niż ona.

Przybyliśmy z drugiego końca świata. Znaleźliśmy się w domu.

Vladimir Pozner
przekład Ewy Fiszer

KORESPONDENCJA

Jeszcze w sprawie opowiadania „Przyjaźń"

Ktoś kiedyś powiedział co do czasu ostatniej wojny było zasadą, że chłop jest do wideł i gnoju. Ja pomimo, że jestem chłopem i bynajmniej wideł i gnoju nie brzydzę się, jednocześnie stale prenumeruję od pierwszego numeru „Nową Kulturę" i w dodatku czytam ją. Tej korespondencji nie pisałbym, gdyby sam autor „Przyjaźni" nie powołał się na sąd czytelnika. Po wypowiedzi M. Sztakielskiej, „Przyjaźń" przeczytałem raz jeszcze i w zupełności podzielam zdanie Sztakielskiej. Jeżeli autor „Przyjaźni" pochwala niedopuszczenie Burka do kandydatury Partii z przyczyny, że Burek nie odniósł się gdzie trzeba z faktem, że dozorca jest wrogiem, Burek, nie partyjny, to gdzie w takim razie był Klimczak, partyjny i świadomy? Przecież niedanie górnikom wozu nie było i dla niego tajemnicą, przecież był on nie tylko przyjacielem Burka, ale jednocześnie pracował na tej samej kopalni. Klimczak to także Partia. Słusznie zatem zauważa Sztakielska, że „Przyjaźń" stawia w tym wypadku Partię w niewłaściwej pozycji.

Burek po wyjściu z zebrania partyjnego stwierdza, że Klimczak sam namawiał go do wstąpienia do Partii, gdy chciał wnieść, swoją kandydaturę. Później natomiast na skutek sprzeciwu Klimczaka, Partia Burka nie przyjęła. Zdaje mi się, że to jest najniebezpieczniejsze dla ideologii Partii: sama przyjaźń nie może być podstawą wprowadzania kogoś do Partii lub też namawiania do wstąpienia. Burek winien pozostać kandydatem do Partii, a gdy już nim nie został, Partia powinna z postępowania Klimczaka wyciągnąć odpowiednie wnioski Wiadomo przecież, że aby członek wprowadzał kandydata, musi obowiązkowo wiedzieć doskonale o przeszłości i teraźniejszości kandydata, którego wprowadza. Trzeba znać nie tylko czyny partyzanckie Burka, ale i jego obecne nastawienie. Klimczak tym się nie wykazał. Partia winna była przyjąć kandydaturę Burka, a Klimczaka przenieść z członka na kandydata.

S. Skulski

W piekle równikowej republiki

dokończenie ze str. 8-ej)

rzucają się na wykonawców roz-
azów właściciela, zabijając kilku
obotników i komisarza. Sam Don
lfonso i mr. Chapy uciekają, rzecz
jsna, samochodem do Quito. Po-
stanie uznano w kołach rządowych
akt „barbarzyński, skierowany
eciwko cywilizacji" i — jak iro-
cznie powiada Icaza — z szybko-
nacją charakterystyczną dla dobrego
undu" posłano trzystu uzbrojonych
arażycie ludzi w celu stłumienia
arduntu. Patrole wojskowe zaopatrzo-
szłe w karabiny maszynowe „zaba-
ły się" w polowanie: tropiono
ezbronnych mężczyzn, kobiety
dzieci zabijając wszystkich bez
tości. Garść Indian zamknięta
niedostępnej chacie Andrzeja
hiliquinga próbowała się bronić
oczeniem ze szczytu wzgórza ka-
ieni i strzałami ze sztucera prze-
wko... regularnemu wojsku z bro-
ą maszynową. Ale autor nie koń-
zwy swej książki pesymistycznym
czy centem. Z ust ginących Indian wy-
azu wa się okrzyk: Nucanchic huasi-
ost ungo! (Nasz huasipungo) — „od któ-
zre go jeży się włos na głowie burżu-
ran ji". Sam bowiem don Alfonso cho-
jaż otoczony policjantami „czuje
kut ieufność", nieufność jednoczącą
e z szystkich obszarników. Nie w chwi-
osi obecnej jeszcze, ale jutro. „Ci
retn rzestępcy — rozmyśla — będą się
dzili powoli, stopniowo, coraz bar-
dziej przerażający w swej jaskrawości, aż wreszcie..."

Ten końcowy akcent optymistyczny jest charakterystyczny dla wielu współczesnych pisarzy południowoamerykańskich, którzy widzą mniej lub więcej wyraźnie jasną drogę wśród mroków. Niektórzy z nich powtórzyć mogą słowa Amado zawarte we wstępie do powieści „Ziemia Burzliwa" (Terras do sem fim) pisanej w roku 1942: „Żyłem i pisałem w służbie jutra, którego zorza pojawia się już wśród nocy nad polami wschodniej Europy". Tylko bowiem jasno skrystalizowana postawa ideowa umożliwia pisarzowi zrozumienie istoty niedoli Indian schwytanych w żelazny uchwyt rodzimej, ekwadorskiej burżuazji i obszarnictwa, związanych z dominującym w tym kraju kapitałem amerykańskim. Dlatego też śmiało postawić można książkę Icaza obok najlepszych powieści Jorge'a Amado. Do pewnych jej minusów zaliczyć trzeba niektóre, brutalne naturalistyczne fragmenty — niewątpliwy wpływ „czarnej" literatury amerykańskiej. Nie harmonizują one z ogólnym wydźwiękiem realistycznej i postępowej powieści Icaza.

Przekład „Huasipungo" z oryginału hiszpańskiego pióra Tadeusza Jakubowicza staranny.

Ludwik Grzeniewski

WŚRÓD KSIĄŻEK

M. Tichonow. Opowiadania leningradzkie. Tłumaczył z rosyjskiego Kazimierz Pollak. Okładka projektował Kazimierz Podlasiecki. Ilustracje wykonał Tadeusz Olszewski. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1950. str. 125 i 3 nl.

„Opowiadania leningradzkie" Tichonowa, podobnie jak książka Wiery Inber p.t. „Oblężone miasto" (por. „Nowa Kultura" Nr 32-1950) są literackim dokumentem wojennej epopei Leningradu. Dawna stolica Rosji, będąca dziś ludnym i rozległym ośrodkiem przemysłowym, przechodziła w czasach najazdu faszystowskiego szczególne ciężkie koleje: w ciągu 30 miesięcy trwała blokada Leningradu, połączona z artyleryjskim i lotniczym — prawie nieprzerwanym — bombardowaniem miasta; jedyne połączenie z zapleczem — poprzez jezioro Ładoga — znajdowało się stale pod kontrolą i ostrzałami wroga; zamknięta w kruszących się i płonących murach ogromnego miasta ludność cywilna cierpiała głód, chłód i najokrutniejsze prywacje. Heroiczna walka wojskowych i cywilnych obrońców Leningradu z nawałą hitlerowską wymagała od wszystkich bojowników bezprzykładnego wprost męstwa, poświęcenia, zdolności wytrwania i wiary w zwycięstwo.

Opowiadania Tichonowa powstały z najbliższej i bezpośredniej obserwacji pisarza, który wespół z wielotysięczną rzeszą mieszkańców oblężonego miasta, przeżywał jego złe i dobre chwile. Patos tej tematyki jest samorodny i niewątpliwy: Toteż opowiadania leningradzkie są w swej formie raczej notatkami kronikarskimi, niż wypracowaną i wyszlifowaną beletrystyką. Ale ich prostota jest zamierzona i celowa. Mikołaj Tichonow, jeden z najwybitniejszych dziś pisarzy radzieckich, zdaje sobie sprawę, że tam, gdzie mowa o prawdziwym — powszechnym i powszednim — bohaterstwie, posługiwanie się koturnami literackości pięknostkami stylu itp. byłoby po prostu nadużyciem autorskim i uchybieniem pamięci tych, co winni być unieśmiertelnieni.

Opowiadania Tichonowa przesuwają przed oczyma czytelnika szereg postaci wojskowych i cywilnych obrońców „niepokonanego miasta"— Leningradu. Są wśród nich starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, ludzie najrozmaitszych zawodów i różnej kondycji społecznej. Wszyscy przecież tworzą jedną zwartą gromadę, niemal jedną rodzinę, która za wszelką cenę i wszelkimi sposobami wśród pożarów i ruin, poprzez krew i mękę — broni przed podłym wrogiem swego pięknego miasta, jako nieodłącznej i ważnej cząstki wielkiej radzieckiej ojczyzny.

Niejedno z opowiadań Tichonowa odznacza się autentyczną, sugestywną grozą, niejedno wzrusza do głębi, wstrząsa świadomością i uczuciem czytelnika. Wszystkie zaś, razem wzięte, budzą optymizm i radosną dumę: patrzcie, oto na jakie wyżyny męstwa i odporności moralnej potrafi wznieść się człowiek społeczności socjalistycznej, natchniony i kierowany miłością ojczyzny i wolności, poczuciem słusznego i nieodwracalnego obowiązku, wiernością dla Partii — przewodniczki i jej Wielkiego Wodza.

b. d.

Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały PPK-RUCH

KSIĄŻKI NADESŁANE

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH

Edward Fiszer. Wiersze. (Arkusz Poetycki). Warszawa, 1950; str. 15,1 nl.
Jan Koprowski. Wiersze. (Arkusz Poetycki). Warszawa, 1950; str. 15,1 nl.

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Maksym Gorki. Wybór artykułów publicystycznych. Przełożyła **Zofia Kwiecińska.** Wstępem opatrzyła **Jadwiga Siekierska.** Warszawa, 1950; str. 415,3 nl.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

500 at malarstwa polskiego. Warszawa, 1950; str. LXXVIII, 2 nl, 196,4 nl.

„CZYTELNIK"

Jan Potocki, Rękopis znaleziony w Saragossie. Tom I, II, III, Warszawa, 1950; str. t. I: 313,3 nl; t. II: 253.3 nl; t. III: 268,4 nl.
Andreas Kedras. Odeon. Tłumaczyła z francuskiego **Danuta Wojtygowa.** Warszawa, 1950; str. 193,3 nl.
Lőrinc Kovai. Ziemia... chleb... wolność. Tłumaczył z języka węgierskiego **Adam Bahdaj.** Warszawa, 1950; str. 393,1 nl.
Aleksander Popowski. W imię człowieka. Przełożył z rosyjskiego **Zygmunt Robakiewicz.** Warszawa, 1950; str. 97,1 nl.
P. Bażow. Kamienny kwiat. Z języka rosyjskiego tłumaczyła **W. Założyna.** Warszawa, 1950; str. 129, 1 nl.
A. Mickiewicz. Golono, strzyżono i inne utwory Warszawa, 1950; str. 68,4 nl.
I. Riabokłacz. Maksym z kołchozu „Zorza". Tłumaczył z rosyjskiego **Ryszard Rodwiłowicz.** Warszawa, 1950; str. 207,1 nl.
Aleksander Popowski. Na pograniczu życia i śmierci. Przełożył z rosyjskiego **Zygmunt Stefański.** Warszawa, 1950; str. 125,3 nl.
F. T. Konstantinow. Bułgaria na drodze do socjalizmu. Tłumaczył z rosyjskiego **A. Neymann.** Warszawa, 1950; str. 267, 1 nl.
Alme Cesaire. Rozprawa z kolonializmem. Tłumaczyła z francuskiego **Zofia Jaremko-Żytyńska.** Warszawa, 1950; str. 46, 2 nl.
Michael Ronze Fryderyk Joliot-Curie. Tłum. z franc. **Witold Jedlicki.** Warszawa, 1950; str. 68.
Andre Viollis. Co widziałem w Indochinach. Tłumaczyła z francuskiego **Zofia Jaremko-Żytyńska.** Warszawa, 1950; str. 215, 1 nl.
Piotr Denk — Maria Kann. Do koła. Ilustrował **Adolf Zabransky.** Warszawa, 1950; 34 knl.
Adam Mickiewicz. Dzieła. Tom V, VI, VII. Warszawa, 1950; str. t. V; 456, 2 nl. t. VI: 259, 1 nl. t. VII: 302.

POLSKIE WYDAWNICTWA GOSPODARCZE

D. I. Alenczikow. Organizacja i technika dokumentalnej rewizji przedsiębiorstwa przemysłowego. Warszawa, 1950; str. 181, 3 nl.
T. L. Michałowski i S. Szałowski. Obrót bezgotówkowy. Warszawa, 1950, str. 140.
N. N. Rowiński. Budżet państwowy ZSRR. Warszawa, 1950; str. 503, 1 nl.
W. Znojkiewicz i P. Heizelman. Polskie prawo dewizowe. Warszawa, 1950; str. 399, 1 nl.

„NASZA KSIĘGARNIA"

Oskar Wilde. Nadzwyczajna rakieta. Warszawa, 1950; str. 92, 4 nl.
Mieczysław Pęcherski. Gramatyka polska. Warszawa, 1950; str. 79, 1 nl.
A. Musatow. Drogocenne ziarno. Warszawa, 1950; str. 40.
M. Kownacka. Klocek. Warszawa, 1950; str. 13, 3 nl.
Stanisław Kalinowski i Ewa Kalinowska — Widomska. Fizyka. Warszawa, 1950; str. 40.
Janina Osińska. Jak Piotruś Malina przepłynął Odrę od Opola do Szczecina. Warszawa, 1950; str. 34, 2 nl.
Korniej Czukowski. Wszystko na opak. Warszawa, 1950; str. 15, 1 nl.
E. Czaruszyn. Jak wrona nauczyła Heniusia mówić „R". Warszawa, 1950; str. 15, 1 nl.
Jadwiga i Jan Firewiczowie. Materiałoznawstwo z chemią. Warszawa, 1950; str. 151, 1 nl.
J. Miedyński. Oświata w ZSRR. Warszawa, 1950; str. 199, 1 nl.
Korniej Czukowski. Kurczątko. Warszawa, 1950; str. 15, 1 nl.
Jadwiga Korczakowska. Na podwórku. Warszawa, 1950; str. 16.
St. Aleksandrzak. Obrazki. Warszawa, 1950; str. 14, 2 nl.
Maria Kownacka. Kwiatki Małgorzatki. Warszawa, 1950; str. 22 i 2 nl.
A. Oparin. Jak powstało życie. Warszawa, 1950; str. 31, 1 nl.
Iwan Wasilenko. Artiomka i uczniowie. Warszawa, 1950; str. 77, 3 nl.
A. Pogorelski. Bajka o Czarnej Kurze. Warszawa, 1950; str. 46, 2 nl.
Jan Brzechwa. Latający pogrzebacz. Warszawa, 1950; str. 30, 2 nl.

Ukazał się styczniowy zeszyt miesięcznika

„PAŃSTWO i PRAWO"

Z TREŚCI ZESZYTU 1/1951:

Min. Jakub Berman — O bazie i nadbudowie w świetle prac Józefa Stalina o językoznawstwie. *Dr Adam Schaff,* prof. U. W. — O niektórych zagadnieniach filozoficznych w pracach Józefa Stalina o językoznawstwie. *Mgr. W. Morawiecki i mgr. S. Widersapil* — Znaczenie prac Józefa Stalina o językoznawstwie dla nauk prawnych. *Dr Waldemar Voiss* — Andrzej Frycz Modrzewski o wojnie i pokoju.

Uchwała Prezydium Rządu dotycząca prac kodyfikacyjnych. *Dr Marian Muszkat,* rektor WSP im. T. Duracza — Dokument hańby. *Dr Zygmunt Fenichel* — Problemy radzieckiego prawa międzynarodowego prywatnego a prawo polskie. Z rezolucji Rady MZPD w Warszawie.

Z PRAC PODSEKCJI PRAWA i KONGRESU NAUKI POLSKIEJ
II Ogólnopolska konferencja historyków prawa w Poznaniu.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA:
Woprosy sowietskowo administratiwnowo prawa (rec. Wacław Brzeziński)
Hans Kelsen — The Law of the United Nations (rec. Jacek Machowski)

ORZECZNICTWO CYWILNE — ORZECZNICTWO KARNE — ORZECZNICTWO ARBITRAŻOWE — BIULETYN INFORMACYJNY WARSZAWSKIEJ RADY ADWOKACKIEJ — POLSKA BIBLIOGRAFIA PRAWNICZA.

Streszczenie w języku rosyjskim i angielskim
Skorowidze za rok 1950 (wkładki)

Cena zeszytu pojedynczego zł 3.—

do nabycia w kioskach, księgarniach oraz w prenumeracie przez P.P.K. „Ruch"
Prenumerata półroczna zł 13,50. Konto P.K.O. I-1374.

mała kronika

Wśród głosów krytycznych, które wzbudzają moje kroniki i artykuły, wśród wzruszeń ramionami i użalań się nad moim upartym marnowaniem się w publicystyce, wśród krokodylich łez z powodu niepotrzebnej harówki co tydzień, bo przecież „tego i tak nikt nie czyta", trafiają się głosy życzliwych czytelników, którzy rozumieją, że walka o pokój i plan sześcioletni jest najważniejszym tematem publicystyki i bardziej pomoże ludziom niż delektowanie się plotkami, że kolega Z. flirtuje z panią T. To też starałem się nie nadużywać „mojej" rubryki dla plotek, niesprawiedliwych żartów, macania podszewki życia literackiego. O literaturze należy mówić w kategoriach walki ideowej, a nie w kategoriach plotki. Dlatego proszę moich życzliwych czytelników, aby nie czytali niniejszej kroniki. Odchodzę bowiem od reguły; pragnę ukazać podszewkę pewnego utworu literackiego. Usprawiedliwiam się tym, że utwór ów bez ideowego i historycznego komentarza jest zupełnie niezrozumiały.

W noworocznym, 1 (493) numerze „Szpilek" (rok wydania XVII) ukazał się poemat K. I. Gałczyńskiego, znakomitego poety, pod tytułem: „Słońce i Osieł", ilustrowany przez Eryka Lipińskiego, znakomitego grafika. Treść poematu jest następująca: Głupi Osieł wgramolił się na wieżę z kości słoniowej, zamknął się w niej na dni i nocy czterdzieści, zaczął wertować księgi, aby zrozumieć, skąd się bierze śmiech. Wreszcie Osieł wymiarkował, że to przez Słońce. Strasznie rozgniewany na nie, że świeci pogodnie wśród tylu zagadnień, że dzieci się śmieją w słońcu, że siewnik pracuje w słońcu, że „robotnik żart lubi dobry", rozgniewał się i powiedziawszy: „Ja Słońce skończę" wymyślił slogan: „Myślmy i walczmy ponuro". Po czym następuje szereg inwektyw pod adresem uczonego Osła, wroga klasy robotniczej i „właściwie takiego krajowego jankesa".

Wiemy: satyra winna uderzać w konkretne osoby, fakty, instytucje, idee; ale winna także znać hierarchię tematu: ośmieszać, piętnować, biczować, demaskować najzaciętszego wroga. Uczonemu Osłowi „Szpilki" poświęciły całą kolumnę, jakby był kułactwem, agenturą imperializmu, czarnym rynkiem, biurokracją, ohydnym stylem życia. Któż to jest? — mógłby spytać zaintrygowany i podniecony czytelnik. Czy wciąż jeszcze chodzi po świecie? Zwykle pisma satyryczne umieszczają krótkie motta wyjaśniające sens fraszki czy satyry.

Robią to także „Szpilki", ale tu zapomniały. Spróbuję je wyręczyć.

To ja, skromny kronikarz, mam być tym „uczonym" Osłem. To ja zamknąłem się na „40 dni i 40 nocy" i napisałem ogromny artykuł o postępowych i wstecznych tradycjach karykatury politycznej (drukowany w „Przeglądzie Artystycznym"), w którym starałem się ocenić kierunki rozwojowe przedwojennej i powojennej karykatury polskiej na tle postępowych tendencji karykatury światowej. Nie jestem specjalistą, praca moja ma luki, ale postawiłem pewne tezy, dałem oceny, z którymi warto się zapoznać choćby dlatego, że nie ma na razie innych tez i innych ocen; byłem pierwszy, który po wojnie zajął się tym zagadnieniem. To ja „dusiłem się swoim problemem w ciemności", pisząc na zaproszenie kolegów z zarządu sekcji satyry przy Zarządzie Głównym ZLP referacik o problemach polskiej satyry powojennej. To ja postawiłem pewne tezy polityczne i artystyczne, dotyczące satyry, czyli — jak mówi poeta — wyliczałem „różne formy nasłonecznień jak znachor czyli konował" na tejże sekcji satyry, popierany przez poetę i krytyka Jana Śpiewaka. W interpretacji mistrza Konstantego, który całą dyskusję zna z plotek, teza mojego referatu brzmiała: „Co? Jak? Ja bardzo proszę się nie śmiać, bo ja nie toleruję śmiechu i słońca w wierszach i pieśniach, co niniejszym komunikuję". Natomiast prozaiczna, nie rozplotkowana, ale zapisana i wypowiedziana głośna teza referatu brzmiała, że nie można utożsamiać satyry z humorkiem politycznym, gdyż osłabia to bojowość satyry, usuwa z niej najbardziej ostre tematy walki klasowej i ideowej. Powołałem się na tradycje wielkiej, klasycznej satyry polskiej, na Reja, Kochanowskiego, Lubomirskiego, Mickiewicza Ustęp III części Dziadów, Słowackiego Grób Agamemnona, podałem przykład, że nie można napisać humoreski o spaleniu Seulu przez interwentów amerykańskich. A chłoszczącą satyrę — można. Ale jakże tu dyskutować z ludźmi, którzy na argumenty odpowiadają kalamburem: „Ty pakujesz satyrę polską w grób Agamemnona"? Dyskusja nad referatami Jana Śpiewaka i moim trwała prawie sześć godzin; redakcja „Szpilek" z moimi argumentami się zgodziła, dyskusję przełożono, Jan Szeląg obiecał napisać koreferat, zapanowała harmonia między krytykiem a twórcami satyry. Tak być powinno, (myślałem): socjalistyczny styl pracy ideowej, krytyka i samokrytyka jako dźwignie rozwoju literatury, a więc i satyry. A w trzy tygodnie później niewybredna napaść na całą kolumnę, zrozumiała tylko dla wtajemniczonych, dla snobistycznej Warszawki literackiej.

Nie pisałbym tego wszystkiego, gdyby poemat o uczonym Ośle nie potwierdzał tak bezprzykładnie jaskrawo tez tegoż „uczonego" Osła. Więc takie niewybredne porachunki osobiste — to ma być linia pisma walczącego satyrą o socjalizm? Więc to jest samokrytyczna szczerość — kiedy się raz publicznie przyznaje rację, a drugi raz — publicznie opluwa? Więc co daje taki zamaskowany atak czytelnikowi, nie orientującemu się w zagadnieniach teoretycznych satyry, a ufającemu poecie? Więc jakim prawem redakcja zamawia wiersz u Bogu ducha winnego poety? Inspiruje go? Puszcza tekst na całą kolumnę, skwapliwie go ilustruje, jakbym był kułactwem, agenturą imperializmu, czarnym rynkiem, biurokracją, ohydnym stylem życia?

Mówi się wiele o terrorze krytyki. Są skargi, że krytyka onieśmiela pisarzy, że im nie pomaga. Nie ma takiego terroru. Jest natomiast terror pewnej grupki „pisarzy". Pisarze ci najchętniej by związali krytykę, zakneblowali ją, wrzucili do rzeki, ogłuszywszy młotem na czarownice. Dopóki ataki na krytykę posługują się szeptaną propagandą i plotką — mała bieda, ale kiedy wyłażą na szpalty pism, sprawa staje się poważniejsza. Nie pozwolimy na to w imię swobody krytyki, w imię czystości obyczajów naszej literatury. Potrafiliśmy te obyczaje przełamać. Kształtowanie oblicza literatury, a więc i satyry nie jest tylko sprawą krytyków, o których każdy może mówić, co mu ślina pod pióro podrzuci. To również zadanie samych twórców. **Tadeusz Borowski**

Komentarze

Znakomity oskarżony

Arystokracja niemiecka, która odegrała wielką rolę w hitleryzmie, dostarczając przede wszystkim wysokich dostojników wojskowych dla Wehrmachtu, korzysta od pierwszej chwili wdrożenia „akcji denazyfikacyjnej" z prawa jak najszerszego immunitetu. Stopniowo nie tylko zwalnia się i uniewinnia nawet najbardziej obciążonych, ale i dopuszcza się ich do wysokich stanowisk jako „cennych fachowców". Wielkie przy tym znaczenie mają stare koligacje.

Terenem jeszcze jednego wydarzenia z tej dziedziny stało się miasto Ansbach w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Tamtejszy trybunał rozpatrzył niedawno sprawę pewnego — jak podawano w prasie — „znakomitego oskarżonego", którego nazwisko było utrzymane w tajemnicy aż do ostatnich chwil procesu.

Trybunał traktował go z pełnym respektem. Zbagatelizował fakty, że „znakomity oskarżony" od roku 1930 był członkiem hitlerowskiego sztabu generalnego, że w roku 1933 został posłem do hitlerowskiego Reichstagu i że wkrótce potem uzyskał wysokie wyróżnienie: otrzymał nominację na generała SS. Po najeździe na Francję przeszedł do służby w Gestapo i w tym charakterze wykazał swe wybitne umiejętności w Paryżu.

Sędziowie trybunału zadali oskarżonemu szereg pytań pro forma i nie omieszkali uznać go za „hitlerowca, na którym ciąży mała wina". Wyrok opiewał jedynie na grzywnę w wysokości 15.000 marek. Sędziowie orzekli również, że podsądny może „swobodnie opuścić salę sądową", co ten natychmiast uczynił. Na dworze powitali go oczekujący tłumnie przyjaciele. Wznoszono okrzyki: „Heil Hitler!", kobiety zarzuciły byłego gestapowca kwiatami.

Któż to jest? Książę Sachsen — Koburg — Gotha, wywodzący się z niemieckiej rodziny panującej, a z resztą — wnuk królowej Wiktorii.

si

Kapelusz i bomba atomowa

— Co powinieneś zrobić ,gdy ci przed nosem wybuchnie bomba atomowa?

— Skryć się za drzewo!

Takiej dosłownie i poważnie rady udzieliło swoim czytelnikom amerykańskie pismo „Life". Podobną sprawą, ale już „obszerniej i gruntowniej" zajęło się ostatnio pismo „The Outfitter" czyli „Dostawca". Bo jest jeszcze inny sposób uchronienia się przed złymi skutkami, gdy ci przed nosem wybuchnie bomba atomowa. „Dostawca" jest na tyle uspołeczniony, że z miejsca zdradza swój sekret.

„Noszenie kapelusza — pisze — jest rzeczą bezwzględnie konieczną. Nakrycie głowy chroni nas przed promieniowaniem bomby i zapobiega wchłanianiu emancji radioaktywnej przez włosy. W pewnej mierze kapelusz chroni również przeciwko odłamkom rozpryskującym się z pobliskiego wybuchu, jak na przykład przeciw odłamkom szkła i cegieł. Wszelkimi środkami należy walczyć ze zgubną modą wychodzenia na

miasto bez kapelusza. Ta moda wywołuje bezrobocie w wielu gałęziach przemysłu odzieżowego i pozbawia kraj olbrzymich dochodów, które mogłyby być z pożytkiem zainwestowane w naszym przemyśle nastawionym na obronę przeciwatomową".

Końcowy wniosek z tej „teorii kapelusza" wskazuje dostatecznie kto kierował ręką, która pisała te cyniczne brednie. Nie mniej jednak lepiej podać dokładny adres. „The Outfitter" czyli „Dostawca" jest oficjalnym organem przemysłu tekstylnego i odzieżowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

si

Srebrna myszka z Kolonii

John Mac Cloy, wysoki komisarz amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec, postanowił wykorzystać wolny czas dla uzupełnienia i pogłębienia swych wiadomości z historii sztuki. Zjechał więc do Kolonii, ażeby zwiedzić tamtejszą katedrę. Przyjęto go oczywiście z należnymi honorami. Do katedry to-

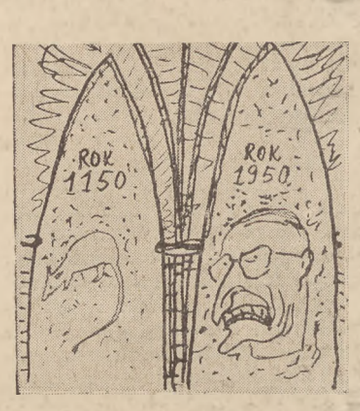

warzyszył mu osobiście sam burmistrz starego miasta nadreńskiego.

Zwiedzanie katedry trwało długo. Wysoki komisarz dokładnie oglądał i bardzo podziwiał wszelkie wspaniałości świątyni, aż wreszcie stanął jak wryty przed maleńką myszką ze srebra, która ze względu na swe walory snycerskie zdobyła światową sławę.

— Co to jest? — zapytał komisarz.

Przewodnik wyjaśnił mu, że osiem wieków temu nawiedziła Kolonię plaga gryzoni. Nadaremnie odprawiano nabożeństwa publiczne i zwieziono zewsząd olbrzymią ilość kotów, aby tę plagę opanować. Nadaremnie również sprowadzono sławnych szczuro- i myszołapów. Nie pomogło ani dęcie w zaczarowane flety, ani rutynowane zaklęcia. Gryzonie pleniły się nadal. Dopiero modły, które zaniesiono do tej maleńkiej srebrnej myszki, odwróciły złe zrządzenie losu.

Wysoki komisarz uśmiechnął się z lekka.

— Czy pan wierzy w prawdopodobieństwo tego faktu? — zapytał przewodnika.

— Nie! — żywo wykrzyknął z pytany. — Bo jeśliby tego rodza modły miały jakąkolwiek skutec ność, to byśmy już dawno postaw tutaj srebrną statuetkę Ameryk rina.

Rzecz jasna, że anegdotę tę op wiadają w Kolonii na ucho i że n cieszy się ona uznaniem w sfera rządowych.

si

Rzecz o psychiatrach

Amerykańskie wojska interwe yjne w Korei są zaopatrzone n ylko amerykańskimi czołgan działami, samolotami i arcygeni nym wodzem z fajką i w ciemny okularach, lecz także — jak don si prasa z USA — posiadają zn czną ilość... psychiatrów. Ci osta okazali się niedzowni, poniew oddziały agresorów reagowały ofensywę koreańskiej armii luc wej i chińskich ochotników „na mierną ilością wypadków załam nerwowych". Groza wojny agr sywnej, jej bezcelowość i okr cieństwo, a nade wszystko stra ne zbrodnie, których ofiarami p dły miliony dzieci, kobiet i st ców koreańskich — to wszyst może wstrząsnąć nerwami najg szych zwyrodnialców. Dopiero raz Amerykanie ujawniają ma we wypadki obłędu swoich żołn rzy. I nic dziwnego. Szaleństw jakim jest napaść na miłujący p kój naród, musi w końcu zrodz obłęd, który jak cień wlecze się zbrodnią.

Inna rzecz, że psychiatrów n należało lekkomyślnie wysyłać Stanów. Są oni potrzebni w Am ryce, gdzie roboty jest w bród. Pr szę przestudiować enuncjacje cz łowych polityków amerykańskic ich histeryczne artykuły, maniack głosy i szaleńcze wypowiedzi. Ty bez wątpienia potrzebni są psychi trzy, tym bardziej że amerykańs mężowie stanu nie zawsze w po wyskakują z okien, jak to uczyn Forrestal.

rk

Józef Prutkowski

RZEŹ POSPOLITA POETÓW

(Szopka sylwestrowa — fragmenty)

Przyszła Muza sekty poetyckiej,
— To lubię, rzekła, to lubię! —
Wnet omówimy sprawy wszystkie,
Byle nie w Klubie...

Bo w Klubie wśród grubych ryb pluszczą drobne plotki
Teściowe fragmentów, urywków ciotki.
Ekszona byłego wieszcza z ekspoetką jędzą
Od rana do nocy ględzą, ględzą, ględzą...

...Heine, on znał się na tym interesie.
Raz na „la Mouche" a raz na Teresie...
Krasiński także nie sypiał po nockach.
Hrabina Eliza... Delfina Potocka

Strindberg, to niby wie pani, misjonarz,
A przecież Bosse... Frieda Uhl... i żona-ż!
A taki Goethe, też sobie eksponat,
Miał w swoim życiu kobiet — tuzin ponad.

Milton, Sienkiewicz i Liszt, a to łotrzy(!)
Każdy z tych twórców miał żon aż trzy po trzy.
A wie pani, co to granda Chateaubrianda?
Aż pięć kochanek miał ten wandal. Skandal...

Tak roztrząsają w sercu Warszawy
Okropne baby „literackie" sprawy.
Żeby to jeszcze o Heinem, Krasińskim...
Skąd?! O Nielepskim, Drupskim, Chlapuszyńskim!

JERZY PUTRAMENT:

Zrobię porządek! Wzbiera we mnie pasja.
Lecz kiedyż wreszcie znajdę na to czas ja?
Przyjeżdżają poeci Murzyni,
Muszę być z nimi w kinie.
Jadą niemieccy poeci,
Muszę być na bankiecie.
Chińskie poetki (rzadkie!)
Urządzam dla nich herbatkę.

Czescy prozaicy —
Jem z nimi jajecznicę.
Węgierski dramaturg jedzie
Muszę z nim być na obiedzie.

Emigrantka z Dalmacji —
Muszę z nią zjeść kolację.
Francuskich filmowców drużyna —
Wypijam lampkę wina.

Ta sprawa, drodzy moi,
W gardle mi gościem stoi.
Czy ktoś z was za mnie nie zje
Z przedstawicielem poezji z Indonezji?

Czy koledzy za mnie wypiją
Na cześć dramaturga z Rio?

ST. R. DOBROWOLSKI:

Wypiłbym zamiast ciebie, lecz wódka rzecz wstrętna,
Patrz: „Nowa Kultura", mój artykuł wstępny.

ARTUR MARIA SWINIARSKI

Wypiłbym za ciebie w jakimś cichym barze,
Alem obrażony na Związek Pisarzy.
Obrażonym na Ministra Kultury i Sztuki,
Że w Polsce nie idą tylko moje sztuki.
Obrażony jestem na Związek Plastyków,
Że mi nie odsłania w terenie pomników.
Gdyby gdzieś chociażby gipsowe popiersie...
To także, z francuska, dziękowałbym: merci!

JAN BRZECHWA:

Kiedyś obiecałem pewnej młodej matce,
Że jej napiszę o kaczce-dziwaczce,
Lecz kiedym skończył o kaczce-dziwaczce
Pomysł przeleciał po bajecznej kładce.
Więc napisałem o łódzkiej świetlicy,
O tkaczce-dziwaczce, pięknej przodownicy.
O paczce-unrraczce piszę trzy satyry,
O taczce-sprzątaczce piękny panegiryk.
Spluwaczce-biedaczce artykuł o Kochu,
A praczce-brudaczce złośliwości trochu.
O klatce-piersiatce reportaż sportowy,
O panikarce-kraczce felieton surowy.
I znów o tkaczce nowoczesną powieść
Publiczce-biedaczce żeby wreszcie dowieść,
Że złośliwość niechętnych na nic się nie przyd
Jak się ma wydawcę, to i tak się wyda.

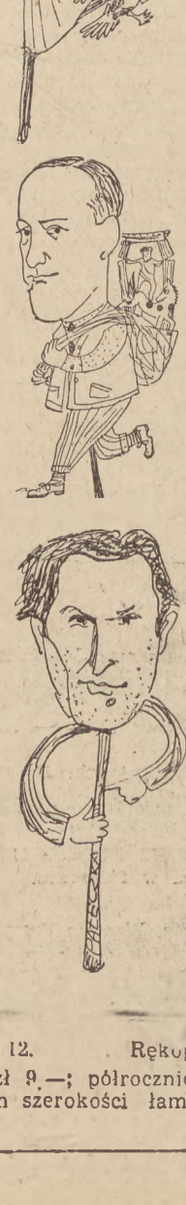

KAZIMIERZ BRANDYS:

Rzucają mną wszędzie, zajmuję się wszystkim
Lecz już mnie męczy ten rzut (Bran)dyskiem.
Koń drewniany,
Klapa murowana.
Miasto niepokonane.
Realizm aż, hej!
„Czytelnik" uradowany,
Czytelnik — mniej.
Choć słyszę cyniczne — krytyczne głosy:
Samson? Bez szans on... inaczej nie mogę.
Siła Samsona to właśnie są włosy,
Za które wyciągam ideologię.
Ponoszę największe ofiary,
Choć Adolf na mnie wył:
Kazi-mierz siły na zamiary
Nie zamiar podług sił.

ADOLF RUDNICKI:

Słowem nie odpowiem, miły kochaneczku.
Uderzę książką. Nie kijem, to pałeczką.
Choć krytyk zgromi słowem atomowym:
Żem uwił pałeczkę na swą własną głowę.
Bo nie rozumieją biedni ludzie prości,
Żeromski miał przecież też chwile słabości.
Tołstoj też czasem potykał się i go
Tak nie uderzano. Albo taki Hugo!...
Musicie wybaczać — jeśli autor geniusz,
Bo te krytyki z ócz spędzają sen już.

SEKCJA (Zwłok) SATYRY:

A teraz nastrójmy struny wieszczej liry
Na bardzo delikatny ton — akord satyry.

— — — — — — — — — — —

Milczenie. — Dlaczego? Cóż-to towarzysze?
GŁOS:
Pst! O satyrze u nas się nie pisze.
Wasza satyra atakuje cnoty,
Uznane sławy, dzieła ongi złote...

SATYRA:

No, trudno. Dalej, towarzysze moi,
Prawdziwy satyryk cnoty się nie boi.

Józef Prutkowski

SPROSTOWANIE

W poprzednim (41) numerze „Nowej Kultury" w artykule na kolumnie pierwszej („Na progu półwiecza") w zdaniu rozpoczynającym się od słów „Socjalizm odwrócił bieg rzek, założył ożywcze lasy, zamienia pustynie w sady..." itd. zamiast słów „zaciera przeciwieństwo między pracą fizyczną a naukową" powinno być: fizyczną a umysłową. *Red.*

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 2-B-1081